

**PRZYGODY
SHERLOCKA
HOLMESA**

Lektura z opracowaniem

Arthur Conan Doyle

**PRZYGODY
SHERLOCKA
HOLMESA**

Wydawnictwo IBIS

Opracowanie:
Agnieszka Nożyńska-Demianiuk

Korekta:
Justyna Kubacka

Opracowanie graficzne okładki:
Magdalena Ałtunin

ISBN 978-83-62202-93-5

Wszystkie prawa zastrzeżone.
Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana
lub przedrukowywana bez pisemnej zgody Wydawnictwa **IBIS**.

Na okładce wykorzystano ilustrację M. Piwowarskiego.

Wydawnictwo **IBIS**
www.wydawnictwoibis.pl

Poznań 2013

Drukowano w UE

**PRZYGODY
SHERLOCKA HOLMESA**

PIES BASKERVILLE'ÓW

I. SHERLOCK HOLMES

Sherlock Holmes, który wstawał zazwyczaj późno, chyba że spędzał bezsennie całą noc, co zdarzało się dosyć często, siedział rano przy stole w jadalni. Ja stałem przy kominku, oglądając laskę, zostawioną przez naszego gościa poprzedniego wieczora. Był to kij ładny, mocny, z dużą gałką, okoloną u spodu złotą, na cal blisko szeroką obrączką, z napisem: „Jakubowi Mortimerowi, M. R. C. S.¹, od przyjaciół z C. C. H.”, oraz datą „1884”. Laska ta, pełna godności, poważna, budząca zaufanie, była z rodzaju tych, jakie nosili lekarze domowi dawnej daty.



Czas akcji – rok niesprecyzowany.



Oględziny laski Mortimera.

– I cóż, Watsonie – odezwał się do mnie Holmes – jakie wysnuwasz wnioski z tego kija?

Holmes siedział odwrócony do mnie plecami, ja zaś nie zdradziłem się najłżejszą oznaką, czym byłem zajęty.

– Skądże ty wiesz, co ja robię? Gotów jestem uwierzyć, że masz oczy z tyłu głowy.

– Nie, ale mam przed sobą srebrny imbryk, wypolerowany jak zwierciadło – odparł. – Powiedz mi, cóż za refleksje poddaje ci laska naszego gościa? Skoro nie zastał nas wczoraj, a nie mamy pojęcia, jaki mógł być cel jego odwiedzin, ta przypadkowa pamiątka nabiera znaczenia. Niechże się dowiem, co wnosisz z tego kawałka drzewa o jego właścicielu?

– Sądzę – odpowiedziałem, stosując, o ile umiałem, metodę swe- go towarzysza – że doktor Mortimer jest starym, bardzo wziętym i bardzo poważanym lekarzem, skoro znajomi obdarzyli go takim dowodem uznania.



Opis Mor- timera.

– Dobrze – rzekł Holmes. – Wyśmienicie.

– Sądzę także, iż według wszelkiego prawdopodobieństwa, doktor Mortimer jest lekarzem wiejskim, odwiedzającym chorych swoich przeważnie pieszo.

¹ M. R. C. S. – skrót od ang. Member of the Royal College of Surgeons; tytuł nadawany chirurgom w Wielkiej Brytanii i Irlandii

– Dlaczego?

– Dlatego że ta laska, bardzo ładna gdy była nowa, wydaje mi się tak zniszczoną, iż nie wyobrażam jej sobie w rękach lekarza miejskiego. Okucie żelazne na końcu jest jak ścięte, co świadczy, że kij służy doktorowi do częstych przechadzek.

– Doskonale, zupełnie słusznie! – przytakiwał Holmes.

– A wreszcie są tu jeszcze wyrazy: „Od przyjaciół z C. C. H.” Odgaduję, że chodzi tu o jakieś miejscowe stowarzyszenie łowieckie... Doktor leczył pewnie członków tego stowarzyszenia, a oni, w dowód wdzięczności, ofiarowali mu ten drobny upominek.



Opinia Holmesa o Watsonie
– uznanie.

– Watsonie, dalibóg, przechodzisz samego siebie – rzekł Holmes, odsuwając krzesło i zapalając papierosa. – Muszę przyznać, że we wszystkich raportach, jakie zdawałeś łaskawie z moich skromnych prac, nie doceniałeś własnych zdolności. Nie jesteś może sam przez się jaśniejącą pochodnią, ale doskonały z ciebie przewodnik w poszukiwaniu światła. Są ludzie, którzy, sami nie mając geniuszu, posiadają talent pobudzania go u innych. Przyznaję, mój drogi chłopcze, że jestem twoim dłużnikiem.

Holmes nigdy jeszcze nie przemawiał do mnie w ten sposób i muszę przyznać, że słowa jego sprawiły mi wielką przyjemność, gdyż bywałem często dotknięty jego obojętnością, zarówno dla mego podziwu, jak i dla moich usiłowań, zmierzających do rozpowszechniania jego metody. Nadto dumny byłem z tego, że przyswoiłem sobie system jego tak dalece, iż stosując go, zdobywałem uznanie Holmesa.

Po chwili wziął mi z rąk laskę i zaczął ją pilnie oglądać. Po czym, z nagłym zajęciem, rzucił papierosa, podszedł do okna i zabrał się do badania laski przez lupę.

– Ciekawe, chociaż proste – rzekł, powracając na kanapę, gdzie usiadł w ulubionym kątku. – Dostrzegam na tej lasce parę wskazówek, które doprowadzają nas do wniosków.

– Czyżby coś uszło mojej uwadze? – spytałem z pewną zarozumiałością w tonie.

– Nie sądzę, żebym pominął jakiś ważny szczegół.

– Obawiam się, mój drogi, że większość twoich wniosków jest mylna. Gdy mówiłem, że jesteś mi pomocny, znaczyło to, iż stwierdzenie twoich pomyłek doprowadza mnie przypadkowo do odkrywania prawdy. W danym wypadku nie mylisz się bynajmniej co do istoty rzeczy. Właściciel laski jest niewątpliwie lekarzem wiejskim i chodzi bardzo dużo.

– Miałem zatem słuszność.

– Tak jest, pod tym względem.

– I to wszystko?



Dedukcja
Holmesa na
temat Mortimera i laski.

– Nie, nie, mój drogi, nie wszystko... bynajmniej. Tylko, widzisz, mnie się zdaje na przykład, że prawdopodobniejszym jest, iż ofiarowany doktorowi podarunek pochodzi od szpitala niż od stowarzyszenia łowieckiego. Toteż gdy litery „C. C.” umieszczone są przed literą określającą ów szpital, wyrazy „Charing Cross” nawiązują się same przez się.

– Może masz słuszość.

– Moje wyjaśnienie ma za sobą wszelkie prawdopodobieństwo i jeśli przyjmie tę hipotezę, mamy nową podstawę, która nam pozwala odtworzyć osobistość naszego nieznanego gościa.

– Dobrze, przypuszczając zatem, że C. C. H. znaczy „Charing Cross Hospital”, jakież inne wnioski stąd wysnujemy?

– Czyż nie nasuwa ci się żaden? Znasz moją metodę. Zastosuj ją!

– Jedynym wnioskiem oczywistym jest fakt, że nasz nieznanomy praktykował w mieście, zanim przeniósł się na wieś.

– Posuńmy się dalej w naszych przypuszczeniach i idźmy ciągle tym śladem. Co nastąpiło najprawdopodobniejszą sposobnością do ofiarowania tego podarunku? Kiedy przyjaciele Mortimera zebraли składkę, aby mu dać upominek? Niewątpliwie w chwili, gdy doktor opuszczał szpital, żeby rozpocząć praktykę na własną rękę. Wiemy już, że był podarunek. Przypuszczamy, że nastąpiło przejście ze szpitala miejskiego do praktyki wiejskiej. Czy zatem zbyt śmiałym byłoby nasze twierdzenie, że podarunek ofiarowano z powodu tej zmiany warunków bytu?

– Jest to bardzo prawdopodobne.

– A teraz zechciej zauważyć, że doktor Mortimer nie mógł należeć do składu stałych lekarzy szpitalnych. Na te posady wzywani są tylko pierwszorzędni lekarze londyńscy, a ci nie przenoszą się nigdy na wieś. Czymże był zatem? Lekarzem-asystentem, zajmował stanowisko niewiele wyższe niż starsi studenci. Opuścił zaś szpital przed pięciu laty... masz datę na lasce. Tak więc twój poważny doktor w średnim wieku znika jak widmo, mój drogi, a na jego miejsce ukazuje nam się trzydziestoletni młodzieniec, miły, skromny, roztargniony i posiadający psa, którego określiłbym mniej więcej jako większego od jamnika, a mniejszego od brytana.

Uśmiechałem się z niedowierzaniem, gdy Sherlock Holmes przechylił się w tył, puszczając pod sufit kółka dymu.

– Nie mam sposobu zbicia tego ostatniego wywodu – rzekłem – ale nic łatwiejszego niż dowiedzieć się szczegółów dotyczących wieku i kariery zawodowej doktora.

Zbliżyłem się do biblioteki, wziąłem z półki *Przewodnik lekarski* i odszukałem literę M. Znalazłem kilku Mortimerów, a z tych jeden mógł być naszym gościem. Przeczytałem głośno odpowiednią notatkę:

– „Mortimer Jakub, M. R. C. S., 1882; Grimpen, Dartmoor, Devon. Asystent-chirurg w szpitalu Charing Cross od 1882 do 1884. Laureat nagrody Jacksona za pracę z dziedziny patologii porównawczej pt. *Czy dziedziczność jest chorobą?* Członek-korespondent Szwedzkiego Towarzystwa Patologicznego. Autor *Kilku kaprysów atawizmu* (»The Lancet«, 1882), *Czy postępujemy?* (»Journal of Psychology«, marzec 1883). Lekarz rządowy gmin: Grimpen, Thornsley i High-Barrow”.

– No, a o stowarzyszeniu łowieckim ani wzmianki – rzekł Holmes z drwiącym uśmiechem – ale jest to lekarz wiejski, jak sprytnie wywnioskowałeś. Zdaje mi się, że moje wywody się potwierdzą. Co do przymiotników, powiedziałem, jeśli się nie mylę, miły, skromny, roztargniony. Otóż doświadczenie nauczyło mnie, że podarunki otrzymuje na tym świecie tylko człowiek miły, jedynie skromny opuszcza Londyn dla osiedlenia się na wsi, a tylko roztargniony zostawi ci laskę zamiast karty wizytowej po godzinnym czekaniu w twoim salonie.

– A pies?

– Pies nosi zazwyczaj laskę swego pana. Ponieważ jest ciężka, pies trzyma ją mocno na środku, a ślady jego kłów są wyraźnie widoczne. Wskazują ci one, moim zdaniem, że szczeka jest za duża na jamnika, a za mała na brytana. To może... tak do licha, to jest wyżeł!

Mówiąc to, Holmes wstał i chodził po pokoju, nagle zatrzymał się przed oknem, a w głosie jego dzwięczała taka stanowczość, że spojrzałem na niego zdumiony.

– Mój drogi, skąd ta pewność?



Wizyta Mortimera w domu Holmesa.

– Stąd po prostu, że widzę tego psa u naszych drzwi, a oto i głos dzwonka jego pana. Nie odchodź, proszę cię, Watsonie. To przecież twój kolega zawodowy, a obecność twoja może być użyteczna. Oto dramatyczna chwila losu: słyszysz na schodach kroki człowieka wchodzącego w twoje życie i nie wiesz, co ci przyniesie, złą czy dobrą dolę. Czego może chcieć dr Jakub Mortimer, człowiek nauki, od Sherlocka Holmesa, specjalisty w kryminalistyce?... Proszę!



Mortimer:
Wygląd zewnętrzny.

Postać naszego gościa przejęła mnie zdumieniem, gdyż spodziewałem się ujrzeć typowego lekarza wiejskiego. Dr Mortimer zaś był bardzo wysoki, chudy, nos miał długi, zakrzywiony jak haczyk, wystający między parą oczu szarych, przenikliwych, bardzo do siebie zbliżonych i iskrzących się za okularami w złotej oprawie.

Ubrany był w tradycyjny, choć nieco zaniedbany strój, typowy dla lekarzy; surdut

miął wytarty, spodnie u dołu obszarpane. Jakkolwiek młody jeszcze, plecy miał zgarbione, głowę, gdy chodził, pochyloną do przodu, a na jego twarzy malowała się wielka dobroduszość.

Wchodząc, spostrzegł laskę w ręku Holmesa i rzucił się ku niemu z radosnym okrzykiem.

– Co za szczęście! – rzekł. – Nie byłem pewien, gdzie ją zostawiłem, tutaj czy w biurze żeglugi. Za nic w świecie nie chciałbym zgubić tej laski.

– Podarunek, nieprawda? – pytał Holmes.

– Tak jest.

– Od szpitala Charing Cross?

– Od kilku przyjaciół stamtąd... z okazji mego ślubu.

– Tam do licha! To niedobrze – odezwał się Holmes, potrząsając głową.

Dr Mortimer przymrużył oczy i spojrzął ze zdziwieniem na mówiącego.

– Niedobrze? Co? Dlaczego?

– Pokrzyżował pan nasze wnioski. Mówi pan zatem, że to podarunek z okazji ślubu?

– Tak jest. Ożeniłem się i porzuciłem szpital, a wraz z nim wszelką nadzieję praktyki konsultacyjnej. Trzeba było stworzyć ognisko domowe.

– Co prawda – rzekł Holmes – nie pomyliliśmy się znów tak bardzo. A teraz, doktorze Jakubie Mortimerze...

– Panie Jakubie Mortimerze, po prostu... jestem skromnym M. R. C. S.

– I widocznie człowiekiem nauki.

– Partaczem w nauce, panie Holmes; zbieraczem muszelek na wybrzeżach wielkiego nieznanego oceanu. Przypuszczam, że mówię do pana Sherlocka Holmesa, nie zaś...

– Nie, oto mój przyjaciel, dr Watson.

– Bardzo mi przyjemnie. Słyszałem często nazwisko pana, wymieniane wespół z nazwiskiem pańskiego przyjaciela. Panie Holmes, zajmuje mnie pan niesłychanie. Rzadko zdarzyło mi się widzieć czaszkę tak szerokogłową jak pańska i do tego stopnia rozwinięte guzy nadoczodołowe. Czy pozwoli mi pan przesunąć palec po szwie ciemieniowym? Odlew pańskiej czaszki, w czasowym zastępstwie oryginału, byłby ozdobą każdego muzeum antropologicznego. Nie pragnę bynajmniej pańskiej śmierci, ale przyznaję, że na czaszkę pańską mam wielką chętkę.

Holmes wskazał krzesło osobliwemu gościowi.

– Jest pan entuzjastą swojego zawodu, podobnie jak ja mojego – rzekł. – Odgaduję z pańskiego palca wskazującego, że zwija pan sam swoje papierosy. Proszę, niech się pan nie krępuje.



Opis czaszki Holmesa.

Nasz gość wyjął z kieszeni bibułkę i tytoń i ze zdumiewającą sprawnością zwinął papierosa. Palce miał długie, zwinne i ruchliwe, jak macki owada.

Holmes milczał, ale jego wzrok, utkwiony uparcie w naszego gościa, mówił mi dowodnie, do jakiego stopnia przybysz ten budził jego zajęcie.

– Przypuszczam – odezwał się wreszcie – że nie tylko dla zbadania mojej czaszki zaszczycił mnie pan swoimi odwiedzinami wczoraj i powrócił pan dzisiaj?

– Nie, jakkolwiek rad jestem niezmiernie, że nastęczyła mi się sposobność po temu. Przyszedłem do pana, panie Holmes, bo przyznaję, że nie jestem człowiekiem praktycznym, a nadto dlatego, że znalazłem się wobec zagadki zarówno poważnej, jak tajemniczej. Ponieważ uważam pana za drugiego wśród najwytrawniejszych biegłych w Europie...

– Doprawdy! A czy wolno wiedzieć, kto ma zaszczyt być pierwszym? – spytał Holmes z odcieniem goryczy.

– Prace pana Bertillona muszą zawsze silnie oddziaływać na umysł człowieka lubującego się w ścisłości naukowej.

– A więc dlaczego nie udaje się pan do niego po radę?

– Mówiłem o ścisłości naukowej, ale co do praktycznej strony sprawy pan jest jedyny. Spodziewam się, że mimo woli nie...

– Bynajmniej – przerwał Holmes. – Sądzę, doktorze, że dobrze będzie, gdy damy temu wszystkiemu pokój i wyjaśni mi pan dokładnie naturę zagadki, której bez mojej pomocy nie może pan rozwiązać.

II. PRZEKŁĘTY RÓD

- Mam w kieszeni rękopis – zaczął doktor.
- Spostrzegłem to, gdy pan wszedł – odparł Holmes.
- Rękopis ten jest bardzo stary.
- Z pierwszej połowy XVIII wieku, jeśli nie jest podrobiony.
- Skąd pan wie?

– Papiery wystają z pańskiej kieszeni, a przez ten czas, kiedy pan mówił, widziałem ze dwa cale rękopisu. Kiepski byłby to biegły, który by z tego sądząc, nie mógł określić daty dokumentu, myśląc się co najwyżej o jakieś lat dziesięć. Może pan czytał moją monografię o tym przedmiocie? Rękopis pański jest, mniej więcej, z roku 1730.

– Z 1742, według daty ścisłej – odparł Mortimer, wydobywając go z kieszeni.

– Papiery te powierzył mi sir Karol Baskerville, którego tragiczna śmierć wywołała trzy miesiące temu takie wzburzenie w Devonshirze. Byłem jednocześnie jego lekarzem i przyjacielem. Ten człowiek umysłu wyższego, przenikliwy, praktyczny, miał równie trzeźwą wyobraźnię jak ja. Niemniej jednak wierzył w ten dokument, a ta wiara przysposobiła go do takiej śmierci, jaką zginął.

Holmes wyciągnął rękę po rękopis i rozłożył go na kolanach.

– Spójrzaj no, Watsonie – rzekł, zwracając się do mnie – na te „s”, raz długie, to znów krótkie. Jest to jedna ze wskazówek, które mi pozwoliły określić datę.

Spojrzałem przez jego ramię na pożółkły papier i zamazane prawie pismo. Jako nagłówek widniał napis: „Baskerville Hall”, a poniżej wielkimi niekształtnymi cyframi: „1742”.

- Widzę, że to jakby jakieś sprawozdanie?
- Tak, to opis pewnej legendy, krążącej w rodzinie Baskerville’ów.
- Sądziłem, że pan chce zasięgnąć mojej rady w sprawie nowszej i mającej zastosowanie praktyczne.

– Proszę mi wierzyć, że to sprawa bardzo nowa i nagląca, którą trzeba koniecznie wyjaśnić w ciągu dwudziestu czterech godzin. Rękopis, który przyniosłem ze sobą, jest krótki i ściśle związany ze sprawą. Pan pozwoli zatem, że go przeczytam.

Holmes wsunął się w głąb fotela, splótł dłonie i zamknął oczy, przybrawszy postawę pełną rezygnacji. Dr Mortimer rozłożył rękopis pod światło i głosem donośnym, suchym, czytał następującą ciekawą, starodawną opowieść:

„O pochodzeniu psa Baskerville’ów krążyły różne pogłoski. Ponieważ jednak jestem potomkiem Hugona Baskerville’a w prostej linii, a historię niniejszą sły-



Odczytanie rękopisu Hugona Baskerville'a.
Opowieść o psie Baskerville'ów.

-szałem z ust swego ojca, któremu znów przekazał ją jego ojciec, toteż spisałem ją, przekonany szczerze o jej prawdziwości. I chciałbym, potomkowie moi, abyście wierzyli, że ta sama Sprawiedliwość, która karze za grzechy, umie również przebaczać miłosiernie i że nie ma tak strasznego przekleństwa na świecie, którego nie można by odkupić skrucą i modlitwą. Z opowieści niniejszej zatem wyciągnijcie tę naukę, że nie należy obawiać się skutków przeszłości, lecz trzeba stać się baczniejszym w przyszłości i unikać tych okropnych nałogów, które ściągnęły na naszą rodzinę takie wielkie nieszczęścia.

Wiedźcie więc, że w czasach wielkiej rewolucji (której historię, napisaną przez wielce uczonego lorda Charendona polecam gorąco waszej uwadze) zamek Baskerville był własnością Hugona tegoż nazwiska, człowieka dzikich namiętności, bezbożnego i rozpustnika. Sąsiedzi wybaczyliby mu te błędy, wiedząc, iż zamek nie był nigdy siedliskiem świętych, ale okrucieństwa, jakie popełniał podczas hulaszczych zabaw, które stały się przysłowiowymi w całej okolicy. Zdarzyło się, że ów Hugon zapalał miłością (jeżeli określenie to użyte w danym wypadku nie będzie profanacją) do córki ziemianina, którego grunty sąsiadowały z posiadłościami Baskerville'ów. Ale panna, skromnie i pobożnie wychowana, unikała wielbiciela, znając jego złą sławę.



Porwanie córki ziemianina.

Pewnego dnia, w wigilię Świętego Michała, ów Hugon z pięcioma czy sześcioma towarzyszami hulank, wtargnęli do folwarku i porwali pannę, pod nieobecność jej ojca i braci. Przyniósłszy brankę do zamku, osadzili ją w wieży, a sami udali się do jadalni, by, jak zwykle, spędzić noc na pijatyce. Nieszczęśliwa dziewczyna była bliska obłądu, słysząc w więzieniu swoim śpiewy, wrzaski i bluźnierstwa uczujących, które dobiegały jej uszu, aż wreszcie, zdjeta śmiertelną trwogą, zdobyła się na czyn, przed którym zawahałby się najodważniejszy mężczyzna – wyszła przez okno i, przy pomocy gałęzi bluszczu, który okrywał (i okrywa jeszcze) mur, zsunęła się po rynnie i uciekła przez łąki do folwarku rodzicielskiego, oddalonego o trzy mile.



Ucieczka dziewczyny.

Wkrótce potem Hugon opuścił gości, by zanieść trochę jadła i picia swej brance – a może żywił i jakie gorsze zamiary – ale zastał klatkę pustą. Na ten widok, jak opętany przez szatana, zbiegł w szalonym pędzie ze schodów, wpadł do jadalni, wskoczył na stół, tłukąc talerze i kryształły i wobec przerażonych, na wpół pijanych biesiadników przysiągł, że jeśli tej nocy jeszcze zdoła schwytać zbiegłą dziewczynę, zaprzeda diabłu ciało i duszę. Przez chwilę obecni w osłupieniu patrzyli na niego, gdy naraz jeden, podlejszy, a może bardziej pijany od innych, krzyknął, żeby puścić



Pogoń za dziewczyną.

psy gończe śladem dziewczyny. Propozycja przypadła do smaku Hugonowi. Wylciał z zamku, wrzeszcząc na stajennych, by mu klacz osiodłali, na dojeżdżaczy, by wypuścili psy z psiarni, po czym cisnął psom chustkę dziewczęcia i uszykował je do biegu. Człowiek klnąc, a zwierzęta wyjąc, popędzili wśród bładego blasku księżyca ku łąkom.

Wszystko to dokonało się z taką błyskawiczną szybkością, że biesiadnicy zrazu nie zrozumieli, co zaszło. Niebawem jednak zaświtało w ich zamroczonych umysłach, uprzytomnili sobie, o co chodzi i powstał piekielny hałas. Jedni wołali o pistolety, inni o konie, inni znów o świeże butelki wina. W końcu oprzytomniali do reszty i wszyscy, w liczbie trzynastu, dosiedli koni i puścili się w pogoń. Księżyc rzucał na ziemię srebrzyste blaski, a konie pędziły wyciągniętym galopem tą drogą, którą podążyć musiała nieszczęśliwa dziewczyna, chcąc się dostać do domu.

Ujechali tak ze dwie mile, gdy spotkali nocnego pastucha, pilnującego trzody na łące, a mijając go, krzyknęli, czy nie widział ściganej zwierzyny. Opowieść niesie, że nieborak był taki wystraszony, iż nie mógł na razie odpowiedzieć, ale w końcu objaśnił, że widział młodą dziewczynę i psy pędzące za nią.

– Ale widziałem więcej jeszcze – dodał – widziałem dziedzica z Baskerville’ów na czarnej klaczy, a za nim leciał milczkiem pies taki potworny, że niechaj mnie Bóg uchowa, bym go kiedy spotkał na swej drodze.

Oboje posłali pastucha do wszystkich diabłów i popędzili dalej.

Ale niebawem krew ścięła się mrozem w ich żyłach. Na równinie rozległ się tętent kopyt końskich i czarna klacz, okryta pianą, minęła ich w piekielnym galopie, bez pana, wlokąc cugle za sobą.

Zdjęci trwogą jeźdźcy zbliżyli się do siebie, lecz pogoni nie zaniechali, jakkolwiek każdy z nich, gdyby był sam, chętnie zawróciłby konia.

Jadąc zwolnionym już biegiem, spotkali nareszcie sforę psów, które, jakkolwiek znane z odwagi i wszelkich przymiotów dobrej rasy, stały, wyjąc ponuro, dokoła krzaku nad krawędzią głębokiego wąwozu. Niektóre zaczynały się już cofać, inne, z najeżoną sierścią, ze ślepiami krwią nabiegłymi, patrzyły w wąwóz.

Grono mężczyzn, już zupełnie otrzeźwionych, jak się łatwo domyśleć, zatrzymało się. Większość nie miała odwagi zapuszczać się dalej, lecz trzech najśmielsi zjechali do wąwozu. Rozszerzał się w tym miejscu znacznie i tu, na dość obszernej polance, wznosiły się dwa z owych wielkich kamieni, jakimi niektóre zapomniane ludy znaczyły w dawnych czasach miejsca swego pobytu. Księżyc oświetlał jasno płaszczyznę, a na środku leżała biedna dziewczyna bez życia. Tutaj widocznie upadła i skonała ze znużenia i z trwogi. Ale nie na jej widok ani na widok wyciągniętych o parę kroków dalej martwych zwłok Hugona Baskerville’a skamienieli trzej śmiałkowie. Nad



Śmierć Hugona.



Opis psa-
potwora.

trupem Hugona stał potwór, czarne, wielkie zwierzę, kształtu psa, ale psa rozmiarów dotąd niewidzianych.

Potwór miał kły zapuszczone w gardło Hugona, a w chwili, gdy trzech mężczyźni się zbliżyli, wyrwał fragment ciała z szyi trupa i zwrócił ku przybyłym swe ogniste ślepie i zakrwawioną paszczę... Śmiała trójka wrzasnęła przeraźliwie i krzycząc ciągle, popędziła szybko z powrotem przez równinę.

Utrzymują, że jeden z tych trzech umarł jeszcze tej samej nocy, a dwaj pozostali obłąkani do końca życia.

Tak brzmi, synowie moi, opowieść o pierwszym ukazaniu się psa, który od owego czasu stał się taką okrutną plagą dla naszego rodu. Spisałem tę opowieść, bo wzmianki i domysły wzbudzają zawsze więcej trwogi niż rzeczy dokładnie wiadome.

Nie można zaprzeczyć, że kilku członków naszej rodziny zginęło śmiercią gwałtowną, nagłą i tajemniczą. Powinniśmy jednak ufać w nieskończoną dobroć Opatrzności, która rzadko kiedy karze niewinnych poza trzecim lub czwartym pokoleniem, jak powiedziano w Piśmie Świętym.

Polecam was, synowie moi, opiece tej Opatrzności i radzę unikać, przez ostrożność, chodzenia w pobliżu owego wąwozu, w godzinach nocy, kiedy to panuje moc złego ducha.

Spisał Hugon Baskerville dla synów swoich, Rogera i Jana, zalecając wszakże, aby pod żadnym pozorem nie powtarzali opowieści siostrze swojej, Elżbiecie”.

Dr Mortimer, ukończywszy czytanie, wsunął okulary na czoło i zwrócił spojrzenie na Sherlocka Holmesa. Ten ziewnął, cisnął resztkę papierosa w ogień i spytał lakonicznie:

– I cóż?

– Czy ta historia nie wydaje się panu zajmującą?

– Owszem; dla amatora bajek o żelaznym wilku.

Dr Mortimer wyjął z kieszeni starannie złożony dziennik.



Wiadomość
o śmierci Karola
Baskerville'a.

– Teraz, panie Holmes, poczęstujemy pana czymś świeższym. Oto numer pisma „Devon County Chronicle”, z 15 maja bieżącego roku, zawierający szczegóły śmierci sir Karola Baskerville’a, który zmarł na kilka dni przedtem.

Mój przyjaciel pochylił się nieco naprzód, a wyraz jego twarzy wykazywał już pewne zajęcie. Nasz gość poprawił okulary i zaczął:

„Nagła śmierć sir Karola Baskerville’a, którego wymieniano jako kandydata stronnictwa wolnomyślnego z Mid-Devon na zbliżających się wyborach, pogrążyła w smutku całe hrabstwo. Jakkolwiek sir Karol krótki czas mieszkał

w Baskerville Hall, niemniej ujmującym obejściem i wielką szczerobliwością zdobył przywiązanie oraz szacunek wszystkich tych, którzy go znali.



Historia Karola Baskerville'a.

W tych czasach »świeżych bogaczy« pocieszającym jest widok potomka starego rodu, który miał ciężkie przejścia, zdołał dorobić się majątku i przywrócić dawną świetność gniazda rodzinnego.

Sir Karol, jak wiadomo, zarobił znaczne sumy w południowej Afryce. Roztropniejszy od tych, którzy spekulują dopóty, dopóki koło fortuny nie odwróci się, zrealizował wszystkie swoje zarobki i powrócił do Anglii. Dwa lata minęły zaledwie od chwili, kiedy zamieszkał w Baskerville Hall, a wiadomo jest wszystkim, że nosił się z zamiarem odbudowy zamku i zaprowadzenia różnych ulepszeń w gospodarstwie rolnym. Śmierć nie pozwoliła urzeczywistnić tych planów, powziętych na wielką skalę. Będąc bezdzielnym, pragnął, żeby cała okolica korzystała z jego majątku, a liczni są ci, którzy opłakują jego przedwczesny zgon. Niejednokrotnie na szpaltach niniejszych zdawaliśmy sprawę z jego szczodrych darów na wszystkie cele dobroczynne w hrabstwie.

Śledztwo nie mogło wyjaśnić dokładnie okoliczności, które towarzyszyły śmierci sir Karola Baskerville'a, ale rozproszyło przynajmniej pewne pogłoski, zrodzone z zabobonu.

Sir Karol był wdowcem i uchodził za dziwaka pod pewnymi względami. Pomimo znacznej fortuny, żył bardzo skromnie, a domowa służba jego składała się z małżeństwa nazwiskiem Barrymore, mąż był lokajem, żona gospodynią.



Charakterystyka Karola Baskerville'a.

Zeznania ich, potwierdzone przez kilku przyjaciół, wskazują, że od pewnego czasu sir Karol silnie niedomagał. Trapiło go cierpienie sercowe, objawiające się nagłym bladnięciem, napadami duszności i rozstroju nerwowego. Dr Mortimer, przyjaciel i lekarz nieboszczyka, złożył zeznanie w tym samym duchu.

Fakty w tym razie są bardzo proste. Co wieczór, przed udaniem się na spoczynek, sir Karol przechadzał się po słynnej alei cisowej w Baskerville Hall. Małżonkowie Barrymore stwierdzili w zeznaniach swoich, że taki był zwyczaj ich pana.



Zwyczaj i zachowanie sir Karola.

Czwartego maja sir Karol oznajmił, iż wyjeżdża nazajutrz do Londynu i polecił Barrymore'owi, aby mu zapakował rzeczy. Wieczorem wyszedł na zwykłą przechadzkę, podczas której palił zawsze cygaro.

Z przechadzki tej już nie powrócił.

O północy Barrymore, widząc, że drzwi przedsiionka zamku są jeszcze otwarte, zaniepokoił się i zapalwszy latarkę, poszedł szukać pana.



Okoliczności śmierci Karola Baskerville'a.

Dzień był dżdżysty, odnaleziono więc z łatwością na rozmięklej ziemi w alei ślady nog sir Karola. W połowie tej alei znajduje się furтка, która wychodzi na moczary. Głębsze w tym miejscu ślady wskazywały, że sir Karol zatrzymał się tutaj. Następnie podjął znów widocznie przechadzkę, bo zwłoki jego znaleziono znacznie dalej.

Pewien szczegół zeznania Barrymore'a pozostaje jeszcze niewyjaśniony: kształt śladów zmienił się z chwilą, kiedy sir Karol Baskerville minął furtkę; zdawało się, że szedł dalej na palcach.

Niejaki Murphy, Cygan, handlarz koni, znajdował się naówczas blisko, na moczarach; lecz, jak sam zeznał, był zupełnie pijany. Oświadczył wszakże, iż słyszał krzyki, nie mogąc wskazać, skąd pochodzą. Na zwłokach sir Karola nie stwierdzono żadnych śladów gwałtu, jakkolwiek raport lekarza wspomina o niezwykłym wykrzywieniu konwulsyjnym twarzy – wykrzywieniu takim strasznym, że zrazu dr Mortimer nie chciał wierzyć, iż to istotnie jego przyjaciel i pacjent leży przed nim. Wyjaśniono jednak, że jest to objaw zdarzający się często w wypadkach dusznicy i śmierci spowodowanej atakiem sercowym. Oględziny zwłok taką właśnie wykazały diagnozę, a sędzia śledczy potwierdził wyjaśnienie lekarskie.

Radzi jesteśmy z takiego wyniku śledztwa. Spadkobierca sir Karola powinien jak najrychlej osiąść na zamku i prowadzić dalej, przerwane w taki tragiczny sposób, dzieło swego poprzednika. Gdyby prozaiczny raport sędziego nie zniweczył ostatecznie romantycznych opowieści, nie byłoby możliwe wcale wydzierżawienie Baskerville Hallu.

Spadkobiercą nieboszczyka jest – jeżeli żyje jeszcze – pan Henryk Baskerville, syn najmłodszego brata sir Karola. Ostatnie listy młodzieńca nadawane były z Ameryki. Zarządzono odpowiednie środki celem odnalezienia go i zawiadomienia o dziedzictwie, jakie nań spadło”.

Dr Mortimer złożył dziennik i wsunął go do kieszeni.

– Takie są, panie Holmes, wiadome publicznie szczegóły śmierci sir Karola Baskerville'a – rzekł.

– Dziękuję panu – odparł Holmes – za zwrócenie mojej uwagi na ten wypadek, zajmujący pod niejednym względem. Zauważyłem wówczas niektóre wzmianki w dziennikach, ale byłem niesłychanie zajęty sprawą drogich kamieni, które zginęły w Watykanie, tak że zobojeźniałem na razie na wszystko, co się działo w Anglii. Powiada pan więc, że artykuł ten zawiera wszystko, o czym wie publiczność?

– Tak jest.

– Proszę mi powiedzieć teraz to, czego nie wie.

Holmes wsunął się znów w fotel, splótł dłonie, a jego twarz przybrała wyraz powagi i obojętności.

– Czyniąc zadość pańskiemu żądaniu – mówił dr Mortimer, który zaczął już okazywać gwałtowne wzruszenie – opowiem panu to, czego nie mówiłem nikomu. Milczałem wobec sędziego, bo człowiek nauki zawaha się nieraz, zanim przyzna się publicznie, że podziela powszechny zabobon. Nadto kierował mną też i ten wzgląd, że, jak słusznie pisze dziennik, niepodobna byłoby wydzierżawić Baskerville Hall, gdyby cokolwiek jeszcze wzmogło straszną sławę tej siedziby. Dla tych dwóch przyczyn uważałem za stosowne powiedzieć mniej, niż wiedziałem; ale z panem nie mam najmniejszego powodu nie być zupełnie szczerym.

I Mortimer opowiedział nam, co następuje:

– Równina jest prawie niezamieszкана, a tych, którzy sąsiadują z sobą, łączą ściśle stosunki. Oto przyczyna mojej zażyłości z sir Karolem Baskerville’em. Z wyjątkiem pana Franklanda w Lafter Hall i pana Stapletona, przyrodnika, nie ma w promieniu kilku mil ludzi wykształconych.

Sir Karol lubił samotność, ale jego choroba zbliżyła nas wzajemnie, a wspólne zamiłowanie do nauki utrwaliło to zbliżenie. Sir Karol przywiózł z południowej Afryki dużo obserwacji naukowych i spędziliśmy razem niejedną miłą wieczór, rozprawiając o anatomii Buszmena i Hotentota.



Przyjaźń sir Karola i doktora Mortimera.

W ciągu ostatnich kilku miesięcy dostrzegłem u sir Karola wzmagające się coraz bardziej rozdrażnienie nerwowe. Legenda, którą przeczytałem przed chwilą, przesładowała go do tego stopnia, że nic na świecie nie zmusiłoby go do wyjścia w nocy poza kratę parkową. Jakkolwiek wyda się to panu nieprawdopodobne, niemniej jednak sir Karol był szczerze przeświadczony, że okrutne fatum ciąży nad jego rodem, a kroniki rodzinne nie dodawały mu otuchy.



Strach sir Karola.

Myśl o ciągłej obecności jakiegoś ducha ścigała go nieustannie. Często zapytywałem mnie, czy podczas nocnych wycieczek nie dostrzegłem nigdy jakiejś postaci fantastycznej, czy nie słyszałem szczekania psa. Ostatnie pytanie zadawał mi niejednokrotnie i zawsze drżącym głosem.

Przypominam sobie doskonale drobne zajście, które się zdarzyło na kilka tygodni przed jego śmiercią. Zajechałem pewnego wieczora przed zamek i zastałem sir Karola w drzwiach przedsionka. Zeskoczywszy z amerykana¹, stanąłem na wprost swojego przyjaciela, gdy naraz zauważyłem, że oczy jego skierowały się poza moje ramię i patrzyły z wyrazem przerażającej trwogi. Odwróciłem się i dostrzegłem jeszcze na zakręcie drogi coś nieokreślonego; zdawało mi się, że to wielkie czarne cielę.

¹ amerykan – czterokołowy pojazd ciągnięty przez jednego lub dwa konie

Sir Karol był tym zjawiskiem taki wzburzony i zaniepokojony, że musiałem pójść na miejsce, gdzie zwierzę się ukazało i szukać go. Ale zniknęło bez śladu. Zdarzenie to wywarło na nim straszne wrażenie. Spędziłem z nim całą wieczór i wówczas to, dla wytłumaczenia wzburzenia, powierzył pieczy mojej rękopis, który panu przeczytałem. Wspominam o tym drobnym zajściu dlatego tylko, że nabiera pewnego znaczenia ze względu na późniejszą tragedię; na razie nie przywiązywałem do niego żadnej wagi i uważałem, że wzburzenie mojego przyjaciela nie jest niczym usprawiedliwione.

Na skutek moich nalegań sir Karol postanowił pojechać do Londynu. Wiedziałem, że ma chore serce, a nieustająca trwoga, w jakiej żył – choćby jej powód był urojony – oddziaływała jak najgorzej na jego zdrowie. Sądziłem, że rozrywki miejskie wpłyną na niego dobroczynnie, a pan Stapleton, wspólny przyjaciel, wezwany również, był tego samego zdania. W ostatniej chwili nastąpiła straszna katastrofa.

W nocy zgonu sir Karola Barrymore, lokaj, przysłał po mnie chłopca stajenego, Perkinsa, a ponieważ nie spałem jeszcze, w godzinę po wypadku byłem w Baskerville Hall.



Badanie śladów
i zwłok.

Stwierdziłem osobiście wszystkie fakty wspomniane w śledztwie: śledziłem ślady kroków w alei cisowej, widziałem przy furtce miejsce, gdzie nieboszczyk się zatrzymał; zauważyłem zmianę kształtu śladów, począwszy od tego miejsca widziałem, że na piasku nie ma innych śladów prócz pochodzących od butów Barrymore'a, po czym zbadałem uważnie trupa, którego jeszcze nikt nie dotknął.

Sir Karol leżał wyciągnięty, twarzą do ziemi, ręce miał rozkrzyżowane, palce zaciśnięte kurczowo i zagłębione w ziemi, a rysy takie wykrzywione, że nie odważyłbym się stwierdzić pod przysięgą jego tożsamości.

Na ciele nie znalazłem obrażeń fizycznych. Wszelako zeznania Barrymore'a nie były dokładne, powiedział, że przy trupie nie było żadnego śladu kroków. Nie widział ich. Ja jednak dostrzegłem świeże, wyraźne, niedaleko miejsca wypadku.

– Ślady kroków?



Znalezienie
śladów olbrzymiego
psa.

– Tak jest, ślady kroków.

– Mężczyzny czy kobiety?

Dr Mortimer spoglądał na nas przez chwilę szczególnym wzrokiem, po czym, szeptem niemal, odpowiedział:

– Panie Holmes, to były ślady łap olbrzymiego psa!

III. ZAGADKA

Przyznaję, że słowa te przejęły mnie dreszczem. Głos doktora Mortimera drżał także, widać było, że poruszyło go jego własne opowiadanie.

Nieco pochylony do przodu, Holmes słuchał go z błyskiem w oczach, który był dowodem żywego zainteresowania.

– Czy pan to widział? – zapytał.

– Tak dokładnie, jak widzę pana w tej chwili.

– I nic pan do teraz nie mówił?

– Dlaczegoż miałbym to teraz mówić?

– W jaki sposób wytłumaczy nam pan to, że sam jeden tylko dostrzegł pan te ślady?

– Były one widoczne dopiero dwadzieścia metrów dalej od leżących zwłok, nikt więc nie zwrócił na nie uwagi. Gdybym nie znał tej legendy, tego dziwnego podania, pewno bym tego nie dostrzegł, jak wszyscy.

– Czy na moczarach znajduje się dużo psów pasterskich?

– O, bardzo dużo! Ale to nie był pies pasterski.

– Mówi pan, że pies był duży...

– Olbrzymi!

– I że nie przybliżył się do trupa?

– Nie.

– A jaka była wówczas noc?

– Wilgotna i zimna.

– Czy padał deszcz?

– Nie.

– Jak wygląda ta aleja cisowa?

– Tworzą ją dwa rzędy starych cisów wysokich na dwanaście stóp, wierzchołki ich stanowią gęstą kopułę zieleni. Przestrzeń wolna pomiędzy drzewami ma szerokość ośmiu stóp.

– A pomiędzy drzewami i aleją nic nie ma?

– Owszem, po obu stronach dróżki rozciąga się trawnik, mający szerokość około sześciu stóp.

– Mówił pan, że na końcu alei cisowej znajduje się furtka?

– Tak, prowadzi ona na moczary.

– A nie ma innego wyjścia?

– Żadnego.



Opis miejsca
zdarzenia
– aleja cisowa.

- Zatem do szpaleru cisowego można wejść tylko z domu lub przez tę furtkę?
- Można wejść jeszcze przez cieplarnię, zbudowaną przy końcu szpaleru.
- Czy sir Karol doszedł aż do tego miejsca?
- Nie, był oddalony od cieplarni jeszcze z pięćdziesiąt metrów.
- A teraz, czy zechce mi pan doktor powiedzieć, a jest to szczególnie wielkiej wagi, czy ślady, jakie pan dostrzegł, znajdowały się na piasku, czy na trawie?
- Na trawie nie dostrzegłem żadnych śladów...
- A zatem były one tylko od strony furtki... Zaciekawia mnie pan niezmiernie.

A czy ta furtka była zamknięta?

- Zamknięta na klucz i na kłódkę.
- Jak wysoka jest ta furtka?
- Ma cztery stopy wysokości.
- Mógłby więc ktoś się przez nią przedostać?
- Z łatwością.
- Czy przy drzwiach były jakieś ślady szczególne?
- Nie.
- Czy w tej stronie czyniono poszukiwania?
- Tylko ja sam szukałem.
- I nic pan nie odkrył?
- Sir Karol stał w jednym i tym samym miejscu pięć albo dziesięć minut.
- Z czego pan to wnosi?
- Z tego, że na ziemi w dwóch miejscach zobaczyłem popiół otrząśnięty z cygara.

– Ma pan słuszość – potwierdził Holmes.
 – Watsonie – dodał – znaleźliśmy sympatycznego kolegę... Ale, jakie to były ślady?

– Poruszanie się w miejscu uczyniło je niewyraźnymi. Wyraźny był tylko ślad stóp sir Karola.

Sherlock Holmes uderzył się niecierpliwie ręką w kolano.

– Ach! Gdybym ja tam był! – zawołał. – Wypadek przedstawia się niezmiernie zaciekawiająco! Te ślady na piasku, na którym mógłbym tyle rzeczy wyczytać, zatarł deszcz i sandały ciekawych wieśniaków! Ach! Doktorze, dlaczego mnie pan nie wezwał? Zawinił pan bardzo!

– Nie mogłem wezwać pana, nie wyjawiając tych wszystkich faktów, a wyjaśniłem już powody, dla których chciałem milczeć. Zresztą... zresztą...

– Dlaczego się pan waha?

– Są okoliczności, wśród których nawet najbiegły i najbardziej doświadczony policjant angielski nic poradzić nie może.

– Czy pan przypuszcza, że te wypadki mają związek ze światem nadprzyrodzonym?

– Nie twierdzę tego stanowczo.

– Ale takie jest pańskie przekonanie?

– Po tej tragedii opowiadano mi o rozmaitych wypadkach, których niepodobna podciągnąć pod zdarzenia zwykłe, pospolite i naturalne.

– Na przykład?

– Dowiedziałem się, że przed tą straszną nocą wiele osób widziało na wybrzeżu zwierzę, którego opis zgadzał się zupełnie z powierzchownością złego ducha z Baskerville. Zwierzę to nie da się zaliczyć do żadnego znanego gatunku. Wszyscy przyznają, że miało wygląd straszny, fantastyczny, niezmierny. Wypytywałem się tych ludzi: wieśniaków i dzierżawcy. Wszyscy jednakowo odmalowali złowrogie zjawisko. Było to najdokładniejsze wcielenie piekielnego psa, według opisu z legendy. Trwoga panuje w całej okolicy i mógłby się chętnie ze swojej odwagi ten, kto by w nocy zapuścił się na moczary. A pan, jako człowiek nauki, czy wierzy w istnienie jakichś nadprzyrodzonych faktów?

– Ja sam nie wiem, co mam o tym sądzić. – Holmes wzruszył ramionami. – Dotychczas – rzekł – ograniczałem swoje badania obrębem kwestii tego świata. Walczyłem ze złem o tyle, o ile mi na to pozwalały moje słabe środki; ale byłoby to zbyt trudne i niedościgłe zadanie chcieć walczyć ze złym duchem. Jednakże, uznaje pan, że ślady były widoczne.

– Ten dziwny pies o tyle był stworzeniem materialnym, że zdołał rozerwać szyję człowiekowi, a jednak pochodzenie jego jest piekielne.

– Widzę, że zaliczył się pan w poczet ludzi wierzących w zjawiska nadprzyrodzone... Teraz odpowie mi pan jeszcze na jedno pytanie: jeśli pan w to wierzy, dlaczego przyszedł pan radzić się mnie? Jednocześnie prosi mnie pan, abym nie dochodził przyczyn, które spowodowały śmierć sir Karola Baskerville'a i żąda, abym się zajął poszukiwaniami.

– Nie, ja pana o to nie prosiłem.

– Czymże więc mogę panu pomóc?

– Chciałem prosić, aby mi pan poradził, jak się mam zachować wobec sir Henryka Baskerville'a, który przybywa na stację Waterloo – tu doktor Mortimer wyjął zegarek – za godzinę i kwadrans.

– Czy to on jest spadkobiercą majątku?

– Tak. Po śmierci sir Karola dowiadaliśmy się szczegółowo o wszystko, co dotyczy tego młodego człowieka i zawiadomiono nas, że poświęca się rolnictwu w Kanadzie. Wiadomości zaczerpnięte o nim są najzupełniej zado-



Mortimer prosi o radę Holmesa.

walające... W tej chwili nie mówię jako doktor, lecz jako wykonawca testamentu sir Karola Baskerville'a.

– Czy nie ma innych pretendentów do majątku pozostałego po nieboszczyku?



Informacje
o spadkobiercach.
Henryk
Baskerville
jedynym
spadkobiercą.

– Nie, panie, jedyny krewny, którego ślad odnaleziono, nazywa się, a raczej nazywał się, Roger Baskerville; był on trzecim bratem sir Karola. Drugi brat, który zmarł młodo, pozostawił tylko jednego syna, Henryka. Rogera, trzeciego brata, uważano zawsze w rodzinie za czarną owcę. Był on uosobieniem dawnego typu Baskerville'ów i, jak mnie zapewniano, błąkał się po świecie, jak stary Hugo. Pobyt w Anglii nie przypadł mu do gustu, przesiedlił się więc do Ameryki Środkowej, gdzie zmarł na żółtą febrę w 1876 r. Henryk więc jest ostatnim potomkiem rodu Baskerville'ów. Za godzinę i pięć minut mam się z nim spotkać na stacji Waterloo. Telegrafował do mnie z Southamptonu, że przyjedzie dziś rano... Cóż więc mam zrobić, panie Holmes?

– Dlaczegoż nowy spadkobierca nie mógłby zamieszkać w siedzibie swoich przodków?

– Wydaje się to rzeczą zupełnie naturalną, nieprawdą? Jednakże trzeba sobie przypomnieć, że wszyscy członkowie rodziny Baskerville'ów, którzy mieszkali w tym zamku, zginęli nagłą śmiercią. Mam to przekonanie, że gdyby sir Karol mógł ze mną mówić przed zgonem, z pewnością poleciłby mi, aby nie wprowadzać do tego domu ostatniego potomka jego rodu i spadkobiercy olbrzymiego majątku. Lecz z drugiej strony nie można zaprzeczyć, że dobrobyt tego nędznego zakątka kraju zależy głównie od obecności sir Henryka; wszystkie ulepszenia, jakie wprowadził sir Karol, byłyby stracone bezpowrotnie, gdyby zamek był niezamieszany. Przyszedłem więc prosić pana o zdanie i radę, gdyż lękam się, czy nie zanadto będę miał na względzie własny interes, własne dobro, o które mi chodzi.

Holmes siedział zamyślony długą chwilę; wreszcie rzekł:

– Wyrażając w innych słowach pańskie przekonanie, należy powiedzieć, że uważa pan pobyt w Dartmoor za niebezpieczny dla członków rodziny Baskerville'ów z powodu jakichś piekielnych wpływów.

– Czy nie mam powodu tak twierdzić?

– Nie przeczę. Ale, jeżeli pańska teoria o faktach nadprzyrodzonych jest prawdziwa, ten młodzieniec może podlegać tym wpływom tak samo w Londynie jak w Devonshire. Trudno mi wierzyć w diabła, którego potęgą sięgałaby tylko do granic jednej parafii, jak na przykład zarząd jakiejś fabryki.

– Panie Holmes, zapatrywałby się pan na tę kwestię poważniej, gdyby żył pan w większym zbliżeniu z tymi rzeczami. Według pana ten młodzieniec nie

jest narażony na większe niebezpieczeństwo w Devonshire niż w Londynie...
Przyjeżdża za pięćdziesiąt minut. Cóż mi pan radzi uczynić?

– Radzę panu wziąć powóz, zawołać swego psa, który drapie do moich drzwi, i podążyć na spotkanie sir Henryka Baskerville’a do stacji Waterloo.

– No, a potem?

– Potem nie powie mu pan nic, dopóki ja się nie zastanowię nad tym wszystkim.

– Czy będzie się pan długo namyślał?

– Dwadzieścia cztery godziny. Doktorze, będę panu szczerze wdzięczny, jeżeli przyjdzie tu pan jutro o dziesiątej. Proszę również, aby pan przyprowadził ze sobą sir Henryka.

– Bardzo chętnie, panie Holmes.

Doktor Mortimer zapisał na mankiecie godzinę spotkania i wyszedł.

Holmes zatrzymał go na schodach.

– Jeszcze jedno pytanie, doktorze. Mówił mi pan, że przed śmiercią sir Karola Baskerville’a kilka osób widziało na moczarach dziwne zjawisko.

– Tak, trzy osoby.

– A czy widziano je i później?

– Nie słyszałem o tym.

– Dziękuję panu. Do widzenia.

Holmes powrócił do swego fotela, a zadowolenie malujące się na twarzy mego przyjaciela dowodziło, że myśli o jakimś miłym zajęciu.

– Czy wychodzisz, Watsonie? – zapytał mnie.

– Tak, a może jestem ci potrzebny?

– Nie, kochany przyjacielu; pomoc twoja będzie mi potrzebna dopiero w chwili działania. Wiesz, że to wspaniała sprawa, pod niektórymi względami jedyna w swoim rodzaju. Jak będziesz przechodził koło sklepu Bradleya, powiedz, żeby mi przysłał funt mego zwykłego tytoniu. A teraz pozostaw mnie samego aż do wieczora. Jak wrócisz, opowiemy sobie nasze wnioski dotyczące tej ciekawej zagadki, którą nam dał do rozwiązania doktor Mortimer.

Holmes lubił rozważać w samotności każdą sprawę. Zbijał wtedy lub popierał swoje własne dowodzenia i dochodził do pewnych wniosków.

Spędziłem południe w klubie i dopiero wieczorem wróciłem na ulicę Baker.

Była godzina może dziewiąta, gdy znalazłem się znów w salonie Sherlocka Holmesa. Gdy otworzyłem drzwi, zdawało mi się, że się pali; gęsty dym nappełniał cały pokój, a płomień lampy migotał w tym dymie niepewnym blaskiem.



**Zwyczajne
Holmesa:**
Lubi samotnie
dedukować,
pali fajkę.

Postąpiłem kilka kroków i ochłonałem nieco; był to bowiem tylko dym tytoniowy, który zaczął mnie drapać w gardle, wywołując nieprzyjemny kaszel.

Po chwili dopiero wśród tej gęstej chmury dostrzegłem Holmesa, otulonego w szlafrok i zagłębionego w ulubionym fotelu. W zębach trzymał fajkę.

Naokoło niego, na dywanie, leżały różne ćwiartki papieru.

– Zaziębiłeś się, Watsonie? – zapytał.

– Nie, to ten szkaradny dym.

– A tak, dym jest gęsty...

– Ależ tu nie można oddychać!

– No, to otwórz okno. Założyłbym się, że cały ten czas przesiedziałeś w klubie.

– Mój kochany...

– No, czy zgadłem?

– Nie inaczey, ale jakim sposobem... – Holmes roześmiał się, widząc moje zdumienie.

– Jakiś ty naiwny – rzekł. – Miło mi, że mogę się zabawić twoim kosztem, używając tak mało wrodzonej przenikliwości. Pomyśl tylko, taki pan jak ty, który ma niewielu serdecznych przyjaciół, wychodzi podczas deszczu i błota i wraca wieczorem wcale nie zabłocony, w błyszczących butach... No, co można z tego wnioskować? To, że jegomość ów przesiedział gdzieś cały dzień... Nie jest to oczywiste i jasne...?

– Raczej tak.

– Na świecie jest dużo rzeczy jasnych, na które jednak nie zwraca się uwagi.

A jak ci się zdaje, gdzie ja byłem?

– Zdaje mi się, że także siedziałeś na tym samym miejscu.

– Mylisz się... byłem w Devonshire.

– Ale tylko w myśli?

– Naturalnie, ciało moje nie ruszało się z tego fotela i spożyło, bez współudziału mojej myśli, o czym przekonywam się z żalem, dwa duże kubki kawy i niezliczoną ilość tytoniu. Po twoim odejściu posłałem do Stanforda po mapę równiny Dartmoor i przebiegałem ją myślą w rozmaitych kierunkach. Pochlebiam sobie, że mógłbym już teraz po tej równinie wędrować bez przewodnika.

– Czy ta mapa przedstawia dużą przestrzeń?

– Bardzo dużą.



Opis
równiny
Dartmoor
i miejsc
wydarzeń.

Holmes rozwinął część mapy i rozłożył ją na kolanach.

– Oto obszar, o który nam chodzi – rzekł. – Tu pośrodku znajduje się posiadłość Baskerville Hall.

– Okolona lasem?

– Tak... Jakkolwiek szpaler cisowy nie jest określony żadną nazwą, przysięgłbym, że oznacza go ta linia, mająca po prawej stronie równinę. Tu, ten szereg domów, to wioska Grimpen, gdzie nasz przyjaciel, doktor Mortimer, ma główne miejsce zamieszkania. Widzisz, że w promieniu trzech mil siedziby ludzkie są rzadko rozrzucone. Tu jest posiadłość Lafter Hall, o której wspomina stary rękopis. Budynek oznaczony nieco dalej to mieszkanie przyrodnika Stapletona, jeżeli dobrze pamiętam jego nazwisko. Wreszcie dostrzegam dwa folwarki: High Tor i Foulmire. O czternaście mil stamtąd wznosi się więzienie Princetown. Dokoła i pomiędzy tymi domami ciągnie się równina ponura i pusta. Tu właśnie rozegrał się dramat, tu więc będziemy się starali rozwikłać osłaniającą go tajemnicę.

– To miejsce jest dzikie i puste?

– Tak jest. Gdyby diabeł chciał się mieszać w sprawy ludzkie...

– A więc i ty przypuszczasz, że istnieją jakieś potęgi nadprzyrodzone?

– A czy diabeł nie może się posługiwać pomocnikami, posiadającymi ciało i kości? Od początku dwa pytania nasuwają mi się na myśl.

Pierwsze, czy spełniono tu zbrodnię? Drugie, jakiego to rodzaju zbrodnia i w jaki sposób ją spełniono? Jeżeli przypuszczenia doktora Mortimera są uzasadnione i jeżeli znajdujemy się wobec potęgi, która wyłamuje się spod zwykłych praw natury, najlepiej byłoby zaniechać dalszych badań. Ale musimy wyczerpać wszystkie inne hipotezy, zanim zatrzymamy się na tej ostatniej. Zamknij teraz okno. Może być, że mam dziwne uprzedzenie, ale zdaje mi się, że skoncentrowana atmosfera pomaga zebrać myśli; nie zamykam się jednak w pudełku, aby lepiej myśleć; a byłby to logiczny wynik mego dowodzenia... No, a ty, czy zastanawiałeś się nad tą sprawą?

– Myślałem o niej wiele w ciągu dnia.

– I jakież twoje zdanie?

– Jestem istotnie w wielkim kłopotcie...

– Rzeczywiście, to sprawa niezwykła, zupełnie odmienna od innych... Na przykład ta zmiana w kształcie śladów stóp. Jakże ją sobie tłumaczysz?

– Mortimer twierdzi, że sir Karol Baskerville przebiegł część alei na palcach.

– Powtarza tylko wnioszek jakiegoś idioty, który prowadził śledztwo. Dlaczego Baskerville miałby przechadzać się po alei na palcach?

– A więc?

– Sądzę, że biegł! Sir Karol biegł z rozpaczliwym wysiłkiem! Biegł, aby się ocalić, dopóki nagły atak aneurysmu serca nie powalił go na ziemię.

– Ale dlaczego uciekał?

– W tym właśnie tkwi zagadka. Z niektórych oznak wnoszę, że był już przerażony do najwyższego stopnia, zanim zaczął uciekać.



Pierwsze wnio-
ski Sherlocka
Holmesa.

– Na czym opierasz ten wniosek?

– Przypuszczam, że powód jego strachu znajdował się na moczarach i to wydaje mi się prawdopodobnym, gdyż tylko człowiek oszalały ze strachu może się cofać tyłem do swego domu, zamiast iść, jak zwykle, w stronę domu. Jeżeli możemy wierzyć opowiadaniu Cygana, sir Karol biegł, wołając o pomoc, w kierunku, z którego najmniej mógł się spodziewać pomocy... Zresztą na co on czekał tej nocy? Dlaczego oczekiwał w szpalerze cisowym, a nie w zamku?

– Czy mniemasz, że czekał na kogoś?

– Doktor Mortimer odmalował nam sir Karola Baskerville'a jako człowieka starego i niedołężnego. Przypuśćmy nawet, że w tych przechadzkach było coś nienaturalnego... no, ale tego wieczora ziemia była wilgotna i noc zimna; czyż to zatem rzecz możliwa, ażeby sir Karol stał w jednym miejscu dziesięć minut, jak dowodzi doktor Mortimer, wnosząc z popiołu otrząśniętego z cygara?

– Przecież sir Karol wychodził podobno każdego wieczoru.

– Nie wydaje mi się to prawdopodobnym, aby co wieczór przechadzał się w pobliżu furtki prowadzącej na moczary. Zeznania wszystkich dowodzą przeciwnie: wszyscy mówią, że sir Karol unikał tego miejsca, a tej nocy znalazł się właśnie tam. Nazajutrz miał jechać do Londynu... Kwestia przedstawia się teraz jaśniej... Watsonie, daj mi moje skrzypce... Nie myślmy już o tej sprawie i czekajmy na odwiedzinę doktora Mortimera i sir Henryka Baskerville'a.



**Zwyczajne
Holmesa:**
Gra na
skrzypcach.

IV. SIR HENRYK BASKERVILLE

Tego rana zjedliśmy śniadanie bardzo wcześnie. Sherlock Holmes czekał w szlafroku na przybycie gości. Stawili się punktualnie; o godzinie dziesiątej ukazał się w pokoju doktor Mortimer i młody baronet¹.

Miał on około trzydziestu lat. Był niskiego wzrostu, żywego widocznie usposobienia, jego czarne oczy spoglądały bystro spod krzaczastych brwi, co nadawało jego twarzy wyraz energii i silnej woli. Postawę miał kształtną i proporcjonalną. Jego ogorzała cera dowodziła, że spędzał większą część życia na świeżym powietrzu. Spokój w spojrzeniu i powaga w ruchach wskazywały na człowieka dobrze wychowanego.

– Przedstawiam panom sir Henryka Baskerville’a – rzekł doktor Mortimer.

– Tak, to ja we własnej osobie – dodał młody człowiek. – Ale co dziwniejsze, panie Holmes, to fakt, że gdyby mój przyjaciel, tu oto obecny, nie był mi zaproponował, że mnie panu przedstawi, byłbym przyszedł do pana z własnego popędu. Pan lubi zagadki. A więc od dzisiejszego ranka jestem w posiadaniu zagadki, na której rozwiązanie trzeba poświęcić więcej czasu, niż mam do dyspozycji.

Holmes złożył ukłon.

– Racz usiąść, sir Henryku – rzekł. – Przypuszczam, że podczas krótkiego pobytu w Londynie padł pan ofiarą jakiejś przygody?

– O! Nic ważnego. Zdaje mi się, że to żart, tym mianem bowiem określić można list, jaki odebrałem dzisiaj rano.

I sir Henryk położył kopertę na stole.

Zbliżyliśmy się wszyscy, by ją lepiej zobaczyć; wykonana była z szarego papieru i wyglądała dość pospolicie. Niewprawna ręka nakreśliła na niej następujący adres:

„Sir Henryk Baskerville w hotelu Northumberland”.

Na liście był znaczek pocztowy z Charing Cross i data dnia poprzedniego.

– Czy ktoś wiedział, że pan się zatrzyma w hotelu Northumberland? – zapytał Holmes, patrząc uważnie na gościa.

– Nie, nikt nie wiedział, gdyż zdecydowałem się, gdzie zostanę, dopiero po spotkaniu się z doktorem Mortimerem.



Czas akcji
– godzina
dziesiąta rano.



**Sir Henryk
Baskerville:**
Wygląd
zewnątrzny.



Pokazanie Hol-
mesowi tajemni-
czego listu.

¹ baronet – najniższy dziedziczny tytuł szlachecki w Anglii

– Zapewne doktor Mortimer tam zamieszkał?
– Nie, ja zamieszkałem u przyjaciela – odpowiedział doktor – niemożliwym więc było przewidzieć, że udamy się do tego hotelu.

– Hm! – mruknął Sherlock. – Zdaje mi się, że jest ktoś doskonale powiadomiony o pańskich zamiarach.

Holmes wyjął z koperty pół arkusza papieru wydartego z kajetu i złożonego we czworo.

Rozłożył papier na stole; zawierał on tylko jedno zdanie, składające się z liter drukowanych, naklejonych na papierze. Zdanie to brzmiało:

„Jeżeli przywiązujecie wartość do swego rozumu lub swojego życia, unikajcie wąwozu”.

Jeden tylko wyraz, „wąwóz”, był napisany.

– Może mi pan wyjaśnić, panie Holmes – rzekł sir Henryk Baskerville – co to wszystko znaczy i co za człowiek może się mną tak żywo zajmować?

– Co doktor myśli o tym? Musi pan przyznać, że nie ma w tym niczego nadzwyczajnego.

– Nie przeczę, panie Holmes. Ale czy ta przestroga nie może być przysłana przez osobę pewną tego, że znajdujemy się wobec faktów nadprzyrodzonych?

– Jakich faktów? – zapytał żywo sir Henryk. – Zdaje mi się, że panowie znacznie lepiej moje interesy i sprawy aniżeli ja sam.

– Zanim pan wyjdzie z tego pokoju – odpowiedział Sherlock Holmes – będzie pan wiedział to wszystko, co i my; przyrzekam to panu. W tej chwili, jeżeli się pan



Metoda dedukcji Holmesa.

na to zgadza, musimy się bacznie przypatrzeć temu ciekawemu dokumentowi. Został on niewątpliwie zredagowany wczoraj wieczór i oddany natychmiast na pocztę. Czy masz Watsonie wczorajszego „Timesa”?

– Leży tam na stole.

– Podaj mi go, proszę cię, chcę przejrzeć kolumnę zawierającą artykuły wstępne. Holmes przebiegał szybko wzrokiem gazetę.

– Najważniejszy artykuł mówi o wolnym handlu – rzekł. – Pozwólcie, bym wam z niego przeczytał wyjątek: „Mylnym jest mniemanie, że taryfy ochronne podnoszą przemysł i handel narodowy. Jeżeli przywiązujecie dużą wartość do waszych stosunków handlowych, unikajcie tego prawa, które obniży ogólne warunki bytu. Rozsądek wskaże wam grożące niebezpieczeństwo”.

– Jakie jest twoje zdanie o tym artykule, Watsonie? – zawołał wesoło Holmes, zacierając ręce z widocznym zadowoleniem.

Doktor Mortimer patrzył ciekawie na Holmesa, a sir Henryk spoglądał na mnie ze zdumieniem.

– Nie mam dokładnego pojęcia o taryfach i ekonomii politycznej – rzekł sir Henryk. – Zresztą zdaje się, że ten list odwrócił naszą uwagę od głównego przedmiotu.

– Przeciwnie, sir Henryku, zdaje mi się, że sprawa się wyjaśnia. Watson jest bardziej wtajemniczony w moją metodę, a jednak widzę, że nie zrozumiał dokładnie istoty tego cytatu.

– W istocie – odparłem – nie mogę pojąć, co za związek...

– Jest związek i to bardzo wielkiej wagi... „Jeżeli... swoje... życie... rozum... przywiązujecie... wartość... unikajcie...” Czy pan rozumie, skąd wzięto te wyrazy?

– Ma się rozumieć! – zawołał sir Henryk. – Bardzo zręcznie zrobione.

– Gdybym nawet miał jakąkolwiek pod tym względem wątpliwość – ciągnął dalej Holmes – to wyrazy „unikajcie” lub „przywiązujecie wartość”, które są żywcem wycięte nożyczkami, rozproszyłyby ją natychmiast.

– W istocie, panie Holmes, to przechodzi ludzkie pojęcie – rzekł Mortimer, spoglądając ze zdumieniem na mego przyjaciela. – Domyśleć się, że zdanie jest wycięte z gazety nietrudno, ale z jakiej gazety, a nawet z jakiego artykułu, to w istocie zdumiewające! Jakim sposobem pan to odgadł?

– Przypuszczam, doktorze, że potrafi pan odróżnić czaszkę Murzyna od czaszki Eskimosa?

– Naturalnie, że potrafię.

– A jakim sposobem odgadnie pan różnicę?

– Przecież to mój fach, uczyłem się tego. Różnice są tak wielkie, że same rzucają się w oczy. Kość czołowa, kąt twarzy, rysunek szczęk i...

– A to, co ja mówię, dotyczy znów mojego fachu; różnice również biją w oczy. Ja widzę taką samą różnicę pomiędzy drukiem „Timesa” a jakiejś marnej gazety, jak pan pomiędzy Murzynami a Eskimosami. Rozpoznawać czcionki drukarskie to najłatwiejsza umiejętność dla człowieka poświęcającego się sprawom kryminalnym. Przyznaję, że będąc młodym, nie odróżniałem nieraz „Leeds Mercury” od „Western Morning News”. Druk „Timesa” poznać bardzo łatwo i te wyrazy nie mogły być wzięte z innego dziennika. List datowany jest wczoraj, szukałem zatem w numerze wczorajszym.

– Więc ktoś wyciął te wyrazy nożyczkami? – zapytał sir Henryk Baskerville.

– Naturalnie; i to nożyczkami takimi, jakich używa się do obcinania paznokci – dodał Holmes. – Ostrze ich musiało być krótkie, gdyż znać dwa cięcia w wyrazach: „unikajcie” i „przywiązujecie wartość”.



Holmes odgaduje, że wyrazy do listu wycięto z „Timesa”.

– Rzeczywiście, ktoś wycinał wyrazy małymi nożyczkami i następnie przylepiał je klejem.

– Nie, gumą – poprawił Holmes.

– No, niech będzie gumą – powtórzył sir Henryk. – Ale niech mi pan wytłumaczy, dlaczego wyraz „wąwóz” jest napisany?

– Dlatego że tego wyrazu nie ma w artykule. Inne wyrazy spotkać można wszędzie, we wszystkich gazetach, ale „wąwóz” niełatwo znaleźć.

– Przyjmuję pańskie wyjaśnienie, panie Holmes, ale czy pan w tym ostrzeżeniu doczytał się jeszcze czegoś innego?

– Zaczepnąłem z niego parę wskazówek, choć widać w tym piśmie staranie o zatarcie takich, które mogły naprowadzić na domysły. Na przykład adres napisany niekształtnie i niedbale, a przecież wiemy, że „Timesa” prenumerują tylko ludzie wykształceni. Z tego możemy wnosić, że list układał człowiek wykształcony, który pragnął uchodzić za nieuka. Następnie, usiłowanie zmiany pisma nasuwa myśl, że pan zna charakter tego pisma lub może go poznać wkrótce. Potem, proszę zwrócić uwagę na to, że wyrazy nie są naklejone w linii prostej, lecz jedne wyżej, drugie niżej, i tak „życie” jest zupełnie ponad linią. Czy ten brak staranności należy przypisać niedbalstwu tego, który wycinał te słowa lub też zdenerwowaniu albo pośpiechowi? Dajmy na to, że pośpiechowi. Przestroga jest wielkiej wagi i ten, który ją układał, czynił to z uwagą i natężeniem. Gdybyśmy przypuścili, że niedbalstwo pochodziło z pośpiechu, trzeba by szukać, jaka była tego przyczyna, gdyż ten list, czy byłby wrzucony wczoraj wieczorem, czy dziś rano, powinien był dojść do rąk sir Henryka, zanim tenże wyszedłby z hotelu. Piszący więc lękał się, aby mu nie przerwano. Ale kogo się obawiał?

– Wchodzimy teraz w dziedzinę przypuszczeń – odezwał się doktor Mortimer.

– Tak jest – potwierdził Holmes – i z tych przypuszczeń musimy wybrać to, które wydaje nam się najprawdopodobniejsze. To się nazywa naginać wyobraźnię do nauki. Czyż nie mamy zawsze do naszego rozporządzenia jakiegoś rzeczywistego zdarzenia, na którym możemy opierać nasze domysły? Może mnie pan jeszcze raz oskarżyć o stawianie hipotezy, ale jestem pewien, że ten list był pisany w hotelu.

– Z czego pan to wnosi? – zawołał Mortimer.



Wnioski Holmesa dotyczące sprawy. Hipoteza Holmesa, że list napisano w hotelu.

– Jeśli pan się uważnie przypatrzy tej korespondencji, przekona się pan, że pióro i atrament pozostawiały wiele do życzenia. Pióro bryznęło dwukrotnie w tym samym wyrazie, a w adresie nie chciało znowu wypuścić atramentu, chociaż adres jest krótki... Zatem pióro było zużyte, a w kałamarzu brak było atramentu. Pióro zaś i kałamarz w mieszkaniu prywatnym rzadko znajdują się w takim zaniedbaniu. A pióra i kałamarze w hotelach zna pan zapewne

dobrze... Toteż nie waham się powiedzieć, że powinniśmy przetrząsnąć kosze do papierów w hotelach sąsiadujących z Charing Cross, a ręczę, że znaleźlibyśmy pocięty numer „Timesa”. Idąc za tą wskazówką, sądzę, że schwytalibyśmy autora tej dziwnej przestrogi... No, no...

Holmes przysunął papier bliżej oczu i przypatrywał się pilnie naklejonym wyrazom.

– Cóż więc? – zapytałem go.

– Nic – odparł, kładąc ćwiartkę papieru na stole. – Papier jest biały, bez żadnego znaku. Zdaje mi się, że wysnuliśmy z tego listu wszystko, czegośmy się mogli z niego dowiedzieć. Teraz, sir Henryku, proszę powiedzieć, czy nie przytrafiło się panu nic innego od chwili, gdy wysiadł pan z pociągu?

– Nie, panie Holmes... Nie pamiętam.

– Nie zwrócił pan uwagi, czy ktoś nie przypatrywał się lub nie szedł za panem?

– Zdaje mi się, że jestem bohaterem zawilego romansu – odpowiedział sir Henryk. – Dlaczego, do licha, miałyby mnie kto śledzić lub iść za mną?

– Jednakże zdaje mi się, że tak było. Czy nie ma pan nam nic więcej do powiedzenia, zanim zaczniemy dochodzić, jaki to jest rodzaj opieki, którą pana otoczono?

– Nie wiem, co pan uważa za godne powtórzenia?

– Wszystko, co tylko wychodzi poza zakres pospolitych zdarzeń życia.

Sir Henryk uśmiechnął się.

– Nie znam zwyczajów życia angielskiego – powiedział – gdyż większą część życia spędziłem w Stanach Zjednoczonych lub w Kanadzie. Nie sądzę jednak, aby strata buta wychodziła poza granice pospolitych zdarzeń w życiu.

– Zgubił pan jeden but?

– Ech, pewnie się gdzieś zawieruszył – odezwał się Mortimer.

– Znajdzie go pan po powrocie do hotelu. Czy to warto nudzić pana Holmesa takimi drobnostkami?

– Pan Holmes pytał mnie, więc mu odpowiadam – odparł sir Henryk.

– Bardzo słusznie pan czyni – rzekł Holmes. – Proszę mi opowiedzieć wszystko, nawet to, co uważa pan za zdarzenie błahe. A więc utracił pan but?

– Jeżeli go nie zgubiłem, to w każdym razie zawieruszył się. Wczoraj wieczorem postawiłem buty przed drzwiami swego pokoju, a dziś rano znalazłem tylko jeden but. Pytałem chłopca hotelowego, lecz nie umiał mi dać żadnego wyjaśnienia. A były to buty nowiuteńkie, kupiłem je wczoraj na Strandzie i nie miałem ich jeszcze na nogach.



Zgubienie buta przez sir Henryka.



Plan zajęć Henryka w dniu kradzieży buta.

– Jeśli pan w nich nie chodził, dlaczego kazał je pan czyścić?
– Żółta skóra nie miała glansu, chciałem, żeby go nabrała.
– Wczoraj więc, przyjechawszy do Londynu, wyszedł pan natychmiast na miasto i kupił obuwie?

– Kupowałem jeszcze inne rzeczy... Doktor Mortimer towarzyszył mi. Do licha! Jeżeli mam grać rolę wielkiego pana, muszę być odpowiednio ubrany... Na Dzikim Zachodzie nie dbałem tak o swoją powierzchowność... Robiąc inne sprawunki, kupiłem też i żółte obuwie, zapłaciłem za nie sześć dolarów i skradziono mi je, zanim je włożyłem na nogi.

– Nie pojmuję, w jakim celu popełniono by tę kradzież – rzekł Holmes. – Podzielał zdanie doktora Mortimera, że but znajdzie się wkrótce.

– Zdaje mi się, panowie – rzekł baronet – że mówiliśmy już dosyć o mnie. Nadeszła chwila, żebyście mi powiedzieli to, co wiecie.

– Życzenie pańskie jest słuszne – odpowiedział Sherlock Holmes. – Doktorze, proszę powtórzyć sir Henrykowi opowieść, z którą zapoznał nas pan wczoraj rano.



Sir Henryk
poznaje okoliczności
śmierci
sir Karola.

Nasz przyjaciel, zachęcony w ten sposób, wyjął z kieszeni papiery i opowiedział historię znaną już czytelnikom. Sir Henryk Baskerville słuchał go z najgłębszą uwagą. Od czasu do czasu mimowolny okrzyk zdumienia wyrwał mu się z piersi. Gdy doktor Mortimer zamilkł, baronet zawołał:

– Odziedziczyłem zatem przekłętą spuściznę. Tak jest, od dzieciństwa słyszałem o tym psie. Jest to podanie znane dobrze w naszej rodzinie, ale nie myślałem, aby to była rzecz poważna. Co zaś do śmierci mojego stryja... Zdaje mi się, że wszystko przewraca mi się w głowie... nie mogę powiązać ze sobą dwóch myśli... Pytam, czy to, co mi pan powiedział, wymaga śledztwa sądowego, czy też egzorcyzmu?

– Rzeczywiście, trudno o tym zawyrokować.

– Następnie ten list przysłany do hotelu... trzeba przyznać, że list przyszedł w porę.

– Jest on zarazem dowodem, że ktoś wie lepiej niż my, co się dzieje na mozarach – rzekł Mortimer.

– I że ten ktoś jest panu życzliwy, ponieważ ostrzegł pana o niebezpieczeństwie – dodał Holmes.

– Może moja obecność krzyżuje tam pewne plany.

– To możliwe... Dziękuję panu, doktorze, że dał mi pan do rozwiązania zagadkę, która zawiera tyle ciekawych szczegółów. Teraz, sir Henryku Baskerville'u, pozostaje nam tylko jedna kwestia do rozstrzygnięcia: czy ma pan jechać do Baskerville Hall?

– Dlaczegoż miałbym nie jechać?
– Bo tam może grozić panu niebezpieczeństwo.
– Niebezpieczeństwo pochodzące od złego ducha prześladującego rodzinę czy też ze strony ludzi?

– Należałoby to wyjaśnić.

– Jakiegokolwiek jest zdanie panów, ja już wiem, jak postąpić.

Panie Holmes, nie istnieje w piekle taki diabeł, ani na ziemi taki człowiek, który mógłby mi przeszkodzić udać się do siedziby moich przodków. Oto jest moje ostatnie słowo.

Podczas tej przemowy brwi sir Henryka zbiegły się, a twarz przybrała barwę purpurową. Ostatni potomek Baskerville'ów odziedziczył widocznie gwałtowny temperament swoich przodków.

– Muszę zastanowić się nieco dłużej nad tym wszystkim, co mi pan powiedział – rzekł po chwili. – Niepodobna tak od razu objąć wszystkiego i powziąć postanowienie. Chciałbym spędzić godzinę w samotnym skupieniu... Panie Holmes, teraz jest wpół do jedenastej; powracam prosto do hotelu; może pan zechce wraz z doktorem Watsonem przyjść do mnie o drugiej i zjeść z nami śniadanie? Sądzę, że wyrobię sobie do tego czasu jaśniejsze pojęcie o tej całej sprawie.

– Czy zgadzasz się, Watsonie?

– Najzupełniej.

– W takim razie niech pan czeka na nas. Czy posłać po dorożkę?

– Wolę pójść pieszo; jestem bardzo wzburzony.

– Będę panu towarzyszył z przyjemnością – odezwał się doktor Mortimer.

– A więc, do widzenia o drugiej!

Usłyszeliśmy odgłos kroków naszych gości na schodach i stuk zamykanych drzwi. W teże chwili Holmes wyrwał się z zadumy i zamienił w człowieka czynu.

– Kapelusze i buty, Watsonie, szybko! Nie ma chwili do stracenia!

Wpadł w szlafroku do garderoby i w kilka sekund później powrócił w surducie. Zbiegliśmy ze schodów i wypadliśmy na ulicę. Dr Mortimer i Baskerville szli jakieś dwieście metrów przed nami, w kierunku ulicy Oxford.

– Czy mam ich dogonić i zatrzymać? – spytałem.

– Ani mi się waź! Twoje towarzystwo wystarczy mi najzupełniej, jeśli ty zadowolisz się moim. Ci panowie mieli słuszność, ranek dzisiejszy jest wyśmienity na przechadzkę.

Przyśpieszył kroku tak, że niebawem odległość dzieląca nas od tamtych panów zmniejszyła się o połowę, po czym, pozostając już o jakieś sto metrów w tyle,



Niebezpieczeństwo grożące sir Henrykowi.



Gwałtowność Henryka.



Czas akcji – wpół do jedenastej.



Zaproszenie Holmesa na śniadanie do hotelu.



Holmes śledzi Mortimera i Baskerville'a.



Zauważenie dorożki z woźnicą.

szliśmy za nimi przez ulicę Oxford, a później Regenta. Raz jeden dr Mortimer i Baskerville zatrzymali się przed jakąś wystawą sklepową, a Holmes uczynił to samo. W chwilę później wydał stłumiony okrzyk radości; śledząc kierunek jego badawczego wzroku, spostrzegłem karetkę dorożkarską z jakimś pasażerem, która stała po przeciwnej stronie ulicy i teraz ruszyła znów wolno w drogę.

– Mamy go, Watsonie! Chodź prędko. Przyjrzyjmy mu się przynajmniej, jeżeli nam się nic innego nie uda.

W przelocie dostrzegłem gęstą czarną brodę i dwie przenikliwe żrenice, spoglądające na nas przez boczne okna dorożki. W tejże chwili otworzyło się z impetem okienko, przez które pasażer porozumiewa się z woźnicą, jadący krzyknął coś powożącemu i dorożka potoczyła się galopem ulicą Regenta. Holmes obejrzał się bacznie dokoła, szukając innej, lecz nie znalazł pustej; puścił się więc pędem za dorożką wśród wiru ulicznego; zbyt wielka dzieliła ją już odległość i niebawem zupełnie znikła nam z oczu.



Rozmowa Holmesa z Watsonem dotycząca tajemniczej dorożki.

– Do licha! – zaklął Holmes ze złością, gdy wydostał się, zadyszany, spomiędzy szeregu pojazdów. – Czy widział kto kiedy taki fatalizm i takie niedołęstwo? Watsonie, Watsonie. Jeżeli jesteś człowiekiem sprawiedliwym, zapamiętasz to i zapiszesz na rachunek moich niepowodzeń.

– Kto to był?

– Nie mam pojęcia.

– Szpieg?

– Sądząc z tego, cośmy słyszeli, nie ulega wątpliwości, że od chwili przyjazdu Baskerville'a, ktoś śledzi go bardzo pilnie i chodzi za nim jak cień. Inaczej, skąd wiedziałby od razu, że zamieszkał w hotelu Northumberland? Jeśli śledzili go pierwszego dnia, wywnioskowałem, że będą go szpiegowali i następnego. Zauważyłeś pewnie, że gdy dr Mortimer czytał swoją opowieść, zbliżyłem się dwukrotnie do okna.

– Tak, przypominam sobie.

– Patrzyłem, czy ktoś nie chodzi przed domem, ale nie spostrzegłem nikogo. Słuchaj, mamy do czynienia z bardzo wytrawnym człowiekiem. Sprawa się wikła, a jakkolwiek nie jestem pewien, jakie czynniki wchodzą tu w grę, przyjazne czy wrogie, niemniej przynaję działanie jakiejś ukrytej siły. Gdy przyjaciele nasi wyszli od nas, udałem się za nimi, chcąc wykryć ich niewidzialnego opiekuna. Człowiek ten jest taki przebiegły, że nie chciał puścić się pieszo, lecz wsiadł w dorożkę, tak by mógł śledzić ich z tyłu lub wyprzedzić i w ten sposób ująć ich uwadze. Metoda ta zapewniała mu nadto i tę korzyść, że gdyby zechcieli jechać

dorożką, mógł ich śledzić bez ryzyka straty czasu. Z tym wszystkim wszakże taki sposób postępowania ma jedną bardzo złą stronę.

– Zdaje tego jegomościa na łaskę i niełaskę dorożkarza.

– Właśnie.

– Co za szkoda, że nie zauważyliśmy jego numeru.

– Mój drogi, jakkolwiek zgapiłem się porządnie, nie przypuszczasz chyba na serio, że nie znam numeru dorożki? 2704... Zapamiętałem go dobrze. Ale na razie mało nas to obchodzi.

– Nie wiem, dalibóg, co mógłbyś więcej uczynić.

– Gdybym wcześniej zauważył dorożkę, zawróciłbym niezwłocznie, poszedł w przeciwnym kierunku i znalazł z pewnością wolną dorożkę; a wówczas mógłbym jechać za nim w dogodnym oddaleniu, lub też, co byłoby lepsze, podążyłbym naprzód do hotelu Northumberland i zczekałbym. Jeżeli okazałoby się, że nasz nieznajomy śledzi Baskerville'a, to my, wzajem, śledzilibyśmy jego. Tymczasem, skutkiem nierozważnego pośpiechu, z którego przeciwnik nasz umiał skorzystać z rzadką szybkością i energią, zdradziliśmy się i straciliśmy jego ślady.

Rozmawiając, szliśmy wolno ulicą Regenta i od dawna już straciliśmy z oczu dra Mortimera i jego towarzysza.

– Dalsze śledzenie ich nie ma celu – rzekł Holmes. – Cień znikł i już nie powróci. Pozostały nam jednak jeszcze inne karty w ręku i z tych skorzystamy. Czy poznałbyś człowieka, który siedział w dorożce?

– Poznałbym tylko jego brodę.

– I ja również... skąd wnoszę, że według wszelkiego prawdopodobieństwa, była fałszywa. Człowiek sprytny, spełniający zadanie takiej drażliwej natury, nosi brodę jedynie w celu ukrycia rysów twarzy. Wejdźmy tutaj.

Holmes wszedł do biura posłańców tej dzielnicy miasta, gdzie dyrektor powitał go z wielką uprzejmością.

– A! Pan Wilson... Widzę, że nie zapomniał pan drobnej przysługi, jaką mu wyświadczyłem.

– Nie, panie Holmes, nie zapomnę. Ocalił mi pan honor, a może i życie.

– Przesadza pan, mój drogi. Przypominam sobie, panie Wilson, że miał pan między swymi chłopcami malca nazwiskiem Cartwright, który w toku śledztwa złożył dowody niemałego sprytu.

– Tak, panie, jest jeszcze u nas.

– Może pan zadzwonić na niego, żeby tu przyszedł? Dziękuję! A teraz rad bym, żeby mi pan rozmiął banknot pięciofuntowy.

Chłopiec czternastoletni, o twarzy inteligentnej i sprytnych oczach, przybył na odgłos dzwonka dyrektorskiego, stanął przed Holmesem i wpatrywał się z wielkim szacunkiem w głośnego agenta tajnej policji.

– Daj mi przewodnik hotelowy – rzekł Holmes. – Dziękuję! Słuchaj, Cartwright, masz tutaj nazwy dwudziestu trzech hoteli położonych w bezpośrednim sąsiedztwie Charing Cross. Widzisz?

– Widzę, panie.

– Zwiedzisz je wszystkie kolejno.

– Dobrze, panie.

– Zaczyniesz od tego, że odzwiernemu każdego z nich dasz szylinga. Masz tu dwadzieścia trzy szylingi.

– Dobrze, panie.

– Zażądasz od każdego z nich, żeby ci dał do przejrzania kosz z papierami z dnia poprzedniego. Powiesz, że zaniesiono ważny telegram pod niewłaściwy adres i że musisz go odnaleźć. Rozumiesz?

– Rozumiem, panie.

– W istocie zaś będziesz szukał środkowej stronicy „Timesa” powycinanej nożyczkami. Masz tu ten sam numer „Timesa”, a oto stronica, o którą mi chodzi. Poznasz ją z łatwością, co?

– Poznam, panie.

– W każdym hotelu odzwierny odeśle cię do posługacza, któremu również dasz szylinga. Masz tu znów dwadzieścia trzy szylingi. Według wszelkiego prawdopodobieństwa w dwudziestu hotelach na dwadzieścia trzy powiedzą ci, że papiery z kosza zostały spalone albo wyrzucone. W trzech zaprowadzą cię do stosu papierów i tam będziesz szukał stronicy „Timesa”. Małe jest bardzo prawdopodobieństwo, żebyś ją znalazł. Masz jeszcze dziesięć szylingów na wydatki nieprzewidziane. Doniesiesz mi telegraficznie przed wieczorem na ulicę Baker, coś zrobił. A teraz, Watsonie, musimy, również telegraficznie, stwierdzić tożsamość dorożkarza nr 2704, po czym wstąpimy do którejkolwiek galerii obrazów na ulicy Bond, dla zabicia czasu, dopóki nie nadejdzie godzina spotkania w hotelu.

V. TRZY ZERWANE NICI

Sherlock Holmes posiadał w wysokim stopniu możliwość odrywania umysłu swego od spraw pochłaniających na razie jego uwagę. Przez dwie godziny szczególna sprawa, w którą zostaliśmy wplątani, poszła w zapomnienie, a Holmes utonął w podziwie dzieł współczesnych mistrzów belgijskich. Nie chciał mówić o niczym, tylko o sztuce, o której zresztą miał bardzo słabe pojęcie, nawet podczas drogi z galerii do hotelu Northumberland.

– Sir Henryk Baskerville czeka na panów u siebie – rzekł urzędnik biura hotelowego. – Polecił mi, abym panów niezwłocznie poprosił na górę.

– Czy pan pozwoli mi zajrzeć do książki przyjezdnych? – spytał Holmes.

– Owszem, proszę.

– Księga wykazała, że po Baskerville’u zapisane zostały jeszcze trzy nazwiska: Teofila Johnsona z rodziną z Newcastle i pani Oldmore z pokojówką, z High Lodge, Alton. To niewątpliwie ten sam Johnson, którego ja znam – zwrócił się Holmes do portiera. – Adwokat, nieprawda? Siwy, utyka, chodząc?

– Nie, panie, ten pan Johnson jest właścicielem składu węgla. To bardzo rzeźki jegomość, nie starszy od pana.

– Myli się pan niechybnie co do jego zawodu.

– Nie, panie; od szeregu lat zatrzymuje się w tym hotelu, znamy go wszyscy bardzo dobrze.

– Ha, to rzecz inna. A pani Oldmore? Zdaje mi się, że to nazwisko nie jest mi obce. Proszę wybaczyć moją ciekawość, ale często, odwiedzając jednego znajomego, znajdujemy i drugiego.

– Pani Oldmore jest sparaliżowana. Mąż jej był kiedyś burmistrzem Gloucesteru. Ilekroć przyjeżdża do Londynu, zawsze zatrzymuje się u nas.

– Dziękuję za objaśnienia. Zdaje mi się, że nie znam tej osoby.

Wchodząc na schody, Holmes mówił do mnie przyciszonym głosem:

– Stwierdziliśmy tymi pytaniami fakt bardzo ważny. Wiemy teraz, że ci, którzy zajmują się tak pilnie naszym przyjacielem, nie zamieszkali w tym samym hotelu. To dowodzi, że jakkolwiek śledzą go bacznie, o czym mieliśmy sposobność się



Zainteresowanie Holmesa sztuką.



Miejsce akcji – hotel Northumberland.



Holmes rozmawia z portierem na temat gości hotelowych.

przekonać, równie bacznie wystrzegają się, by ich nie zauważono. Okoliczność ta daje dużo do myślenia.

– Co mianowicie?

– Podsuwa myśl... a to co? Co się tu dzieje u licha?



Kradzież
starego buta
sir Henryka.

Na skrócie korytarza hotelowego wpadliśmy na sir Henryka Baskerville'a we własnej osobie. Twarz miał rozognioną gniewem, a w rękę trzymał stary i zakurzony but. Był taki wściekły, że minęła dobra chwila, zanim zdołał wydobyć głos z gardła, a gdy się odezwał, mówił, wyraźniejszym jeszcze niż z rana, dialektem amerykańskim.

– Zdaje mi się, że sobie tu drwią ze mnie w tym hotelu! – krzyczał. – Ale niech się strzegą, bo pożałują! Do pioruna! Jeśli chłopak nie znajdzie buta, który mi zginął, narobię takiego piekła, że mnie popamiętają! Znam się na żartach, panie Holmes, ale tym razem przeholowali trochę.

– Szuka pan jeszcze ciągle swojego buta?

– Tak, panie, i mam zamiar go odnaleźć.

– Ale przecież mówił pan, że zginął panu nowy żółty but?

– Tak, a teraz znów stary czarny.

– Co?! Ależ co pan mówi?

– To, co jest. Mam tylko trzy pary. Nowe żółte, stare czarne i te, które noszę. Wczoraj wieczorem zabrali mi jeden żółty, a dzisiaj rano skradli mi znów czarny. I cóż, znaleźliście? Mów człowieku, zamiast stać i gapić się na mnie!

Na widowni ukazał się służący, Niemiec.

– Nie, panie, pytałem w całym hotelu, ale nikt nic nie wie.

– Albo but znajdzie się przed wieczorem, albo zawiadomię właściciela hotelu, że niezwłocznie opuszczam jego budę.

– Znajdzie się... przyrzekam panu, że się znajdzie, proszę tylko o trochę cierpliwości.

– No, pamiętajcie! Nie chcę pod żadnym pozorem tracić butów w tej złodziejskiej norze. Panie Holmes, proszę mi wybaczyć, że nudzę pana taką błażostką...



Rozmowa
Holmesa z sir
Henrykiem
o ostatnich
dziwnych
wydarzeniach.

– Myli się pan, to wcale nie błażostka.

– Czyżby w istocie sprawa wydała się panu poważna?

– Czym pan sobie to tłumaczy?

– Nie usiłuję wcale tłumaczyć sobie tej całej awantury. Faktem jest, że nie zdarzyło mi się jeszcze dotąd nic równie osobliwego i szalonego.

– Osobliwe... może – rzekł Holmes, zamyślony.

– A co pan z tego wnioskuje?

– Jak dotąd, nic jeszcze nie rozumiem. Wszystkie pańskie przygody, sir Henryku, składają się na historię niesłychanie zawiłą. Gdy nadto dodam do nich śmierć stryja pańskiego, zdaje się, że z pięciuset spraw ważniejszych, jakimi się zajmowałem, nie było ani jednej równie osobliwej. Ale mamy w ręku kilka nici, a z tych jedna niechybnie naprowadzi nas na drogę prawdy. Stracimy może nieco czasu, idąc zrazu śladem fałszywej, ale wcześniej czy później natrafimy na właściwą.

Podczas śniadania mówiliśmy niewiele o sprawie, która nas zgromadziła. Dopiero gdy przeszliśmy następnie do bawialni, Holmes zapytał Baskerville'a, jakie są jego zamiary.



Śniadanie u sir Henryka.

– Pojadę do Baskerville Hall.

– Kiedy?

– W końcu tygodnia.

– Zdaje mi się – rzekł Holmes – że to postanowienie pana jest rozumne. Mam niezachwiane przeświadczenie, iż szpiegują pana w Londynie, a wśród kilkumilionowej ludności tutejszej trudno będzie odnaleźć, kto pana śledzi i co ma na celu. Jeśli zamiary te są złe, może panu wyrządzić krzywdę, a nam niepodobna będzie zapobiec temu. Czy doktor też zauważył, że ktoś śledził panów dzisiaj rano, gdy wyszliście ode mnie?

Dr Mortimer poruszył się gwałtownie.

– Śledził... nas! Któż taki?

– Na nieszczęście tego powiedzieć nie mogę. Czy kto pomiędzy sąsiadami lub znajomymi pana w Dartmoor nosi pełny czarny zarost?

– Nie... a może jednak... tak, tak, Barrymore, kamerdyner sir Karola, ma czarną brodę.

– A! Gdzież jest ten Barrymore?

– Powierzono mu pieczę nad zamkiem.

– Należy się upewnić, czy jest tam istotnie, czy też może przybył niespodzianie do Londynu.

– Jakże pan to stwierdzi?

– Proszę o blankiet telegraficzny... „Czy wszystko gotowe na przyjęcie sir Henryka?”. To wystarczy. Trzeba zaadresować depeszę do pana Barrymore'a w Baskerville Hall. Jaka jest najbliższa stacja telegraficzna? Grimpen... dobrze. Do pocztmistrza w Grimpenie wyślemy drugą depeszę takiej treści: „Depeszę do pana Barrymore'a doręczyć mu do rąk własnych. Jeśli nieobecny, zwrócić ją sir Henrykowi Baskerville'owi, hotel Northumberland”. W ten sposób przed wieczorem jeszcze dowiemy się, czy Barrymore jest na stanowisku w Devonshirze.

– Wyśmienicie – odezwał się Baskerville. – Ale, ale, doktorze, kim jest właściwie ten Barrymore?



Barrymore:
Przedstawienie postaci, uczciwość.

– To syn starego intendenta zamkowego, który już nie żyje. Barrymore'owie od czterech pokoleń służą rodzinie Baskerville'ów. O ile wiem, kamerdyner sir Karola i jego żona są ludźmi bardzo uczciwymi.

– Niemniej – rzekł Baskerville – faktem jest, że dopóki nikt z rodziny nie mieszka w zamku, ci ludzie mają pańską rezydencję i nic nie robią.

– To prawda.

– Czy sir Karol zapisał coś w testamencie Barrymore'owi? – spytał Holmes.



Zapis w testamencie sir Karola dla Barrymore'a.

– A jakże, i jemu, i jego żonie po pięćset funtów sterlingów.

– A!... Czy wiedzieli o tym zapisie?

– Wiedzieli; sir Karol lubił opowiadać o swoich rozporządzeniach testamentowych.

– To ciekawe.

– Spodziewam się – rzekł dr Mortimer – że nie wszyscy obdarzeni legatami przez sir Karola wydają się panu podejrzeni; i mnie bowiem zapisał tysiąc funtów.

– Doprawdy! I komuż jeszcze?

– Różnym osobom drobne kwoty, nadto zostawił znaczniejsze sumy na cele dobroczynne, reszta zaś przypada w udziale sir Henrykowi.

– A ileż wynosi ta reszta?

– Siedemset czterdzieści tysięcy funtów.

Holmes otworzył wielkie oczy.



Bogactwo sir Karola.

– Nie miałem pojęcia, że sir Karol pozostawił taki olbrzymi majątek – rzekł.

– Sir Karol uchodził za człowieka bogatego, ale dopóki nie przyszło do spisu inwentarza, nie wiedzieliśmy, jak wielkim był magnatem. Ogółem majątek jego wynosił blisko milion funtów.

– Tam do licha! To garstka nie lada, warto się o nią pokusić, nie przebieając w środkach. Jeszcze jedno pytanie, doktorze. W razie gdyby naszemu młodemu przyjacielowi stało się coś złego... proszę mi wybaczyć, sir Henryku, to niemiłe przypuszczenie... kto odziedziczyłby majątek?



Desmondowie:
Przedstawienie postaci.

– Ponieważ Roger Baskerville, młodszy brat sir Karola, umarł kawalerem, przeto spadkobiercami zostaliby Desmondowie, dalecy krewni. Jakub Desmond to człowiek w podeszłym wieku, kapłan w Westmorelandzie.

– Dziękuję bardzo. Są to szczegóły niezmiernie ważne. Czy doktor zna pana Jakuba Desmonda?

– Widziałem go raz u sir Karola. Całym zachowaniem swym budzi najwyższy szacunek, a życie prowadzi bardzo przykładne. Pamiętam, że oparł się naleganiom sir Karola, który chciał koniecznie zmusić go do przyjęcia znacznej darowizny.

– I ten człowiek skromnych upodobań zostałby spadkobiercą krociowej fortuny sir Karola?

– Tak jest, odziedzyczyłby posiadłość ziemską, według ustanowionego w rodzinie porządku spadkowego; odziedzyczyłby i gotówkę, o ile obecny dziedzic, który oczywiście ma w tym względzie najzupełniejszą swobodę, nie rozporządziłby nią inaczej.

– A, sir Henryku, czy spisał pan testament?

– Nie, panie Holmes. Nie miałem jeszcze czasu; wczoraj dopiero dowiedziałem się, jak rzeczy stoją. W każdym razie gotówka dostanie się temu, kto odziedziczy tytuł i posiadłość ziemską. Taka była wola mego biednego stryja. W jaki sposób właściciel zamku mógłby przywrócić świetność Baskerville’ów, gdyby nie miał odpowiednich funduszy na pokrycie kosztów utrzymania posiadłości odziedziczonej? Dom, ziemia i pieniądze muszą pójść w te same ręce.

– Bardzo słusznie. Zgadzam się w zupełności z panem, sir Henryku; musi pan istotnie jechać niezwłocznie do Devonshire’u. Stawiam tylko jeden warunek: nie może pan jechać sam.

– Dr Mortimer wraca ze mną.

– Ale dr Mortimer ma praktykę, która mu zabiera czas, a nadto dom jego oddalony jest o kilka mil od pańskiego. Pomimo najlepszych chęci nie będzie w stanie w danym razie pośpieszyć panu z pomocą. Nie, sir Henryku, musi pan zabrać z sobą człowieka zaufanego, który będzie ustawicznie z panem.

– A czy pan mógłby jechać ze mną?

– W chwili krytycznej postaram się być na miejscu. Ale, pojmuje pan, że rodzaj mego zajęcia nie pozwala mi wydzielić się na czas nieokreślony z Londynu. Dziesiątki ludzi domagają się mojej rady, to znów wzywają mnie w różne strony... Ot, teraz na przykład jedno z najbardziej szanowanych nazwisk w Anglii nurza w błocie wytrawny szantażysta i tylko ja mogę zapobiec głośnemu skandalowi. Wobec tego, sam pan przyzna, że mój wyjazd do Dartmoor jest niemożliwy.

– Kogóż zatem poleci mi pan jako towarzysza?

Holmes położył dłoń na moim ramieniu.

– Jeśli mój przyjaciel zechce zająć to stanowisko, nie znam człowieka odpowiedniejszego. Ufam mu bezgranicznie i wiem z doświadczenia, jak dobrze mieć go przy sobie w ciężkiej chwili życia.



Postanowienie,
że Watson
pojedzie z sir
Karolem do
Dartmoor.

Propozycja ta zaskoczyła mnie zupełnie zniechęca, lecz zanim zdążyłem odpowiedzieć, Baskerville pochwycił dłoń moją i uściśnął ją gorąco.

– To bardzo pocziwie z pańskiej strony – rzekł. – Zna mnie pan teraz, a o tej całej sprawie wie pan tyle, co ja. Jeśli pan pojedzie ze mną do Baskerville Hall i dotrzyma mi tam towarzystwa, nie zapomnę panu tego nigdy.

Widoki przygód niezwykłych miały zawsze dla mnie urok nieprzeparty, nadto pochlebiły mi słowa Holmesa i skwapliwość, z jaką baronet domagał się mego towarzystwa.

– Pojadę z przyjemnością – rzekłem. – Myślę, że trudno byłoby mi lepiej czas swój zużytkować.

– Będziesz zdawał mi szczegółowo sprawę ze wszystkiego – odezwał się Holmes. – A gdy nadejdzie chwila stanowcza, nadejdzie zaś niechybnie, wówczas



Plan wyjazdu z dworca Paddington.

prześle ci odpowiednie wskazówki. Sądzę, że będziecie panowie mogli jechać w sobotę?

– Doktorze Watsonie, czy ten dzień panu odpowiada?

– Najzupełniej.

– A zatem w sobotę, o ile nie zajdzie nic nowego, spotkamy się na dworcu Paddington i wyruszymy pociągiem o godzinie dziesiątej minut trzydzieści.

Zabieraliśmy się do odejścia, gdy Baskerville wydał okrzyk tryumfu i schyliwszy się, wydobyl but żółty spod szafy.

– But, który mi zginął! – zawołał.

– Oby wszystkie trudności piętrzące się na naszej drodze zostały równie szybko usunięte! – rzekł Sherlock Holmes.

– Szczególna rzecz jednak – wtrącił dr Mortimer. – Przeszukałem pokój stannie przed śniadaniem...

– I ja również – rzekł Baskerville. – Zglądałem do wszystkich kątów.

– I nigdzie nie było śladu buta.

– W takim razie służący przyniósł go, gdy jedliśmy śniadanie.

Wezwany Niemiec zapewnił nas, że o niczym nie wie, a wszelkie dopytywania pozostały bez skutku. Nowe zajście zatem powiększyło szereg drobnych i przypadkowych na pozór tajemnic, które tak szybko następowały po sobie.

Pominąwszy całą ponurą historię śmierci sir Karola, staliśmy wobec wypadków niewytłumaczonych, które miały miejsce w ciągu dwóch dni: otrzymanie listu drukowanego, czarnobrody szpieg w dorożce, zniknięcie nowego żółtego buta, zniknięcie starego buta czarnego i wreszcie odzyskanie nowego żółtego buta.

Podczas powrotu na ulicę Baker Holmes siedział w dorożce pogrążony w milczeniu, a ściągnięte brwi i zaduma w bystro patrzących przed siebie oczach świad-

czyły, że umysł jego, podobnie jak mój, silił się na powiązanie tych wszystkich osobliwych zdarzeń, nie mających pozornie ze sobą nic wspólnego. Przez całe popołudnie i do późnego wieczora Holmes siedział pogrążony w zadumie, tonąc w obłokach dymu.

Tuż przed obiadem otrzymał dwie depesze. Pierwsza brzmiała: „Doniesiono mi w tej chwili, że Barrymore jest w zamku – BASKERVILLE.”

A druga:

„Zwiedziłem, według polecenia, dwadzieścia trzy hotele; ze smutkiem donoszę, że nigdzie nie znalazłem pociętej stronicy «Timesa». – CARTWRIGHT”.

– Ot i zerwały się w rękach naszych dwie nici, Watsonie. Najbardziej pochtania mnie zawsze sprawa, w której wszystko zwraca się przeciw mnie. Musimy teraz szukać innego tropu.

– Pozostaje nam jeszcze dorożkarz, który wiózł szpiega.

– Tak. Telegrafowałem do głównego biura policji z zapytaniem o jego nazwisko i adres. Nie dziwiłbym się, gdyby to była właśnie odpowiedź – dodał, albowiem w tejże chwili rozległ się głos dzwonka.

Okazało się niebawem, że los zesłał nam więcej niż odpowiedź; do pokoju wszedł dorożkarz we własnej osobie.

– Otrzymałem zawiadomienie z biura głównego, że jakiś obywatel mieszkający w tym domu dowiadywał się o numer 2704 – rzekł. – Od siedmiu lat powożę dorożką i dotąd nikt nie skarżył się na mnie. Przyszedłem więc, ażeby mi pan powiedział w oczy, co pan ma przeciw mnie.

– Nie mam nic przeciw wam, mój przyjacielu – odparł Holmes. – Przeciwnie, mam dla was dziesięć szylingów, jeżeli odpowiecie szczerze na wszystkie moje pytania.

– Oho, będę miał dobry dzień – rzekł dorożkarz, szczerząc zęby w szerokim uśmiechu. – A co pan chce wiedzieć?

– Przede wszystkim wasze imię i adres, w razie gdybym was znów potrzebował.

– Jan Clayton, ulica Turpey 3. Dorożka moja jest z remizy Shiplej, w pobliżu stacji kolejowej Waterloo.

Sherlock Holmes zanotował te szczegóły.

– A teraz, Claytonie, powiedzcie, co wiecie o podróżnym, który śledził baczenie ten dom o godzinie dziesiątej rano, a potem jechał za dwoma panami wzdłuż ulicy Regenta.



Powrót
Holmesa na
Baker Street.



Nadejście
dwóch depesz.



Wizyta do-
rożkarza Jana
Claytona.



Rozmowa
Claytona
z Holmesem.

Na twarzy dorożkarza odmalowało się zdziwienie i pewne zakłopotanie.

– Nie widzę potrzeby opowiadania panu rzeczy, które są panu równie dobrze znane jak mnie – rzekł. – Dodam tylko, że ów jegomość powiedział mi, iż jest agentem tajnej policji i zalecił, ażebym nikomu o nim nie pisał słowa.



Opowieść
dorożkarza
o człowieku
śledzącym sir
Henryka.

– Mój przyjacielu, sprawa jest bardzo poważna i możecie narażać się na duże przykrości, jeżeli ukryjecie cokolwiek przede mną. Powiadacie zatem, że ten jegomość przedstawił wam się jako agent tajnej policji?

– Tak jest.

– Kiedy wam to powiedział?

– Rozstając się ze mną.

– Czy powiedział jeszcze coś więcej?

– Wymienił swoje nazwisko.

Holmes rzucił na mnie spojrzenie tryumfujące.

– A! Wymienił swoje nazwisko? To było nierozważne. I jakżeż ono brzmi?

– Sherlock Holmes – odpowiedział dorożkarz.

Nigdy jeszcze chyba nic nie zbiło z tropu mojego przyjaciela tak dalece, jak ta odpowiedź dorożkarza. Przez chwilę siedział jak osłupiały, po czym parsknął śmiechem.

– Watsonie, a to wymierzyl! Trafił celnie! – rzekł w końcu.

– Czuję przed sobą broń równie szybką i giętką jak moja. Odniósł nade mną zwycięstwo tym razem. A więc powiadacie, że ten pan nazywa się Sherlock Holmes? – zwrócił się do dorożkarza.

– Tak jest, panie; tak się nazywa.

– Kapitalna historia! Opowiedzcie mi, gdzieście go złowili i wszystko, co się potem stało.

– Wsiadł do mojej dorożki o wpół do dziesiątej na Trafalgar Square. Powiedział, że jest agentem tajnej policji i obiecał mi dwie gwinee, jeśli będę spełniał przez cały dzień wszystkie jego zlecenia i o nic nie zapytam. Oczywiście przystałem bardzo chętnie. Pojechaliśmy najpierw przed hotel Northumberland i tam czekaliśmy, dopóki nie wyszli dwaj panowie, którzy wsiedli do dorożki na najbliższej stacji. Potem jechaliśmy znów za tą dorożką, dopóki nie zatrzymała się tu gdzieś w pobliżu.

– Przed moją bramą – rzekł Holmes.

– Nie jestem tego pewien, ale zdaje mi się, że mój pasażer dobrze wiedział, dokąd tamci jadą. Powlekliśmy się później stępa tak może do połowy ulicy i czekaliśmy tam z półtorej godziny. Wreszcie ci dwaj panowie minęli nas pieszo, a my podążyliśmy znów za nimi wzdłuż ulicy Saker i dalej...

– Wiem – przerwał Holmes.

– Aż ujechaliśmy tak ze trzy czwarte ulicy Regenta. Nagle mój pasażer otworzył z trzaskiem okienko i krzyknął, żebym popędził jak najszybciej na stację Waterloo. Zaciąłem klacz i w niespełna dziesięć minut byliśmy na miejscu. Gdy wysiadł, zapłacił mi przyręczone dwie gwinee i wszedł na stację. Ale, wysiadając, odwrócił się i rzekł do mnie: „Wiedźcie, żeście wieźli pana Sherlocka Holmesa”. W ten sposób dowiedziałem się, jak się nazywa.

– Rozumiem. I jużście go nie widzieli?

– Nie, panie.

– A moglibyście mi opisać, jak pan Sherlock Holmes wygląda? Dorożkarz poskrobał się w głowę.

– Nie tak łatwo go opisać. Dałbym mu lat ze czterdzieści; wzrostu jest średniego, o jakie dwa albo trzy cale niższy od pana. Ubrany był jak elegant, miał czarną brodę, przystrzyżoną prosto, a cerę bardzo bladą. Nic więcej powiedzieć nie potrafię.

– A kolor jego oczu?

– Nie wiem, nie zauważyłem.

– Nie pamiętacie żadnego innego szczegółu?

– Nie, panie.

– Oto wasze 10 szylingów. A dostaniecie drugie tyle, jeśli mi przyniesiecie więcej wiadomości. Dobranoc.

– Dobranoc panu i dziękuję!

Jan Clayton wyszedł z miną wielce zadowoloną, a Holmes zwrócił się do mnie, wrzuszając ramionami i uśmiechając się żałośnie:

– Ot i pękła trzecia nić nasza i nie posunęliśmy się ani o krok naprzód – rzekł. – Co za przebiegły łotr! Znał numer naszego domu, wiedział, że Henryk Baskerville zasięgał mojej rady, wyszedł na ulicy Regenta, kim jestem, wywnioskował, że zauważyłem numer dorożki, że odszukam woźnicę i dlatego podsztył się tak zuchwale pod moje nazwisko. Watsonie, mówię ci, że tym razem mamy godnego nas wroga. Zaszachował mnie zupełnie w Londynie. Życzę ci więcej szczęścia w Devonshirze. Ale nie jestem bynajmniej spokojny.

– O co?

– O ciebie. To paskudna historia. Paskudna, Watsonie, i niebezpieczna, a im więcej się z nią zapoznaję, tym mi się mniej podoba. Tak, mój drogi, śmieję się ze mnie, ale daję ci słowo, że będę bardzo rad, jak cię znów ujrzę zdrowego i całego tu, w tym pokoju.



Opis człowieka, który śledził sir Henryka.



Złość Holmesa (dał się oszukać).

VI. BASKERVILLE HALL



Miejsce akcji
– stacja kolejowa.
Wyjazd do
Devonshire'u.



Holmes zleca
Watsonowi
przekazywanie
informacji.

młodego Baskerville'a z sąsiadami i wszystko, co tylko będziesz mógł jeszcze dowiedzieć się nowego o śmierci sir Karola. W ciągu ostatnich kilku dni przeprowadziłem sam małe śledztwo, z ujemnym niestety wynikiem. Jedna rzecz



Holmes wyłącza
Jakuba Des-
monda z kręgu
podejrzeń.

tylko wydaje mi się pewną, a mianowicie, że pan Jakub Desmond, najbliższy spadkobierca, to człowiek niemłody, bardzo zacnego charakteru, także nie on jest sprawcą tego prześladowania. Sądzę, że możemy wyłączyć go zupełnie z obrębu naszych podejrzeń. Pozostają zatem tylko te osoby, które stanowić będą bezpośrednie otoczenie sir Henryka Baskerville'a.

– Czy nie byłoby dobrze pozbyć się przede wszystkim małżeństwa Barrymore?

– Ale gdzie tam! Popeniłbyś największy błąd. Jeśli są niewinni, byłaby to okrutna niesprawiedliwość, a jeśli są winni, stracilibyśmy wszelką sposobność dowiedzenia im tego. Nie, nie, zachowamy ich na liście podejrzanych. Oprócz nich jest w zamku, jeśli się nie mylę, stangret, a nadto na bagnistej równinie dwóch dzierżawców. W sąsiedztwie bezpośrednim mieszka nasz przyjaciel, doktor Mortimer, który, moim zdaniem, jest z gruntu uczciwy, i jego żona, o której nic nie wiemy. Jest tam też przyrodnik Stapleton i jego siostra, osoba podobno bardzo ponętna. Jest pan Frankland z Lafter Hall, również osobnik nieznan, i jeszcze dwóch czy trzech sąsiadów. Tych wszystkich ludzi musisz mieć bacznie na oku.

– Zrobie, co tylko będzie w mojej mocy.

– Zabrałeś broń ze sobą?

– Zabrałem, sądzą, że może mi się przydać.

– Niewątpliwie. Pamiętaj, żebyś miał rewolwer pod ręką dniem i nocą, i ani na chwilę nie zapominaj o możliwych środkach ostrożności.

Przyjaciele nasi zajęli już przedział pierwszej klasy i czekali na nas na peronie.

– Nie, nie mamy żadnych nowin dla pana – rzekł doktor Mortimer w odpowiedzi na zapytanie Sherlocka Holmesa.

– Mogę tylko zapewnić pana najuroczyściej, że przez ostatnie dwa dni nikt nas nie śledził. Ilekroć wychodziliśmy, oglądaliśmy się bacznie dokoła i szpieg nie uszedłby naszej uwagi.

– Przypuszczam, że panowie byliście nieustannie razem?

– Z wyjątkiem wczorajszego popołudnia. Za każdym pobytym w mieście poświęcam jeden dzień wyłącznie rozrywce; spędziłem go więc w muzeum Akademii Chirurgicznej.

– A ja poszedłem do Hyde Parku popatrzeć na elegancki świat – rzekł Baskerville. – Ale nic nie zaszło, nie mieliśmy żadnej nadzwyczajnej przygody.

– Niemniej postąpiliście panowie bardzo nierozważnie – rzekł tonem poważnym Holmes, potrząsając głową. – Proszę pana usilnie, sir Henryku, aby nie chodził pan nigdzie sam, jeśli nie chce pan narazić się na wielkie nieszczęście. A znalazł pan drugi but?

– Nie; przepadł na wieki.

– Doprawdy? A to ciekawe... No, do widzenia! – dodał, gdy pociąg zaczął posuwać się z wolna wzdłuż peronu. – Sir Henryku, zapamiętaj sobie dobrze to zdanie z owej ponurej, starej legendy, którą nam doktor Mortimer przeczytał, zalecające unikać chodzenia w pobliżu wąwozu w godzinach nocy, kiedy panuje moc złego ducha.

Wyjrzałem przez okno wagonu na peron, od którego oddalaliśmy się szybko i dostrzegłem wysoką, imponującą postać Holmesa, stojącą nieruchomo i patrzącą za nami.

Podróż minęła szybko i przyjemnie; czas schodził mi na bliższym zaznajamianiu się z towarzyszami i na zabawie z wyżem dra Mortimera.

W ciągu kilku godzin kolor ziemi zmienił się zupełnie, z brunatnej stała się czerwonawą, granit zastąpił glinę, a rudawe krowy pasły się na bujnych łąkach, które świadczyły o żyzniejszym, jakkolwiek wilgotniejszym, gruncie.

Młody Baskerville z zajęciem patrzył przez okno i wydawał okrzyki zachwytu na widok znanych krajobrazów.

– Od wyjazdu z Anglii zwiedziłem kawał świata, ale, wierz mi, doktorze Watsonie – zwrócił się do mnie – nie widziałem nigdzie nic równie pięknego.



Opis krajobrazu hrabstwa Devonshire.

– Nie zdarzyło mi się spotkać mieszkańca Devonshire’u, który nie byłby rozkochany w swoim hrabstwie.

– Zależy to przede wszystkim dobrze od pochodzenia danego osobnika, jak i od hrabstwa – rzekł doktor Mortimer. – Jeden rzut oka wystarczy, by poznać u naszego przyjaciela zaokrągloną czaszkę Celta z silnie rozwiniętymi znamionami entuzjazmu i przywiązania. Biedny sir Karol miał czaszkę typu bardzo rzadkiego, na w pół galickiego, na w pół irlandzkiego. Wszak pan, sir Henryku, był jeszcze bardzo młody podczas ostatniego pobytu w Baskerville Hall, nieprawda?



Sir Henryk:
Lata młodości.

– Miałem niewiele więcej niż lat trzynaście, gdy umarł mój ojciec, a w zamku nigdy nie byłem; mieszkaliśmy bowiem w niewielkiej willi na południowym wybrzeżu Anglii. Stamtąd pojechałem prosto do przyjaciela, który mieszkał w Ameryce. Zapewniam pana, iż okolica ta jest dla mnie równie nowa jak dla doktora Watsona i ciekaw jestem niesłychanie ujrzeć ową bagnistą równinę.

– W istocie? Niedługo pan będzie czekał na spełnienie tego życzenia, bo oto już jej początek – rzekł dr Mortimer, wskazując przez okno.



Opis krajobrazu hrabstwa Devonshire.

Ponad zielonymi łanami pól i skrajem nisko położonego lasu wznosiło się w dali szare, melancholijne wzgórze, z dziwacznym wyźbionym szczytem, zarysowującym się niewyraźnie niby senne widziadło. Baskerville siedział, milcząc, z wzrokiem utkwionym w krajobraz, a na ruchliwej twarzy jego czytałem wyraźnie, jak silne wrażenie wywierał na nim widok tej ziemi, gdzie przodkowie jego byli panami od wieków i niezatartymi śladami zaznaczyli swoje istnienie.



Sir Henryk Baskerville:
Charakterystyka postaci.

Siedział wprost mnie, wtulony w kąt prozaicznego wagonu kolejowego, ubrany w popielaty garnitur, mówił akcentem wybitnie amerykańskim, a jednak gdy spoglądałem na jego twarz energiczną, wyrazistą, odczuwałem bardziej niż kiedykolwiek, że był prawym potomkiem długiego szeregu mężczyzn butnych i odważnych.

Duma, waleczność i siła malowały się w gęstych brwiach, w ruchliwych nozdrzach i wielkich, piwnych oczach. Jeżeli na tej dzikiej, bagnistej równinie czekały nas jakieś niebezpieczne i ciężkie przygody, mogliśmy być pewni, że mamy w sir Henryku towarzysza, dla którego warto narazić się na wszelkie niebezpieczeństwa, bo będzie je dzielił odważnie.

Pociąg zatrzymał się na przystanku, gdzie wysiedliśmy. Z drugiej strony toru, za niską, białą barierą, czekał na nas powóz. Przyjazd nasz był widocznie wielkim wypadkiem, gdyż zawiadowca stacji i służba kolejowa rzucili się ku nam, odebrali nam pakunki i zanieśli je do powozu. Wychodząc z budynku stacyjnego, spostrze-

głem ze zdumieniem dwóch żołnierzy stojących przy drzwiach, którzy, oparci na swych karabinach, przyglądali nam się bacznie, gdyśmy ich mijali.

Woźnica, mały, krępy, o surowej twarzy, powitał sir Henryka Baskerville'a i w kilka minut później jechaliśmy szybkim kłusem po szerokiej, białawej drodze. Z obu jej stron ciągnęły się żyzne pastwiska, spiczaste dachy starych domostw wzywały spomiędzy gęstej zieleni drzew, ale poza tą wsią cichą, opromienioną blaskiem zachodzącego słońca, odcinała się ponuro na tle nieba wieczornego długa linia bagnistej równiny, przecięta wyzębionymi, posępnymi wzgórzami.



Opis krajobrazu Devonshire.

Powóz skręcił na boczną drogę, a potem jechaliśmy w górę stromymi ścieżkami, gdzie w ciągu wieków tysiące kół wyłobilo głębokie bruzdy. Z obu stron puszysty mech zaścierał ziemię, rozpościerały się wachlarze paproci, gorzały w promieniach zachodzącego słońca pąsowe jagody głogu. Minęliśmy wąski mostek granitowy i jechaliśmy wzdłuż hałaśliwego potoku, który pieniał się i szumił w szarym, kamiennym łożysku. Zarówno droga, jak i potok wiły się w dolinie gęsto zadrzewionej karłowatymi dębami i jodłami.

Na każdym zakręcie drogi Baskerville wydawał okrzyki zachwytu, rozglądał się skwapliwie dokoła i zarzucał dra Mortimera pytaniami bez liku. Jego oczom wszystko wydawało się piękne, ale dla mnie wszędzie przejawiał się już odcień smutku, jawne piętno konającego roku. Pożółkłe liście zaścierały ziemię i spadały na nas z poczerniałych gałęzi; turkot kół zamierał, gdy jechaliśmy po tym pokładzie zanikającej roślinności. Smutne dary rzucała przyroda pod stopy powracającemu spadkobiercy Baskerville'ów!

– A to co! – krzyknął doktor Mortimer. – Spójrzcie!

Przed nami wznosił się mały, zarosły wrzosem pagórek, niby ostroga, utworzona przez bagnistą równinę, a wrzynająca się w dolinę. Na szczycie, podobny do posągu, siedział żołnierz na koniu, groźny i ponury, z karabinem opartym o lewe ramię, gotów do strzału. Strzegł tej drogi właśnie, którą jechaliśmy.

– Co to znaczy, Perkinsie? – spytał doktor Mortimer.

Woźnica odwrócił się ku nam.

– A to, proszę pana, że przed trzema dniami uciekł aresztant z więzienia Princetown. Postawiono warty na wszystkich drogach i stacjach, wszędzie czatują na niego, ale, jak dotąd, znikł bez śladu. Dzierżawcy w całej okolicy są w rozpacz.



Więś o ucieczce Seldena, zabójcy z Notting Hill.

– Nie dziwię się, bo za jakąkolwiek wiadomość każdy z nich dostałby pięć funtów.

– Tak, proszę pana, ale co znaczy pięć funtów wobec tego, że mogą być lada chwila pomordowani. Bo to, widzi pan, nie żaden prosty aresztant. To człowiek zdolny do wszystkiego.

– Któż to taki?

– Selden, zabójca z Notting Hill.

Pamiętałem doskonale tę zbrodnię, bo zajęła swego czasu szczególnie Holmesa, ze względu na niezwykle okrucieństwo, z jakim została spełniona i na ohydny brutalność mordercy. Nie skazano go jednak na śmierć, gdyż zezwierzęcenie jego było takie wielkie, że powstały wątpliwości co do jego odpowiedzialności umysłowej.



Opis krajo-
brazu bagien
w Devonshire.

Powóz nasz wjechał na wyniosłość i przed nami rozpościerała się teraz bezbrzeżna bagnista równina, najeżona odłamkami skalistymi, poprzerzynana urwiskami. Podmuch lodowatego wichru szedł ku nam od tej pustki i przeniknął nas zimnem do szpiku kości. A więc gdzieś w jakimś zakątku tego pustkowiecia ukrywała się, jak dzikie zwierzę w norze, ta piekielna istota, ziejąca nienawiścią dla ludzkości, która odtrąciła ją od swego łona. Tego przypomnienia tylko brakło, by uzupełnić ponure wrażenie wywołane pustką bezbrzeżną, lodowatym wichrem i zapadającym coraz szybciej mrokiem. Nawet Baskerville umilkł i otulił się szczelniej płaszczem.

Za i pod nami rozciągały się teraz urodzajne płaszczyny. Obejrzelśmy się, chcąc raz jeszcze objąć je wzrokiem; ukośne promienie słońca lały złoto do wód potoku, rzucały gorejące blaski na zagony świeżo zaoranej pługiem ziemi, na wierzchołki drzew szerokiego skraju lasu. Droga przed nami, wiodąca wśród olbrzymich skał rudawych, stawała się coraz dziksza i bardziej spadzista. Od czasu do czasu mijaliśmy chatę wzniesioną z kamieni, nigdzie kwiat ani roślina nie łagodziły surowego wyglądu tych siedzib ludzkich.



Przyjazd do
Baskerville Hall.

Nagle spostrzeżliśmy obniżenie się poziomu, płaszczynę kształtu lejkowatego, na której wznosiły się wynędzniałe dęby i jodły skarłowaciałe, pochylone, o konarach powyginanych od szamotania się z wichrami i burzą przez setki lat. Dwie wysokie smukłe wieże widniały ponad wierzchołkami drzew. Woźnica wskazał na nie batem.

– Baskerville Hall – rzekł.



Opis zamku
Baskerville'ów
(zniszczony,
stary, ponury,
przeróżający).

Pan zamku powstał i z rumieńcem na twarzy, roziskrzonym wzrokiem przyglądał się swej przyszłej siedzibie. W kilka chwil później stanęliśmy przed wzorzystą żelazną kratą zamkową, osadzoną w zniszczonych, popękanych słupach kamiennych, których szczeliny już mchem porosły. Na słupach widniały łby dzików – herb Baskerville'ów.

Pawilon odzwiernego był już tylko ruiną z czarnego granitu, nad którą wznosiło się rusztowanie z belek pozbawionych dachu, który niegdyś podtrzymywały. Ale naprzeciwko stał nowy, w połowie wykończony budynek, pierwszy owoc zebranego w Afryce złota sir Karola.

Przez bramę wjechaliśmy w szpaler, gdzie znów zwiędłe liście zagłuszały turkot kół, a gałęzie prastarych drzew spletały się nad naszymi głowami, tworząc jakby ciemny tunel.

Gdy Baskerville spojrział w głąb ponurego szpaleru, na którego końcu zamek zarysowywał się niby widmo, dreszcz wstrząsnął jego postacią.

– Czy to tutaj? – spytał przyciszonym głosem.

– Nie, nie, szpaler cisowy jest z tamtej strony.

Młody spadkobierca spojrział chmurnym wzrokiem dokoła.

– Nie dziwię się, że mego stryja w tej miejscowości dręczyły złe przecucia – rzekł po chwili. – Takie otoczenie może przerazić każdego człowieka. W przeciągu pół roku każę zaprowadzić tutaj oraz przed samym zamkiem szereg lamp elektrycznych; zobaczycie panowie, jak tu się wszystko zmieni, gdy zajaśnieją światła Swana i Edisona o sile tysiąca świec.

U wyjścia ze szpaleru rozścielał się obszerny trawnik, za którym ujrzeliśmy gmach zamkowy.

W bladym świetle zamierającego dnia dostrzegłem, że środkowa część zamku była budowlą fundamentalną, z wystającym krużgankiem. Cała fasada zarośnięta była bluszczem, a tylko okna i kilka tarcz herbowych przecinało tu i owdzie jednostajność ponurej zieleni.

Na tej części środkowej wznosiły się dwie stare, zębate wieże, przedziurawione licznymi strzelnicami. Z prawej i lewej strony wież wznosiły się dwa skrzydła, w nowocześniejszym już stylu, zbudowane z czarnego granitu. Blade światło jaśniało poprzez gęste zasłony okien, a z wysokich kominów na stromym, spiczastym dachu strzelał w górę wielki słup czarnego dymu.

– Witaj, sir Henryku! Witaj w zamku Baskerville!

Z mrocznego krużganku wyszedł wysoki mężczyzna, zbliżył się do powozu i otworzył drzwiczki. W żółtym świetle przedsiönka zarysowała się postać kobiety, która również podeszła do powozu i pomagała mężowi zdejmować nasze pakunki.

– Nie będzie mi pan miał za złe, sir Henryku, że pojedę do domu? – rzekł dr Mortimer. – Żona czeka na mnie.

– Jak to, nie zostanie pan na obiedzie?

– Nie, muszę jechać. Niechybnie czeka mnie w domu robota.

Pozostałbym chętnie, żeby pana oprowadzić po zamku, ale Barrymore będzie lepszym przewodnikiem ode mnie. Do widzenia! Jeżeli tylko będę



Odjazd Mortimera do domu.

mógł być panu użyteczny, niech się pan nie waha przysłać po mnie o każdej porze dnia i nocy.

Turkot kół powozu uwożącego doktora zanikł w oddali, gdy, wraz z sir Henrykiem, weszliśmy do przedsiönka, a ciężkie drzwi zamknęły się za nami z głuchym łoskotem.



Opis wnętrza zamku.

Znaleźliśmy się w obszernej, wysokiej komnacie, której sufit podtrzymywały ciężkie i poczerniałe z biegiem lat belki dębowe. Na wielkim, staroświeckim kominku płonął ogień; zbliżyliśmy się z sir Henrykiem, by ogrzać ręce, skostniałe podczas długiej jazdy.

Rozglądaliśmy się ciekawie dokoła, przypatrywaliśmy się wysokim, wąskim oknom o starych różnokolorowych szybach, dębowym boazeriom, łbom rogaczy i tarczom herbowym, zawieszonym na ścianach – całemu temu smutnemu i ponuremu otoczeniu, na które padało przyćmione światło zawieszonej u sufitu lampy.

– Tak właśnie wyobrażałem sobie zamek – odezwał się sir Henryk. – Czy to nie wygląda jak obraz starej siedziby rodzinnej? I pomyśleć, że to ten sam gmach, w którym przez pięćset lat żyli moi przodkowie! Już sama ta myśl nastraja mnie uroczyscie.

Oglądał się dokoła, a twarz jego rozjaśniła się młodzieńczym zachwytem. Światło padało prosto na jego postać, ale po ścianach rozpościerały się długie cienie, tworząc ponad nim i za nim jakby całun śmiertelny.



Barrymore:
Wygląd zewnętrzny.

Barrymore, odniósłszy pakunki do naszych pokojów, powrócił i stał przed nami w pełnej szacunku postawie wielkopańskiego sługi. Był to mężczyzna powierzchowności wybitnej, wysoki, przystojny, z czarną przystrzyżoną brodą i bladą twarzą o szlachetnych rysach.

– Czy każe pan zaraz podać obiad?

– A czy gotów?

– Za kilka minut może być na stole. Panowie znajdują gorącą wodę w swoich pokojach. Żona moja i ja z całą gotowością pozostaniemy u pana – dodał, zwracając się do sir Henryka – dopóki pan nie przedsięwzięmie innych zarządzeń. Ale pan sam zrozumie,

że wobec nowych warunków potrzebna będzie liczniejsza znacznie służba.

– Wobec jakich nowych warunków?

– Chcę przez to powiedzieć, że sir Karol prowadził życie bardzo smutne i wystarczyliśmy mu we dwoje do usługi. Pan zaś, co jest rzeczą zupełnie naturalną, będzie pragnął towarzystwa, a to wywoła zmiany w składzie służby.

– Czy mam stąd wnosić, że zamierzacie wraz z żoną mnie opuścić?

– Tylko w takim razie, gdyby panu było z tym dogodniej.

– Ależ wszak już kilka pokoleń waszej rodziny było w służbie u nas, nieprawda? Byłoby mi bardzo przykro zaczynać życie tutaj od zrywania starych stosunków rodzinnych.

Zdawało mi się, że dostrzegam ślady pewnego wzruszenia na bladej twarzy kamerdynera.

– I ja, panie, i moja żona doznajemy tego samego uczucia. Ale, mówiąc szczerze, byliśmy oboje bardzo przywiązani do sir Karola, a śmierć jego była dla nas strasznym ciosem i sprawiła, że całe to otoczenie stało nam się niesłychanie przykrym. Zdaje mi się, że pozostając tutaj, w zamku, nie odzyskamy już nigdy swobody umysłu.

– I jakież są wasze dalsze zamiary?

– Sądzę, że zabierzemy się do handlu. Dzięki wspaniałomyślności sir Karola posiadamy odpowiednie środki. A teraz może panowie pozwolą, że wskażę drogę do pokojów.

Dokoła przedsionka w górze ciągnęła się galeria, na którą wiodły schody z dwóch stron. Z tego punktu głównego szły dwa korytarze wzdłuż całego gmachu i prowadziły do pokoi sypialnych. Moja sypialnia znajdowała się w tym samym skrzydle co Baskerville'a i prawie drzwi w drzwi.



Opis wnętrza zamku.

Pokoje te były wyraźnie o wiele nowocześniejsze od komnat środkowej części zamku, a jasne obicia i liczne płonące świece zatarły poniekąd w moim umyśle ponure wrażenie, jakiego doznałem w chwili przyjazdu.

Ale w jadalni, przylegającej do przedsionka, panował znów mrok i smutek. Była to długa komnata ze wzniesieniem, na którym zastawiano dawnymi czasy stół dla panów zamku i ich rodziny, gdy dworzanie zasiadali niżej. W jednym końcu widniała galeria dla muzyki. Czarne belki przecinały nad naszymi głowami sufit pociemniały od sadzy. Szeregi płonących pochodni, rubaszna wesołość starodawnych biesiad wpływały niewątpliwie na złagodzenie posepnego otoczenia, ale dzisiaj, gdy tylko dwaj dżentelmeni w czarnych garniturach siedzieli w obrębie niewielkiego kręgu światła, jaki rzuciła przysłonięta lampa, głos zniżał się mimo woli, a niepokój przejmował duszę.

Cały szereg przodków, w najróżnorodniejszych strojach, od rycerza z epoki elżbietańskiej do wykwintnisia z czasów regencji, patrzył na nas ze ścian i onieśmielał swym milczącym towarzystwem. Rozmawialiśmy mało i rad byłem wielce, gdy obiad się skończył i przeszliśmy do nowoczesnej sali bilardowej, gdzie zapaliliśmy papierosa.

– Dalibóg, niewesoła siedziba – odezwał się sir Henryk.

– Przypuszczam, że można się przyzwyczać, ale na razie jest mi tu strasznie nieswojo. Nie dziwię się, że stryj zdziwaczał, mieszkając sam jeden w takim domu. Jeśli pan nie ma nic przeciw temu, myślę, że dobrze będzie udać się dzisiaj wcześniej na spoczynek; może jutro rano wszystko to wyda się nam weselsze.

Przed ułożeniem się do snu rozsunąłem firanki u okna, które wychodziło na wielki trawnik. Poza nim dwie kępy drzew poruszały się, jęcząc pod podmuchem wiatru. Zza rozdartych w szalonym pędzie chmur wyzierał półksiężyc; w bladym jego blasku dostrzegałem na dalszym planie wyżębione szczyty skaliste i bezbrzeżną pochyłość ponurych moczarów. Zasuąłem firanki z uczuciem, że to ostatnie wrażenie nie ustępowało w niczym już doznanym.

Ale nie miało ono być ostatnim tego dnia. Nadmierne znużenie spędzało sen z mych powiek; rzuciłem się niespokojnie na łóżku, w oddali zegar wydzwaniał kwadrans, przerywając grobową ciszę w starym domu.



Watson słyszy
płacz kobiety.

Nagle, wśród milczenia nocy, dobiegł uszu moich dźwięk wyraźny, donośny, niepozostawiający żadnej wątpliwości – było to łkanie kobiety, stłumiony, dławiący jęk, taki, jaki tylko beznadziejna zgrzyzota może wyrwać z piersi człowieczej. Usiadłem na łóżku i nadstawiłem ucha. Dźwięk dobiegał z bliska i pochodził na pewno z wnętrza domu. Przez pół godziny siedziałem tak, nasłuchując z wytężeniem, ale prócz zegara i szelestu liści bluszczowych na murze, nie doleciał mnie już żaden inny odgłos.

VII. STAPLETONOWIE Z MERRIPIT HOUSE

Nazajutrz, świeży pogodny ranek rozproszył nieco posępne wrażenie, jakie wywarł na nas na razie zamek Baskerville. Gdy siedzieliśmy przy śniadaniu z sir Henrykiem, słońce wpadało przez wysokie okna i wzniecało tony akwarelowe w kolorowych, ozdobionych barwnymi herbami szybach. Ciemne boazerie nabierały brązowych błysków pod działaniem złocistych promieni i trudno było, istotnie, wyobrazić sobie, że to ta sama komnata, której widok poprzedniego wieczora takim smutkiem zasępił nam dusze.



Czas akcji
– poranek
kolejnego dnia.

– Zdaje mi się, że to nie wina zamku, tylko nasza własna – rzekł baronet. – Byliśmy zmęczeni podróżą, przemarzliśmy w powozie i stąd wszystko przedstawiło nam się w najczarniejszych kolorach. Dzisiaj jesteśmy wypoczęci, orzeźwieni, patrzmy więc na świat weselszym okiem.

– A jednakże nie wszystko można położyć na karb naszej podnieconej wyobraźni – odparłem. – Czy pan nie słyszał na przykład kogoś łkającego w nocy? Zdaje mi się, że to była kobieta.



Rozmowa
przy stole na
temat nocnych
wydarzeń.

– A to ciekawe, bo zdawało mi się, w północy, że słyszę jęk czy łkanie, nasłuchiwałem potem przez dobrą chwilę, ale ponieważ nic już nie przerwało ciszy, toteż wywnioskowałem, że mi się śniło.

– A ja słyszałem ten odgłos bardzo wyraźnie i jestem pewien, że to było łkanie kobiety.

– Trzeba to od razu wyjaśnić.

Baskerville zadzwonił i zapytał przybyłego Barrymore'a, czy nie mógłby powiedzieć, co ten odgłos miał znaczyć. Patrzyłem bystro na kamerdynera i zdawało mi się, że blada twarz pobladła jeszcze, gdy usłyszał zapytanie pana.

– W całym domu są tylko dwie kobiety – odpowiedział. – Pomywaczka, która śpi w drugim skrzydle, i moja żona, a mogę pana zapewnić, że nie ma ona nic wspólnego z odgłosem, o którym pan mówi.

Jednakże kamerdyner skłamał; zdarzyło się, że po śniadaniu spotkałem panią Barrymore na korytarzu, w pełnym blasku słonecznym. Była to kobieta wysoka, ociężała, o grubych rysach twarzy, z surowym, zaciętym wyrazem dokoła ust. Oczy ją zdradziły; spojrzały na mnie spod powiek obrzękłych, zaczerwienionych. Ona to zatem płakała w nocy i mąż wiedział o tym niechybnie.



Watson
podejrzewa,
że słyszał żonę
kamerdynera.

Wszelako narażał się i zapewniał, że to nie ona, nie bacząc, że te oznaki nieomylnie mogły lada chwila wykazać prawdę. Dlaczego to uczynił? A dlaczego ona zawodziła tak rozpaczliwie? Już więc na samym wstępie, dokoła tego bladego, przystojnego mężczyzny o czarnym zaroście zaczynała się wytwarzać atmosfera ponura i tajemnicza.

Wszakże on pierwszy odnalazł zwłoki sir Karola i z jego opowiadania tylko znaleźmy okoliczności poprzedzające śmierć starca. A może jednak Barrymore był owym pasażerem, którego widziałem w dorożce, idąc z Holmesem ulicą Regenta? Broda owego nieznanego przypominała łudząco brodę kamerdynera. Dorożkarz opisał nam wprawdzie swego pasażera jako mężczyznę raczej niskiego wzrostu, ale takie przelotne wrażenie mogło być błędne.



Wyprawa
Watsona do
poczmistrza.

Jak wyjaśnić tę sprawę? Oczywiście, przede wszystkim należało pójść do poczmistrza w Grimpenie i stwierdzić, czy wysłany z Londynu telegram został istotnie oddany Barrymore'owi do rąk własnych.

Jakąkolwiek otrzymam odpowiedź, będę mógł przynajmniej donieść coś Holmesowi.

Sir Henryk zabrał się po śniadaniu do przeglądania rozmaitych papierów, mogłem więc swobodnie wprowadzić w czyn powzięty zamiar. Po przyjemnej czteromilowej przechadzce wzdłuż krańca moczarów dotarłem do małej wioski, gdzie dwa większe budynki wyróżniały się z daleka; jednym z nich była gospoda, drugim dom dra Mortimera.



Rozmowa
Watsona
z poczmistrzem
o depeszy.

Poczmistrz, który był jednocześnie właścicielem sklepiku z wiktuałami, pamiętał doskonale depeszę.

– Tak jest, panie – odpowiedział zapytany – posłałem telegram panu Barrymore'owi, jak wskazywał adres.

– A kto ją zaniósł?

– Mój syn... ten oto. Kuba, wszak oddałeś telegram w zeszłym tygodniu panu Barrymore'owi w zamku, co?

– Tak, ojczec, oddałem.

– Do rąk własnych? – spytałem.

– Był na tę chwilę na strychu, więc nie mogłem mu oddać do ręki, ale dałem depeszę pani Barrymore'owej, a ona przyrzekła, że ją natychmiast zanieś mężowi.

– Czy widziałeś pana Barrymore'a?

– Nie, panie; mówię przecież, że był na strychu.

– Skoroś go nie widział, skądże możesz wiedzieć, że był na strychu?

– Toć jego własna żona musi chyba wiedzieć, gdzie bywa – wtrącił pocztmistrz tonem zniecierpliwionym. – Czy nie otrzymał depechy? Jeśli zaszła jaka pomyłka, to niechaj pan Barrymore sam poda skargę.

Dalsze badanie wydało mi się bezcelowym; okazało się zatem, iż mimo wybiegu Holmesa nie mieliśmy dowodu, że Barrymore nie był przez ten cały czas w Londynie. Przypuśćmy, że był

– przypuśćmy, że ten sam człowiek, który ostatni widział sir Karola przy życiu, pierwszy szpiegował nowego dziedzica po jego powrocie do Anglii. I cóż stąd?

Był narzędziem osób trzecich czy też miał własne złowrogie zamiary? Jaki miał cel w prześladowaniu rodziny Baskerville’ów? Przypomniało mi się osobliwe ostrzeżenie wycięte z wstępnego artykułu „Timesa”. Było to dzieło Barrymore’a czy też kogoś, kto chciał pokrzyżować jego plany?

Najprawdopodobniejszą pobudką była poddana przez sir Henryka – gdyby udało się rodzinę Baskerville’ów trzymać z dala od zamku, Barrymore’owie mieliby zapewnioną stałą i wygodną siedzibę. Ale takie wytłumaczenie nie usprawiedliwiłoby bynajmniej subtelnego, wytrawnie obmyślonego planu, który jakby niewidzialną siecią oplątywał młodego baroneta. Holmes sam przyznał, że wśród licznych sensacyjnych spraw, w jakich przeprowadzał śledztwo, nie zdarzyła mu się jeszcze żadna równie zawiślana. Powracając szarą, samotną drogą, modliłem się w duchu, żeby mój przyjaciel uwolnił się jak najspieszniej od swoich zajęć i przybył zdjąć z barków moich tę ciężką odpowiedzialność.

Nagle szelest kroków śpieszących za mną i głos wołający mnie po nazwisku wyrwały mnie z zadumy. Odwróciłem się, sądząc, że ujrzę dra Mortimera, lecz, ku swemu niemałemu zdziwieniu, okazało się, że to ktoś nieznan mi zupełnie biegł za mną.

Ujrzałem mężczyznę średniego wzrostu, chudego, jasnego blondyna, o twarzy wymuskanej, bez zarostu, z wystającymi szczękami, ubranego w szary garnitur i kapelusz słomkowy; mógł mieć lat trzydzieści do czterdziestu. Przez ramię miał przewieszoną blaszankę do roślin, a w ręku niósł zieloną siatkę na motyle.



Opis Stapletona.

– Przepraszam bardzo za moje natręctwo – rzekł, gdy stanął przede mną zadyszany. – My, mieszkańcy tych moczarów, jesteśmy ludźmi prostymi i nie czekamy na urzędowe przedstawienie. Przypuszczam, że pan już słyszał o mnie od naszego wspólnego przyjaciela, dra Mortimera. Nazywam się Stapleton, mieszkam w Merripit House.



Spotkanie Watsona ze Stapletonem.

– Poznałbym pana po siatce i blaszance – odparłem. – Wiedziałem bowiem, że pan Stapleton jest przyrodnikiem. Ale skąd pan mnie zna?

– Byłem właśnie u Mortimera, gdy pan przechodził przed domem i doktor wskazał mi pana przez okno swego gabinetu. Ponieważ szliśmy jedną drogą, toteż postanowiłem dogonić pana i przedstawić się sam. Spodziewam się, że sir Henryk nie jest nazbyt znużony podróżą?

– Nie, bynajmniej; ma się doskonale, dziękuję panu.

– Obawialiśmy się wszyscy, że po smutnej śmierci sir Karola nowy baronet nie zechce tutaj zamieszkać. Co prawda, ciężkie to zadanie dla człowieka zamożnego zakopać się w takiej dzikiej miejscowości, ale nie potrzebuję panu chyba mówić, że obecność pana zamku jest rzeczą wielkiej wagi dla całej okolicy. Przypuszczam, że sir Henryk wolny jest od wszelkiej zabobonnej trwogi?

– Tak sędzę.

– Pan, oczywiście, zna legendę o piekielnym psie, który jest jakoby plagą rodziny?

– Opowiadano mi ją.

– Szczególna rzecz, jacy chłopci tutejsi są łatwowierni! Wielu z nich przysięganie, że widziało na moczarach to fantastyczne zwierzę – mówił z uśmiechem, ale zdawało mi się, że czytam w jego oczach, iż bierze tę sprawę zupełnie na serio. – Dziwaczna legenda opanowała w znacznym stopniu wyobraźnię sir Karola i nie wątpię, że była bezpośrednio powodem jego tragicznego zgonu.

– A to w jaki sposób?



Stapleton
o sir Karolu
– nerwowy
i przestraszony.

– Miał nerwy tak silnie rozstrojone, że ukazanie się jakiegokolwiek psa mogło wyrzucić wpływ fatalny na jego chore serce. Myślę, że musiał istotnie coś widzieć w szpalerze cisowym owego ostatniego wieczora. Obawiałem się ciągle jakiegoś nieszczęścia, bo byłem bardzo przywiązany do sir Karola i wiedziałem, że jest chory na serce.

– A skąd pan wiedział?

– Od mego przyjaciela, Mortimera.

– Sądzi pan zatem, że pies jakiś ścigał sir Karola i że on umarł skutkiem tego, pod wpływem przestraszenia?

– Czy może mi pan dać jakieś lepsze wyjaśnienie?

– Nie wysnuwałem stąd jeszcze żadnych wniosków.

– A pan Sherlock Holmes?

Oniemiałem przez chwilę na to zapytanie; ale jedno spojrzenie na obojętną twarz i spokojne oczy mego towarzysza wystarczyło, żeby mnie przekonać, iż wszelka myśl ukryta jest mu obcą.



Stapleton rozpoznaje Watsona.

– Próżnym byłoby z naszej strony udawanie, że pana nie znamy, doktorze Watsonie – rzekł znów Stapleton. – Echo czynów pana

Holmesa dobiegło i do nas, a pan nie mógł ich rozślawiać, nie zyskując sam rozgłosu. Jeśli pan jest tutaj, znaczy, że pan Sherlock Holmes interesuje się tą sprawą, nic dziwnego, iż ciekaw jestem, jak się na nią zapatruje.

– Żałuję, że nie mogę odpowiedzieć na to pytanie.

– A mogę spytać, czy sam zaszczyca nas odwiedzinami?

– Nie może obecnie opuścić Londynu. Prowadzi śledztwo w kilku innych ważnych sprawach.

– Jaka szkoda! Naświetliłby może niejedną okoliczność dla nas niepojętą. Co zaś do osobistych poszukiwań pańskich, to proszę, jeśli mogę panu być użytecznym, niechaj pan mną rozporządza. Gdybym miał jakąkolwiek wskazówkę co do istoty pańskich podejrzeń albo wiedział, w jaki sposób pan zamierza prowadzić śledztwo, mógłbym może już teraz nawet służyć radą lub czynem.

– Zapewniam pana, że bawię tutaj jedynie jako gość przyjaciela mego, sir Henryka, i że nie potrzebuję żadnej pomocy.

– Wyśmienicie! – rzekł Stapleton. – Ma pan zupełną słuszność, zachowując ostrożność i dyskrecję. Zasłużona to dla mnie nagana za moje niczym nieusprawiedliwione wścibstwo; może pan być pewien, że powstrzymam się w przyszłości od najłżejszej wzmianki w tej sprawie.

Doszliśmy do punktu, z którego wąska, trawą porośnięta ścieżka zbaczała z gościńca i prowadziła przez moczary. Na prawo wznosił się skalisty, stromy pagórek; niegdyś były tu widocznie kamieniołomy. Stok, ku nam zwrócony, pełen był wyłomów i szczelin, zarosłych paprocią i głogiem. W dali szary słup dymu strzelał w obłoki.

– Niedługa przechadzka tą ścieżką zaprowadzi nas do Merripit House – odezwał się Stapleton. – Może pan zechce poświęcić mi godzinę czasu; pragnąłbym bardzo przedstawić pana siostrze.

Zrazu zamierzałem odmówić, bo obowiązek nakazywał mi powrócić do sir Henryka. Lecz wnet przypomniałem sobie stos papierów i rachunków, którymi zaślane było jego biurko. Oczywiście w tej pracy nie mogłem mu być żadną pomocą. A wszak Holmes zalecił mi usilnie, żebym starał się poznać sąsiadów pana zamku. Przyjąłem więc zaproszenie Stapletona i skręciliśmy na ścieżkę.

– Osobliwe są te moczary – rzekł, rozglądając się dokoła po falistej równinie, przeciętej wyębnionymi grzbietami skalistymi, które przybierały w oddali postać fantastycznych bałwanów morskich. – Widok ich nigdy nie spowszednieje. Takie rozległe, takie bezpłodne i takie tajemnicze. Nie ma pan pojęcia, jakie się w nich kryją dziwne niespodzianki.



Stapleton:
Wścibski,
ciekawski.



Opis moczarów.



Stapleton
o moczarach.

– A więc pan zna dobrze te moczary?
– Jestem tu dopiero od lat dwóch. Stali mieszkańcy nazwaliby mnie nowym przybyszem. Zamieszkaliśmy tutaj wkrótce po osiedleniu się sir Karola w zamku. Ale wrodzone upodobania zniewoliły mnie do zwiedzenia całej okolicy i zdaje mi się, że niewielu mieszkańców tutejszych zna ją lepiej ode mnie.

– Czy to takie trudne?
– Bardzo. Widzi pan na przykład tę wielką płaszczyznę na północ z dziwnymi wzgórzami pośrodku?
– Widzę; pyszne miejsce do konnej przejażdżki galopem.
– Tak by się oczywiście panu zdawało, a niemało ludzi przypląciło już życiem to mniemanie. Czy dostrzega pan jaśniejsze zielone kępy, rozsiane gęsto po tej płaszczyźnie?

– Dostrzegam, wydają się żyźniejsze niż reszta obszaru.

Stapleton roześmiał się.



Opowieść
o niebezpiecznym
Wielkim
Trzęsawisku
Grimpeńskim.

– To jest Wielkie Trzęsawisko Grimpeńskie – rzekł. – Jeden fałszywy krok przynosi tam śmierć ludziom i zwierzętom. Wczoraj dopiero widziałem, jak wszedł w nie kucyk i już się nie wydostał. Przez długi czas jeszcze łeb nieboraka wystawał nad trzęsawiskiem, dopóki się zupełnie nie zapadł. Podczas wielkiej suszy niebezpiecznie nawet przechodzić tamtędy, a po niedawnych deszczach jesien-nych to miejsce wprost straszne. Ja jednakże potrafię dotrzeć do samego środka i powrócić. Tam do licha! Oto i drugi nieszczęsny kucyk!



Śmierć koni na
trzęsawisku.

Coś brunatnego rzucało się i szarpało wśród zielonego sitowia. Potem wystrzelił w górę długi kark, wyprężony w śmiertelnym skurczu i przeraźliwy krzyk rozległ się nad moczarami. Zdrętwiałem z przerażenia, mój towarzysz jednak miał widocznie silniejsze nerwy.

– Utonął – rzekł. – Trzęsawisko już go pochłonęło. Dwa w przeciągu dwóch dni; a może ich zginęło znacznie więcej, przyzwyczajają się chodzić tam podczas suszy i nie zauważają różnicy, dopóki trzęsawisko nie pochwyli ich w swoje kleszcze. Szkaradna miejscowość.

– A jednak pan może ją przejść bezpiecznie.
– Mogę; są tam ze dwie ścieżki, którymi człowiek bardzo zwinny może się przedostać i ja je odnalazłem.
– Ale po co pan tam chodzi?
– Czy pan widzi dalej pagórki? Otóż są to istne wyspy, odcięte ze wszystkich stron przez trzęsawisko, które przyczołgało się dokoła z biegiem lat. Tam znajdują się rzadkie rośliny i motyle, a kto się tam zdoła dostać, może zebrać obfite żniwo.
– Spróbuję szczęścia któregoś dnia.

Stapleton spojrział na mnie zdumiony.

– Na miłość boską, porzuć pan tę myśl – rzekł. – Krew pańska spadłaby na moją głowę. Zapewniam pana, że nie powróciłby pan żywy. Mnie od zguby chroni tylko to, że pamiętam dobrze pewne, nie dla każdego dostrzegalne, znaki graniczne.

– A to co! – zawołałem. – Co to jest?

Nad moczarami uniósł się przeciągły i stłumiony pomruk. Przepłynął powietrze, a mimo to niepodobna było określić, skąd pochodził. Stopniowo wzmógł się i zamienił w groźny ryk, po czym znów przycichł i skonał w drżącym, nieskończenie smutnym skowycie.



Skowyt psa na moczarach.

Stapleton spojrział na mnie szczególnym wzrokiem.

– Osobliwe są te moczary! – rzekł.

– Co to jest?

– Chłopi powiedzieliby, że to pies Baskerville'ów domaga się swego żeru. Słyszałem ten odgłos już ze dwa razy, ale nigdy tak wyraźnie.

Z dreszczem trwogi rozglądałem się po rozległej falującej równinie, zasianej zielonymi kępami sitowia. Jak oko sięgało, nie było widać żywego stworzenia na całym obszarze, tylko dwa kruki krakały przeraźliwie, bujając się na trzcinie za nami.

– Ale pan, jako człowiek wykształcony, nie wierzy podobnym niedorzecznościom? – spytałem. – Jaka, zdaniem pana, jest przyczyna tego szczególnego odgłosu?

– W bagnach odzywają się niekiedy dziwne szmery. To może błoto opada albo woda się wznosi, czy ja wiem?

– Nie, nie, to był głos istoty żyjącej.

– Może. Słyszał pan kiedy wabienie bąka?

– Nie, nigdy.

– To bardzo rzadki teraz ptak błotny, w Anglii prawie już wytępiony, ale na moczarach wszystko jest możliwe. Tak... nie zdziwiłbym się bynajmniej, gdyby mi powiedziano, że ten odgłos, który nas doleciał, był krzykiem ostatniego z bąków.

– Jak żyję, nie słyszałem nic równie szczególnego i przerażającego.

– Tak, niezwykła to miejscowość w ogóle. Proszę spojrzeć tam, na ten stok pagórka. Jak się panu zdaje, co to jest?

Cały urwisty stok pokrywały wielkie okrągłe kamienie; było ich przynajmniej ze dwadzieścia.

– Hurty dla owiec, czy co?

– Nie, to siedziby naszych czcigodnych przodków. W czasach przedhistorycznych moczary były gęsto zaludnione, a ponieważ od owej pory nikt tu nie mieszkał, przeto znajdujemy wszelkie



Opis ruin miasteczka.

urządzenia tych poprzedników naszych w stanie takim, w jakim je zostawili. Oto ich legowiska i jaskinie. Jeżeli jest pan ciekawy, niech pan wejdzie do wnętrza, a zobaczy pan jeszcze ogniska i łoża.

– Ależ to całe miasto! Kiedyż było zamieszkane?

– W okresie kamienia ciosanego... Dokładnej daty nikt nie zna.

– Czymże zajmował się człowiek w owym okresie?

– Pasał bydło na tych stokach i uczył się wykopywać kruszec, gdy brązowy miecz zaczął zastępować kamienną siekierę. Niech pan spojrzy na ten wielki rów w pagórku na wprost nas. To ślady jego pracy. Tak, tak, doktorze Watsonie, znajdzie pan na tych moczarach niejedno wielce osobliwe miejsce... Ach, przepraszam pana... chwilkę tylko! To z pewnością *cyklopides*.

Muszka czy też ćma przefrunęła przez naszą ścieżkę i Stapleton w oka mgnieniu, z nadzwyczajną szybkością puścił się za nią w pogoń. Ku memu przerażeniu owad leciał prosto nad Wielkie Trzęsawisko, ale mój nowy znajomy nie zatrzymał się ani na chwilę. Gonił za nim, skacząc z kępy na kępę i powiewając w powietrzu zieloną siatką, a jego szara postać w tym urywanym, zygzakowatym pochodzie wydawała się również jakąś olbrzymią ćmą.

Stałem, patrząc na tę pogoń z podziwem dla nadzwyczajnej zręczności Stapletona i z obawą, żeby nie utracił gruntu pod nogami na zdradzieckim trzęsawisku, gdy nagle dobiegł mnie odgłos kroków. Odwróciłem się i ujrzałem nieopodal na ścieżce kobietę. Szła od strony, w której słup dymu wskazywał położenie Merripit House'u.



Opis panny Stapleton.

Nie mogłem wątpić, że to panna Stapleton, o której mi mówiono, pań bowiem było w okolicy moczarów bardzo niewiele; pamiętam też, iż ktoś wspomniał, że siostra przyrodnika jest piękną. A kobieta zbliżająca się ku mnie była nią niewątpliwie i to typu bardzo niezwykłego.

Trudno było o większy kontrast między rodzeństwem – Stapleton bowiem miał cerę nieokreśloną, jasne włosy i szare oczy, siostra jego zaś była najciemniejszą brunetką, jaką kiedykolwiek widziałem w Anglii – smukła, wytworna i wysoka. Twarz miała dumną, o rysach jak wyrzeźbionych, takich regularnych, że mogła się wydawać chłodną i bierną, gdyby nie zmysłowe usta i precudne, ciemne, namiętne oczy.



Spotkanie z Beryl Stapleton, która ostrzegła Watsona.

Przedziwnie kształtna, wykwintnie ubrana, była istotnie szczególnym zjawiskiem na pustej ścieżce wśród moczarów. Kiedy się odwróciłem, miała wzrok utkwiony w brata, po czym przyspieszyła kroku ku mnie. Uchyliłem kapelusza i zamierzałem coś powiedzieć dla wy-

jaśnienia swej obecności, gdy jej własne słowa zwróciły wszystkie moje myśli w innym kierunku.

– Niech pan wraca! – rzekła. – Niech pan wraca prosto do Londynu, niezwłocznie.

Patrzyłem na nią, ogłupiały ze zdumienia. Czy jej ciskały na mnie błyskawice, tupała nogą niecierpliwie.

– Dlaczego mam wracać? – spytałem.

– Nie mogę powiedzieć nic więcej – mówiła głosem stłumionym, gwałtownym, sepleniąc z lekka. – Ale, na miłość boską, niech pan zrobi to, o co proszę. Niech pan wraca i niech noga pańska nigdy już nie postanie na tych moczarach.

– Ależ ja dopiero co przyjechałem.

– Człowieku, człowieku! – zawołała. – Czyż nie możesz odczuć, kiedy przestroga ma na celu twoje własne dobro? Powracaj do Londynu! Wyjedź dziś wieczór! Uciekaj stąd czym prędzej! Cicho, mój brat nadchodzi! Ani słowa o tym, co mówiłam... O, proszę spojrzeć, jaki tam śliczny storczyk... Jesteśmy tu, na moczarach, bardzo bogaci w storczyki, ale pan przyjechał za późno i już pan nie będzie mógł ocenić piękności naszej okolicy.

Stapleton zaniechał pogoni i wracał do nas zadyszany, czerwony od wysiłku.

– Beryl! To ty! – rzekł, a mnie zdawało się, że ton tego powitania nie był zbyt serdeczny.

– Zmęczyłeś się bardzo, Janku?

– Tak, goniłem okaz *cyklopides*. To rzadki owad, a w ciągu ostatniej jesieni nie widziałem go prawie wcale. Jaka szkoda, że nie mogłem go schwytać!

Mówił obojętnie, ale małe, siwe oczka biegały nieustannie od młodej dziewczyny ku mnie.

– Widzę, że się już państwo poznali.

– Tak, mówiłam właśnie sir Henrykowi, że przyjechał za późno i nie będzie już mógł ocenić prawdziwej piękności moczarów.

– Ach, więc ty bierzesz pana...

– Sądzę, że to sir Henryk Baskerville.

– Nie, nie – rzekłem. – Tylko prosty mieszczanin, ale jego przyjaciel. Nazywam się dr Watson.

Rumieniec gniewu przemknął po jej wyrazistej twarzy.

– Rozmawialiśmy zatem o sprawach niewłaściwych – rzekła.

– Co prawda, niewiele mieliście czasu na rozmowę – zauważył jej brat, patrząc tym samym pytającym wzrokiem.

– Mówiłam do dra Watsona, jak gdyby był stałym mieszkańcem, nie zaś tylko gościem w naszych stronach – rzekła. – Mało go może obchodzić, czy pora dla

storczyków jest wczesna czy późna. Ale pójdzie pan dalej i wstąpi do Merripit House'u?



Opis domu Stapletonów.

Wkrótce stanęliśmy przed skromnym domem, który był niegdyś, w dawnych czasach, folwarkiem jakiegoś hodowcy bydła, teraz zaś został odrestaurowany i przerobiony na siedzibę nowoczesną. Sad otaczał go dokoła, ale drzewa, jak zwykle wśród moczarów, były nędzne i skarlłowaciałe, tak że na ogół cała okolica wyglądała ubogo i robiła smutne wrażenie.

Stary służący, o szczególnej twarzy, jakby zasuszonej, ubrany w strój wieśniaczy, otworzył nam; on widocznie prowadził tu gospodarstwo. Obszerne pokoje były jednak urządzone z wytwornym smakiem, który wykazywał staranną rękę kobiecą. Spoglądając przez okna na bezbrzeżne, kamieniste moczary, które ciągnęły się do najdalszych krańców widnokągu, pytałem siebie ze zdumieniem, co mogło zmusić tego wysoce wykształconego człowieka i tę piękną kobietę do zamieszkania w takim pustkowiu.



Wizyta Watsona w Merripit House.

– Zdumiewa się pan, że wybraliśmy taką osobliwą miejscowość – odezwał się Stapleton, jak gdyby w odpowiedzi na moją myśl. – A jednak urządziliśmy sobie życie tak, że jesteśmy szczęśliwi, nieprawda Beryl?

– Zupełnie szczęśliwi – odparła, jednak bez przekonania w tonie.



Przeszłość Stapletona.

– Utrzymywałem szkołę w jednym z hrabstw północnych – rzekł Stapleton. – Dla człowieka mego temperamentu była to praca mechaniczna i nudna, ale obcowanie z młodzieżą, urabianie nieświadomych umysłów, wpajanie w nie własnych zapatrywań i pojęć miało dla mnie dużo uroku. Los jednakże był mi wrogi. W szkole wybuchła zaraźliwa choroba i trzech chłopców umarło. Był to ciężki cios dla mego zakładu, który skutkiem tego podupadł zupełnie, ja zaś straciłem bezpowrotnie znaczną część mego kapitału. Gdyby nie żał za chłopcami, których towarzystwo lubiłem tak bardzo, mógłbym się cieszyć własnym nieszczęściem, albowiem, mając wrodzone wielkie zamiłowanie do botaniki i zoologii, posiadam tu nieograniczone pole działania; siostra moja zaś kocha przyrodę nie mniej ode mnie. Objaśnienie to jest odpowiedzią na zapytanie, jakie wyczytałem w pańskiej twarzy, gdy przyglądał się pan przez okna moczarom.

– Istotnie, mówiłem sobie, że pobyt tutaj musi być smutny... mniej może dla pana niż dla siostry pańskiej.

– O nie, nie, nie znam smutku – wtrąciła żywo panna Stapleton.

– Mamy książki, mamy nasze zajęcia naukowe, wreszcie mamy zajmujących sąsiadów. Dr Mortimer jest wielce uczonym człowiekiem w swojej specjalności;

biedny sir Karol był niezrównanym towarzyszem. Znalśmy go dobrze; nie jestem wcale w stanie wypowiedzieć, jak dalece odczuwamy jego brak. Jak się panu zdaje, czy przeszkodzi sir Henrykowi, jeżeli odwiedzę go popołudniu? Pragnę bowiem go poznać.

– Sądzę, że będzie panu bardzo rad.

– A zatem może pan uprzedzi go o moim zamiarze. Pragnęlibyśmy, o ile to w naszej mocy, ułatwić mu przywyknienie do nowego otoczenia. Czy zechce pan pójść ze mną na górę i obejrzeć mój zbiór motyli? Zdaje mi się, że w całej Anglii południowej nie ma obfitszego. Zanim pan skończy oglądanie, śniadanie będzie gotowe.

Mnie jednak pilno było wracać na stanowisko. Ponurość krajobrazu, śmierć nieszczęsnego kuczka, piekielny odgłos, mający jakoby związek ze straszną legendą Baskerville'ów, wszystko to przejęło mnie szczególnym smutkiem. A w dodatku do tych, mniej lub więcej nieuchwytnych wrażeń, przyłączyła się wyraźna już zupełnie przestroga panny Stapleton wypowiedziana z taką powagą, że nie mogłem wątpić, iż wywołała ją jakaś tajemnicza konieczność.

Oparłem się więc wszelkim naleganiom, nie zostałem na śniadaniu i wyruszyłem niezwłocznie w drogę powrotną tą samą ścieżką, którą przyszedłem.

Musiła być jednak dla obeznanych z okolicą jakaś ścieżka krótsza, gdyż dochodząc do gościńca, spostrzegłem ze zdumieniem pannę Stapleton siedzącą na kamieniu przy drodze. Zarumieniona od wysiłku, trzymała dłoń na sercu, jak gdyby chcąc stłumić jego bicie.

– Biegłam co siłą, żeby panu tu zastąpić drogę – rzekła. – Nie miałam nawet czasu włożyć kapelusza. Nie mogę zatrzymać się tu dłużej, bo brat spostrzeże, że mnie nie ma. Chciałam tylko przeprosić pana za tę głupią pomyłkę... wzięłam pana za sir Henryka. Proszę, niech pan zapomni moje słowa, które pana w niczym nie dotyczą.

– Ależ ja ich zapomnieć nie mogę – rzekłem. – Jestem przyjacielem sir Henryka, a bezpieczeństwo jego obchodzi mnie bardzo. Niechże mi pani powie zatem, dlaczego pani tak nalegała, żeby sir Henryk powrócił do Londynu?

– Kaprys kobiecy, doktorze Watsonie. Gdy mnie pan pozna lepiej, zrozumie pan, że nie zawsze potrafię wyjaśnić pobudki swoich słów i czynów.

– Nie, nie. Pamiętam drżenie pani głosu. Pamiętam spojrzenie pani oczu. Błagam panią, niech pani będzie ze mną szczerą, bo od czasu przyjazdu w te strony czuję, że otacza mnie jakaś tajemnica. Życie tutaj stało się podobne do tego Wielkiego Trzęsawiska Grimpeńskiego: zasiane jest zielonymi kępami, gdzie czyha na człowieka śmierć, a nigdzie nie ma przewodnika, który wskazałby drogę



Zajęcia Stapletonów – prace badawcze, czytanie książek.



Panna Stapleton prosi Watsona, by zapomniał o ich pierwszej rozmowie.

właściwą. Niechże mi pani zatem powie, co miało znaczyć to ostrzeżenie, a przyrzekam, że powtórzę je sir Henrykowi.

Zawahała się przez chwilę, ale twarz jej przybrała wnet wyraz stanowczy, a oczy spoglądały chłodno.

– Przywiązuje pan do słów moich zbyt wielką wagę – rzekła. – Śmierć sir Karola była dotkliwym ciosem dla mego brata i dla mnie. Łączyły nas stosunki bardzo zażyłe, a droga przez moczary do naszego domu stanowiła jego ulubioną przechadzkę. Był głęboko przejęty klątwą ciążyącą nad całym rodem, nic zatem dziwnego, że po jego tragicznym zgonie zaczęłam wierzyć, iż obawy, jakie wyrażał niejednokrotnie, były uzasadnione. Stąd moja trwoga, gdy dowiedziałam się, że przybywa do zamku inny członek rodziny Baskerville'ów i uważałam za obowiązek ostrzec go o niebezpieczeństwie, jakie mu grozi. To jedynie miałam na myśli.

– Ale na czym polega to niebezpieczeństwo?

– Słyszał pan opowieść o psie?

– Nie wierzę w takie głupstwa.

– Ale ja wierzę. Jeżeli pan ma jakikolwiek wpływ na sir Henryka, proszę zabrać go z tej miejscowości, która przynosiła zawsze nieszczęście jego rodzinie. Świat szeroki. Dlaczego sir Henryk ma pozostać tutaj, gdzie mu grozi niebezpieczeństwo?

– Dlatego właśnie, że mu grozi. Taka już natura sir Henryka. Obawiam się, że o ile pani nie da mi dokładniejszych wyjaśnień, nie zdołam nakłonić go do wyjazdu.

– Nie mogę dać panu wyjaśnień dokładniejszych, bo nic dokładniejszego nie wiem.

– Chciałbym zadać pani jeszcze jedno pytanie. Jeśli w słowach pani, wypowiedzianych do mnie podczas naszego pierwszego spotkania, nie było istotnie żadnego ukrytego znaczenia, to dlaczego nie chciała pani, żeby brat je słyszał? Nie było w nich nic takiego, co należałoby ukryć przed nim lub kimkolwiek innym.

– Brat mój pragnie bardzo, żeby zamek był zamieszkały, gdyż jest zdania, że wymaga tego dobro ubogich mieszkańców okolicznych. Gniewałby się bardzo, gdyby wiedział, że powiedziałam coś takiego, co mogłoby skłonić sir Henryka do wyjazdu. Ale spełniłam już swój obowiązek i nic więcej nie powiem. Muszę wracać, inaczej brat spostrzeże, iż mnie nie ma i domyśli się, że rozmawiałam z panem. Do widzenia!

Zawróciła i w kilka chwil później znikła pośród rozrzuconych odłamków skał, gdy ja z duszą pełną nieokreślonej obawy podążyłam do Baskerville Hall.

VIII. PIERWSZY RAPORT DOKTORA WATSONA

Odtąd będę śledził bieg wypadków, przepisując swoje własne listy do Sherlocka Holmesa, które leżą przede mną na stole. Brak mi tylko jednej kartki. Listy są jak najwierniej przepisane. Odtwarzają moje ówczesne uczucia i podejrzenia dokładniej niż moja pamięć, jakkolwiek zachowałem niezatarte wspomnienie tych tragicznych wspomnień.



Watson przytacza swoje listy do Holmesa.

Baskerville Hall, 13 października.

Mój drogi Holmesie!

Moje poprzednie listy i depesze zawiadomiły cię dokładnie o wszystkim, co zaszło dotąd w tym zapomnianym przez Boga zakątku świata. Im dłużej człowiek tu żyje, tym bardziej ponura atmosfera moczarów przenika duszę, tym większą grozą przejmują ich obszar bezbrzeżny i ich przerażający urok.



Czas i miejsce akcji.

Kto raz dotarł do ich wnętrza, ten pozostawił za sobą wszelkie ślady Anglii współczesnej, natomiast wszędzie spotyka siedziby ludzi przedhistorycznych. Gdziekolwiek stąpniesz, wszędzie widzisz dokoła domostwa tych zapomnianych pokoleń, ich groby i olbrzymie monolity, które, zdaje się, oznaczają miejsca, gdzie wznosiły się ich świątynie.

Spoglądając na te szare kamienne chaty oparte o urwiste stoki pagórków, zapominasz o wieku, w jakim żyjesz, a gdybyś ujrzał nagle okrytego skórą, obrośniętego włosami człowieka, który czołgając się, wychodzi z niskich drzwi i zakłada na cięciwę swego łuku strzałę zakończoną ostrzem krzemieniowym, zdawałoby ci się, że jego obecność tam jest naturalniejszą niż Twoja własna.

Dziwić się tylko należy, dlaczego ci przedhistoryczni przodkowie nasi zaludniali tak gęsto tę ziemię, która niewątpliwie była zawsze w najwyższym stopniu nieurodzajna. Nie jestem archeologiem, ale przypuszczam, że był to jakiś szczep niewojowniczy i uciemniony, który musiał zadowolić się tym, czego żaden inny zabrać nie chciał.

Wszystko to wszakże nie ma nic wspólnego z posłannictwem, które mi powierzyłeś i nie zaciekawi prawdopodobnie Twego ściśle praktycznego umysłu. Pamiętam dobrze, iż obojętnym Ci jest



Watson wspomina o praktycznym umyśle Holmesa.

najzupełniej, czy Ziemia obraca się wokół Słońca, czy Słońce naokoło Ziemi. Wracam więc do faktów dotyczących sir Henryka Baskerville'a.

Jeśli nie dostałeś ode mnie raportu w ciągu kilku ostatnich dni, to dlatego jedynie, że nie miałem Ci co donosić. Ale zaszła właśnie okoliczność niezwykła, o której wiedzieć winienes. Przede wszystkim jednak muszę Cię zapoznać z innymi czynnikami zagadki, jaką mamy rozwiązać.

Jednym z nich, o którym wspominałem Ci zaledwie, jest zbiegły, ukrywający się wśród moczarów więzień. O ile się zdaje, opuścił on już te strony, a to przeświadczenie uspokoiło mieszkańców pustkowia. Już tydzień minął od chwili ucieczki więźnia i przez ten czas nikt go nie widział ani nie słyszał o nim. Niepodobieństwem jest, żeby wytrzymał dotąd na moczarach. Ukryć mógłby się z łatwością w którejkolwiek jaskini, ale nie miałyby co jeść, chyba że schwytałby i zarznął jednego z pasących się na stokach gór baranów. Sądzymy więc, że stąd uciekł, a dzierzawcy okoliczni mają w tym przekonaniu sen spokojniejszy.



Relacja ze spotkania sir Henryka ze Stapletonami.

W zamku jest nas czterech mężczyzn, zdolnych obronić się w razie potrzeby, ale przyznaję, że miałem chwile niepokoju na myśl o Stapletonach. Mieszkają na pełnym pustkowi, trzymają tylko dwoje służby, a sam Stapleton nie grzeszy siłą. Byłby więc wraz z siostrą zupełnie bezbronny w rękach takiego wytrawnego złoicy, jak ów zbieg z Notting Hill, gdyby się dostał do nich.

Sir Henryk był takim położeniem nie mniej ode mnie zaniepokojony i zaproponował, że Perkins, jego stangret, będzie u nich sypiał; Stapleton wszakże nie chciał o tym słyszeć.

Troskliwość baroneta wynika też i stąd, że nasz przyjaciel zaczyna zajmować się żywo piękną sąsiadką. Nic dziwnego; czas w tym dzikim ustroju wlecze się nieznośnie dla człowieka takiego, jak on, czynnego,



Uzucie sir Henryka do Beryl Stapleton.

a panna jest czarująca. Ma jakiś egzotyczny urok, czuć w niej jakby gorącą krew mieszkanki sfer podzwrotnikowych, co stanowi szczególnie kontrast z chłodem i obojętnością brata.



Relacje między rodzeństwem Stapletonów.

Wszelako i on przywodzi na myśl owe ukryte, tlejące pod popiołami płomienie. Ma widocznie wielki wpływ na siostrę; zauważyłem, że rozmawiając, spogląda nieustannie na niego, jak gdyby szukała uznania dla swoich słów. Błysk metaliczny w oczach tego człowieka i zacięte wąskie wargi wykazują naturę stanowczą, a może nawet nieubłaganą. Ręczę, że śledziłbyś go z zajęciem.



Wyprawa mężczyzn na moczary.

Odwiędził Baskerville'a zaraz pierwszego dnia, a nazajutrz rano zaprowadził nas obu tam, gdzie, jak utrzymują tutaj, wzięła począ-

tek legenda o okrutnym Hugonie. Szliśmy kilka mil przez moczary do miejsca tak ponurego, że mogło zrodzić tę straszną opowieść.

Stanęliśmy u wejścia do krótkiego wąwozu między urwiskami, który prowadzi na zarosłą trawą małą polankę. Na środku polanki sterczą dwa wielkie głazy, o wierzchołkach takich ostrych i spiczastych, że wyglądają jak olbrzymie kły jakiegoś żarłocznego potwora. Całe otoczenie odpowiada najzupełniej widowni legendowej tragedii.

Sir Henryk z wielkim zajęciem rozglądał się dokoła i niejednokrotnie zapytywał Stapletona, czy wierzy istotnie w możliwość wpływu nadprzyrodzonego na bieg spraw ludzkich. Mówił tonem wesołym, lecz czuć było, że bierze sprawę poważnie. Odpowiedzi Stapletona były powściągliwe, lecz każdy z łatwością mógł dostrzec, iż nie mówi wszystkiego, nie chce wyraźnie wygłosić swego zdania ze względu na uczucia baroneta. Opowiedział nam kilka podobnych wypadków prześladowania rodzin przez siły nieznanne i pozostawił nas pod wrażeniem, że podziela ogólną wiarę w legendę.

W drodze powrotnej wstąpiliśmy na śniadanie do Merripit House'u i tu sir Henryk poznał pannę Stapleton.

Od pierwszej chwili widok jej wywarł na nim głębokie wrażenie i sądzę, że się nie mylę, utrzymując, iż było wzajemne. Gdy powracaliśmy do domu, mówił o niej ciągle, a teraz nie ma prawie dnia, ażebyśmy nie widzieli się z bratem i siostrą. Są dziś tu na obiedzie, a w przyszłym tygodniu my mamy podobno być u nich.

Należałoby przypuszczać, że taka partia powinna być bardzo upragniona przez Stapletona, tymczasem niejednokrotnie zauważyłem wyraz wielkiego niezadowolenia na jego twarzy, gdy sir Henryk w jakikolwiek sposób okazuje zainteresowanie jego siostrą. Stapleton jest niewątpliwie bardzo do niej przywiązany i prowadziłby życie bardzo samotne, gdyby jej zabrakło; lecz byłoby to znów najwyższym samolubstwem, gdyby z tego względu nie dopuścił do tak świetnego dla niej małżeństwa.

Jednakże jestem pewien, że Stapleton nie życzy sobie, ażeby zażyłość młodej pary przekształciła się w miłość i kilkakrotnie zauważyłem, że umyślnie zapobiegł, ażeby nie zostali sami we dwoje. Nawiasem mówiąc, jeśli sprawa miłosna przyłączy się do trudności dotychczasowych, spełnienie polecenia Twego, ażeby nie opuszczał sir Henryka na żadnej przechadzce, stanie się dla mnie o wiele uciążliwsze. Utraciłbym całą jego sympatię, gdybym chciał dosłownie wypełnić Twój rozkaz.

Przed kilku dniami – w czwartek dla ścisłości – dr Mortimer był u nas na śniadaniu. Wykopał czaszkę człowieka przedhistorycznego z mogiły w Long Down i jest uszczęśliwiony. Nie znam równie łatwowiernego entuzjasty. Po śniadaniu



Pierwsze spotkanie sir Henryka z Beryl Stapleton i dalszy rozwój ich znajomości.



Zazdrość Stapletona o siostrę.

przyszli Stapletonowie i poczciwy doktor, na prośbę sir Henryka, zaprowadził nas wszystkich do szpaleru cisowego, żeby nam opowiedzieć dokładnie na miejscu, jak się to wszystko stało, w ową fatalną noc.



Opis miejsca śmierci sir Karola.

Szpaler jest długi, ponury, ocieniają go dwa wysokie żywopłoty, a z każdej strony ciągnie się wąski pas trawnika. Na końcu stoi stara, zapadła altana, a w połowie szpaleru znajduje się furtka, gdzie sir Karol strząsnął popiół z cygara. Poza nią rozpościerają się moczary bezbrzeżne.

Pamiętam Twoją hipotezę w tej sprawie i usiłowałem odtworzyć sobie w wyobraźni to, co tam zaszło. Sir Karol, stojąc przy furtce, ujrzał coś idącego przez moczary, coś, co przejęło go taką trwogą, że utracił panowanie nad sobą, zaczął uciekać i biegł bez pamięci, dopóki nie umarł ze strachu i znużenia. Biegł długim, ponurym, liściastym tunelem. Przed czymże uciekał? Przed psem pasterskim z moczarów? Czy też przed jakimś czarnym, milczącym, fantastycznym potworem? Czy działała tu ręka ludzka? Czy błąd, baczny Barrymore wie więcej, niż chce powiedzieć? Wszędzie mrok i tajemnica, a nad wszystkim niezaprzeczone piętno zbrodni.



Opis pana Franklanda z Lafter Hall i jego zajęć – procesy sąsiedzkie, obserwacje astronomiczne.

Od czasu, gdy pisałem ostatni raz do Ciebie, poznałem jeszcze jednego sąsiada. Pana Franklanda z Lafter Hall; mieszka o jakieś cztery mile na południe od nas. Jest to człowiek już starszy, siwy, czerwony jak burak, temperamentu cholerycznego. Ma jedną namiętność – przestrzega zacięcia wykonywania przepisów prawa; stracił już majątek na procesy, a procesuje się z upodobania, uprawia sztukę dla sztuki i bywa w jednej i tej sprawie raz powodem, to znów pozwanym, także nic dziwnego, iż ta zabawka stała się dlań taka kosztowna.

Bywa, że zamknie, ni stąd, ni zowąd, drogę publiczną i gmina musi pozywać go przed sądy; innym razem obala płot okalający grunt któregoś z mieszkańców, upiera się, że istniała tam od czasów niepamiętnych ścieżka i zmusza właściciela do zaskarżenia go o gwałt. Zna doskonale prawa własności dworu i gminy i wyzyskuje niekiedy te wiadomości na korzyść włościan z Fernworthy, niekiedy zaś przeciw nim, tak że bywa kolejno albo obnoszony w tryumfie po wsi, albo spalany *in effigie*¹, stosownie do ostatniego czynu.

Mówią, że ma teraz siedem procesów, które pochłoną resztki jego majątku, co mu wytrąci broń z ręki i uczyni go nieszkodliwym. Poza obrębem tej manii jest,

¹ *in effigie* – według średniowiecznego prawa: wykonywanie kary na wizerunku przestępcy zmarłego lub zbiegłego; tu: symbolicznie

zdaje się, człowiekiem łagodnym, dobrodusznym i wspominam o nim tylko dlatego, że nalegałeś, ażebym Ci opisał wszystkie osoby stanowiące nasze otoczenie.

Pan Frankland ma chwilowo szczególne zajęcie; uprawiając astronomię z amatorstwa, posiada świetny teleskop i przez cały dzień z dachu swego domu rozgląda się po moczarach, w nadziei, że dostrzeże zbiegłego więźnia. Gdyby tylko chciał działalność swoją na tym ograniczyć! Ludzie mówią, że zamierza wytoczyć proces doktorowi Mortimerowi za otwarcie grobu bez zezwolenia najbliższych krewnych i to dlatego, że doktor wykopał z mogiły w Long Down ową czaszkę przedhistoryczną, z okresu kamienia ciosanego. Dzięki temu Franklandowi mamy życie nieco urozmaicone, wprowadza on, bardzo pożądaną, pierwiastek komiczny.

A teraz, skoro już wiesz wszystko, co się dotąd dzieje ze zbiegłym więźniem, Stapletonami, doktorem Mortimerem i Franklandem z Lafter Hall, przejdę do rzeczy ważniejszych, do Barrymore'ów, a zwłaszcza do niespodziewanego zajścia ubiegłej nocy.

Przed wszystkim powrócę do depeszy, którą wysłałeś z Londynu, ażeby się upewnić, czy Barrymore jest istotnie w zamku. Pisałem Ci już, że słowa pocztmistrza wykazują, iż próba nie powiodła się i nie mamy żadnego dowodu. Powiedziałem o tym sir Henrykowi, a on, ze swą zwykłą szczerością, wezwał Barrymore'a i zapytał go, czy odebrał depeszę osobiście. Barrymore odpowiedział twierdząco.

– Czy chłopiec oddał ci ją do rąk? – zapytał sir Henryk.

Barrymore był widocznie zdumiony i zastanowił się przez chwilę.

– Nie – odparł. – Byłem na strychu i żona mi ją przyniosła.

– A czy odpowiedziałeś sam na depeszę?

– Nie; powiedziałem żonie, co ma odpisać. I wyręczyła mnie.

Wieczorem Barrymore, z własnej inicjatywy powrócił do tej sprawy.

– Nie rozumiem dobrze powodu pytań, jakie mi pan dziś rano zadawał – rzekł. – Mam nadzieję, iż nie są one znakiem, że dopuściłem się czynu, który zachwiał pana zaufaniem?

Sir Henryk zapewnił go, że tak nie jest i uspokoił go ostatecznie podarowaniem znacznej części swej starej garderoby, ponieważ ubranie zamówione w Londynie już nadeszło.

Pani Barrymore zaciekawia mnie bardzo. Jest to niewiasta tęga, ociężała, ograniczona, pełna godności, ze skłonnością do purytanizmu. Nie możesz sobie wyobrazić osoby mniej wrażliwej. Jednakże pisałem Ci, że pierwszej nocy po przyjeździe tu słyszałem jej gwałtowny płacz, a potem zauważyłem niejednokrotnie ślady łez na jej twarzy. Dręczy ją niechybnie jakaś wielka zgrzyzota. Niekiedy wydaje mi się, że ją



Barrymore przynajmniej, że nie odebrał depeszy osobiście.



Opis pani Barrymore.

trapią wyrzuty sumienia, a chwilami znów posądzam Barrymore'a, że jest tyranem domowym. Odczułem od razu coś niezwykłego i tajemniczego w tym człowieku, ale przygoda ostatniej nocy wzmogła do najwyższego stopnia moje podejrzania.

Niemniej zajście samo przez się może się wydać blahym.



Podejrzany
nocny spacer
Barrymore'a.

Jak Ci wiadomo, mam sen lekki, a od chwili, gdy jestem tu na straży, nie śpię wcale, lecz drzemię. Otóż, ubiegłej nocy, około drugiej nad ranem, zbudził mnie odgłos kroków mijających mój pokój. Wstałem, uchyliłem drzwi i wyrzałem. Po korytarzu wlokł się wydłużony czarny cień, który padał od postaci mężczyzny idącego chyłkiem i trzymającego świecę w ręku. Miał na sobie tylko koszulę i spodnie i był boso. Dojrzałem zaledwie zarysy postaci, lecz po wzroście poznałem Barrymore'a. Szedł wolno i ostrożnie, a jego postawa miała cechę zakradającego się winowajcy.

Pisałem Ci, że korytarz przecięty jest balkonem biegnącym dokoła przedsionka, lecz ciągnie się jeszcze dalej, po drugiej jego stronie. Zaczekałem, aż postać idąca zniknęła i podążyłem za nią. Gdy okrążyłem balkon, człowiek ów był już na końcu korytarza i po blasku światła padającego przez otwarte drzwi, zmiarkowałem, że wszedł do jednego z pokojów. Pokoje w tym skrzydle zamku są wszakże niezamieszkane i nieumeblowane, owa wycieczka więc stawiała się coraz bardziej tajemniczą. Światło świeciło stale w jednym punkcie, jak gdyby trzymający je stał bez ruchu. Zakradłem się jak mogłem najciszej pod drzwi i zajrzałem.

Barrymore stał skulony przy oknie i trzymał świecę przed samą szybą. Zwrócony do mnie profilem, patrzył z natężeniem w czarną dal moczarów, a rysy jego jakby skamieniały w tym oczekiwaniu. Stał tak przez kilka minut, po czym westchnął głęboko i niecierpliwym ruchem zgasił świecę. Powróciłem co tchu do siebie i wnet znów usłyszałem odgłos cichych kroków. Długo potem, gdy zapadłem już w półsen, dobiegł mnie zgrzyt obracanego w zamku klucza, lecz nie mogłem powiedzieć, skąd ten dźwięk pochodził.

Co to wszystko znaczy – nie mam pojęcia, ale w tym ponurym domu toczą się jakieś tajemnicze sprawy, które, prędzej czy później, wyjaśnimy niechybnie. Nie zaprzęgam Ci głowy swoimi przypuszczeniami, gdyż żądałeś ode mnie tylko faktów. Rozmawiałem dziś rano długo z sir Henrykiem i ułożyliśmy plan kampanii na podstawie moich spostrzeżeń z ubiegłej nocy. Nie powiem Ci dziś, na czym plan nasz polega, przeczytasz z tym większym zainteresowaniem mój następnny raport.

IX. DRUGI RAPORT DOKTORA WATSONA

Baskerville Hall, 16 października.

Mój drogi Holmesie!

Jeżeli przez pierwsze dni mego pobytu tutaj nie przesyłałem Ci zbyt obszernych listów, musisz przyznać, że wynagradzam Ci obecnie czas stracony i że wypadki szybko i obficie następują po sobie. Ostatni raport zakończyłem opisem nocnej wycieczki Barrymore'a, a dzisiaj mam cały zapas nowin, które wprawiają Cię niechybnie w niemałe zdumienie.

Rzeczy przybrały obrót zupełnie niespodziewany. W części wyjaśniły się przez ostatnie dwie doby, w części zaś bardziej jeszcze się zawikłały. Ale zaraz opiszę Ci wszystko i sam osądzisz.

Nazajutrz rano po owej nocnej przygodzie udałem się przed śniadaniem do pokoju, gdzie w nocy wszedł Barrymore. Zauważyłem, że okno zachodnie, przez które wyglądał z takim natężeniem, wyróżnia się spośród innych – widać stamtąd wyraźnie moczary przez otwór między dwoma drzewami, gdy ze wszystkich innych okien widok jest zasłonięty. Stąd wynika, że Barrymore, stojąc w tym oknie, wypatrywał kogoś lub czegoś na moczarach.

Noc była taka ciemna, że nie wyobrażam sobie, jak mógł przypuszczać, iż dojrzy cokolwiek. Na razie przyszło mi do głowy, że wchodzi tu w grę jakaś przygoda miłosa, co usprawiedliwiłoby jego tajemnicze zakradanie się, a także i rozdrażnienie żony. Barrymore jest niezwykle przystojnym mężczyzną, aż nadto zdolnym podbić serce wiejskiej dziewczyny – przypuszczenie moje zatem miało wszelkie cechy prawdopodobieństwa.

Owo otwarcie drzwi, które usłyszałem, powróciwszy do siebie, mogło znaczyć, że wyszedł na schadzkę. Takie wysnułem wówczas wnioski i dziełę się z Tobą swymi podejrzeniami, jakkolwiek w końcu okazało się, że były bezpodstawne.

Jakkolwiek wszelako mogła być istotna przyczyna postępowania Barrymore'a, czułem, że zbyt wielką wzięłbym na siebie odpowiedzialność, gdybym zamilczał o owej przygodzie, dopóki nie zostałaby wyjaśniona. Po śniadaniu więc poszedłem z baronetem do jego gabinetu i opowiedziałem mu wszystko, co widziałem. Sir Henryk okazał zdziwienie mniejsze, niż przypuszczałem.

– Wiedziałem, że Barrymore odbywa nocne wędrówki i chciałem już z nim o tym pomówić – rzekł. – Słyszałem kilka razy odgłos jego kroków w korytarzu o tej właśnie godzinie, którą pan wymienił.



Czas i miejsce akcji.



Poranna rozmowa Watsona z sir Henrykiem o Barrymore.

– Może zatem co noc chodzi do tego jednego okna – wtrąciłem.

– Może, a w takim razie będziemy mogli go zaskoczyć i przekonać się, czego tam właściwie chce. Ciekaw jestem, co począłby przyjaciel pański, Holmes, gdyby był tutaj?

– Myślę, że uczyniłby zupełnie to samo, co pan zamierza – odparłem. – Poszedłby za Barrymore’em i przekonałby się, co robi.

– W takim razie pójdziemy obaj.

– Ależ usłyszysz nas z pewnością.

– Nie sądzę, ma słuch przytępiony, bądź co bądź, musimy skorzystać z tej sposobności. Dziś wieczorem zatem zaczekamy w moim pokoju, dopóki nie przejdzie.

Sir Henryk zataił ręce z zadowoleniem; widocznym było, że rad jest temu urozmaiceniu jednostajnego życia wśród moczarów.



Plany przebudowy zamku.

Baronet nawiązał stosunki z budowniczym, który przygotował plany dla sir Karola, oraz z dostawcą w Londynie, więc wkrótce rozpoczną się tu wielkie zmiany. Byli już tapicerzy i stolarze z Plymouth i widać ze wszystkiego, że nasz przyjaciel ma szerokie zamiary i postanowił nie szczędzić trudów ani kosztów dla przywrócenia dawnego blasku siedzibie rodzinnej.

Gdy dom zostanie odnowiony i urządzony, brak będzie baronetowi jedynie żony, a między nami mówiąc, myślę, że domyślam się, kto mógłby nią zostać, jeśli tylko ta osoba naturalnie tego zechce. Mało widziałem ludzi tak rozkochanych w kobiecie, jak sir Henryk w naszej pięknej sąsiadce, pannie Stapleton. Wszelako droga tej gorącej miłości nie jest taka gładka, jakby można się spodziewać w danych okolicznościach. Dzisiaj, na przykład, przyjaciel nasz spotkał na tej drodze niespodziewaną przeszkodę, która sprawiła mu niemałą przykrość.

Po rozmowie naszej o Barrymore’a sir Henryk wziął kapelusz i zabierał się do wyjścia. Oczywiście uczyniłem to samo.

– Jak to, czy pan idzie ze mną? – zapytał, spoglądając na mnie w szczególny sposób.



Wyprowadzenie sir Henryka na moczary.

– To zależy od tego, czy pan pójdzie na moczary – odparłem.

– Tak, tam właśnie idę.

– Wszakże pan wie, jakie mam polecenie. Przykro mi narzucać się panu, ale słyszał pan sam, jak usilnie Holmes nalegał, żebym pana nie opuszczał, a zwłaszcza żeby nie chodził pan sam po moczarach.

Sir Henryk położył dłoń na moim ramieniu.

– Mój drogi panie – rzekł z uśmiechem. – Holmes z całą swoją mądrością nie przewiduje pewnych rzeczy, które właśnie zaszły od czasu, jak przybyłem nad te

moczary. Wszak pan mnie rozumie? Jestem pewien, że pan byłby ostatnim, który chciałby popsuć mi szyki. Muszę pójść sam.

Skutkiem tych słów znalazłem się w najfałszywszym położeniu. Nie wiedziałem, co począć ani co powiedzieć i zanim się namyśliłem, sir Henryk wziął łaskę i wyszedł.

Ochłonąwszy z pierwszego wrażenia, zacząłem sobie wyrzucać, że, bez względu na przyczynę, pozwoliłem mu wyjść bez opieki. Wyobraziłem sobie, z jakim uczuciem powróciłbym do Ciebie, by Ci oznajmić, że zdarzyło mu się jakieś nieszczęście skutkiem mego lekceważenia Twoich poleceń. Daję Ci słowo, że na samą myśl o tym krew uderzyła mi do głowy. Sądząc więc, że nie będzie jeszcze za późno, że zdołam go dogonić, pośpieszyłem niezwłocznie w kierunku Merripit House'u.

Z początku mojej pogoni nie mogłem dostrzec sir Henryka na drodze. Dopiero gdy przybyłem do miejsca, z którego skręca w bok ścieżka na moczary i, w obawie, że może jednak podążyłem w złą stronę, wszedłem na pagórek skalisty, skąd mogłem rozejrzeć się swobodnie dokoła, zobaczyłem go od razu.

Stał na ścieżce w odległości około ćwierci mili, a obok niego znajdowała się kobieta; mogła to być tylko panna Stapleton. Oczywistym było, iż spotkali się tutaj, umówiwszy się wcześniej. Szli wolno, zatopieni w rozmowie, widziałem szybkie ruchy rąk panny Stapleton, jak gdyby chciała nimi podkreślać własne słowa, on słuchał z natężeniem, lecz kilkakrotnie potrząsnął energicznie głową, widocznie zaprzeczając czemuś.

Stałem wśród skał, śledząc ich i nie wiedząc, co z sobą począć. Dogonić ich i przerwać tę poufną rozmowę wydało mi się obelgą, a jednak miałem obowiązek nie spuszczać ani na chwilę z oka sir Henryka. Odgrywać rolę szpiega wobec przyjaciela to zadanie nad wyraz wstrętne. Wszelako nie pozostawało mi nic innego, tylko śledzić go z pagórka, a następnie oczyścić sumienie otwartym wyznaniem tego postępk. Prawda, że gdyby zagroziło mu jakieś nagle niebezpieczeństwo, byłem blisko, by móc mu pomóc, niemniej jednak pewien jestem, że przyznasz mi, iż położenie było bardzo trudne i nie mogłem nic więcej uczynić.

Nasz przyjaciel, sir Henryk, i młoda panna zatrzymali się na ścieżce i stali pogrążeni w rozmowie, gdy nagle zauważyłem, że nie jestem jedynym świadkiem ich spotkania. Zielony wiecheć powiewający w powietrzu zwrócił moją uwagę, a przyjrawszy się bliżej, spostrzegłem, że wisiał na kiju, a niósł go mężczyzna idący wśród głazów.



Watson śledzi sir Henryka.



Spotkanie sir Henryka z panną Stapleton.

Był to Stapleton ze swoją siatką na motyle. Znajdował się dużo bliżej młodej pary niż ja i szedł ku niej.

W tej chwili sir Henryk nagle objął w pół pannę Stapleton, lecz zdawało mi się, że usiłowała się wyrwać z jego uścisku i odwróciła głowę. On pochylił się ku niej, a ona podniosła rękę, jakby w obronie. Wtem odskoczyli od siebie i obrócili się żywo. To Stapleton ich spłoszył. Biegł ku nim jak szalony, a ta głupia siatka powiewała na kiju.

Stanąwszy przed zakochanymi, wymachiwał rękoma w uniesieniu i tupał nogami.



Awantura ze Stapletonem.

Nie miałem pojęcia, co ta scena może znaczyć, ale zdawało mi się, że Stapleton robił wymówki sir Henrykowi, który się tłumaczył, co tamtego wprowadzało w coraz większe uniesienie. Panna stała wyniosła i milcząca.

W końcu Stapleton odwrócił się i skinął rozkazująco na siostrę, która spojrzawszy z wahaniem na sir Henryka, odeszła z bratem. Gniewne ruchy przyrodnika wykazały, że i panna zasłużyła na jego niezadowolenie.

Baronet stał przez chwilę, patrząc za odchodzącymi, po czym wolnym krokiem, z głową spuszczoną, istny obraz przygnębienia, wracał ścieżką, którą przyszedł.

Nie rozumiałem, co to wszystko miało znaczyć, ale ogarnął mnie głęboki wstyd, że byłem świadkiem takiej poufnej sceny, bez wiedzy swego przyjaciela. Zbiegłem więc z pagórka i u jego stóp spotkałem baroneta. Miał oczy roziskrzzone gniewem, brwi zmarszczone, twarz zmienioną jak człowiek, który nie wie, co począć.

– A to co, Watson! A pan skąd się tu wziął? – rzekł. – Może mimo mej woli poszedł pan za mną, co?

Powiedziałem mu wszystko: jak doszedłem do wniosku, że nie powinienem być pozostać, jak podążyłem z nim i jak stałem się świadkiem tego, co zaszło. Na razie oczy jego zapłonęły gniewem, ale rozbroiła go moja szczerłość i w końcu roześmiał się żałośnie.

– Zdawałoby się człowiekowi, że na środku tego pustkowiecia może być pewien samotności – rzekł – a tu, do pioruna, cała okolica wyległa widocznie, by patrzeć na moje oświadczyni... Ładne były oświadczyni! Gdzież pan zamówił miejsce na to widowisko?

– Stałem na tym oto wzgórzu.

– W ostatnim rzędzie, co? Ale jej brat usadowił się na samym przodzie! Czy widział pan, jak szedł ku nam?

– Widziałem.

– Czy ten jej brat nie robił na panu nigdy wrażenia wariata?

– Nie, nie mogę tego powiedzieć.

– No i ja również. Miałem go zawsze za człowieka dosyć normalnego, aż do dzisiaj, ale może mi pan uwierzyć na słowo, że albo on, albo ja powinienem być w kaftanie wariata. Jednakże co się ze mną dzieje? Doktorze, jest pan ze mną już kilka tygodni, proszę zatem powiedzieć mi szczerze, czy jest we mnie coś takiego, co by mi przeszkodziło być dobrym mężem kobiety, którą bym kochał?

– Moim zdaniem, nie.

– Nie może nic zarzucić memu stanowisku społecznemu, a zatem ma coś przeciw mojej osobie. Ale co? Nie wyrządziłem nigdy nikomu najmniejszej krzywdy, a jednak on nie pozwala nawet dotknąć końca jej palców.

– Czy tak powiedział?

– Tak, i znacznie więcej jeszcze. Znam ją dopiero kilka tygodni, ale od pierwszej chwili uczułem, że ta kobieta jest dla mnie stworzona, a ona również była szczęśliwą, przebywając ze mną... przyślągłbym to. Kobieta miewa w oczach błyski stokroć wymowniejsze od słów. Ale jej brat nigdy nie dopuszczał do porozumienia między nami i dzisiaj dopiero, po raz pierwszy, zdarzyła mi się sposobność porozmawiania z nią bez świadków. Rada była z naszego spotkania, lecz nie pozwoliła mi mówić o miłości. Powracała ciągle do jednego przedmiotu, ostrzegała mnie, że mi tu grozi niebezpieczeństwo, i że nie uspokoi się, dopóki stąd nie wyjadę. Odpowiedziałem jej, że od chwili, kiedy ją ujrzałem, nie śpieszy mi się wcale wyjeżdżać i jeżeli istotnie zależy jej na tym, bym opuścił te strony, jedyny na to sposób: niechaj jedzie ze mną. Po czym oświadczyłem się jej, ale zanim zdążyła odpowiedzieć, wpadł na nas ten jej brat. Wyglądał jak wariat: blady jak ściana z gniewu, a z jego jasnych oczu sypały się iskry! Co ja tu robię z jego siostrą? – krzyczał. Jak śmiem okazywać jej uczucia, które są dla niej wstrętne? Czy sądzę, że dlatego, iż jestem baronetem, to mi wszystko wolno? Gdyby nie był jej bratem, dałbym mu należytą odprawę. Ale w tych warunkach powiedziałem mu tylko, że nie mam potrzeby wstydzić się uczuć, które żywię do jego siostry i mam nadzieję, iż zechce zostać moją żoną. Ale to bynajmniej nie poprawiło całej sytuacji, tak że i ja uniosłem się w końcu i odpowiedziałem mu gwałtowniej niż chciałem, ze względu na jej obecność. Skończyło się na tym, że odszedł wraz z nią, jak sam widziałeś, a ja zostałem jak głupi. Proszę powiedzieć, co to może znaczyć, a będę panu wdzięczny aż do grobu.

Usiłowałem wytłumaczyć zająście tym i owym, ale w istocie zgłupiałem sam zupełnie. Za przyjaciąłem naszym przemawia tytuł, majątek, wiek, charakter, powierzchowność. Nie wiem nic złego o nim, a jedyny zarzut, jaki można mu zrobić, to ów fatalizm, który ściga jego rodzinę. Zdumiewające to istotnie, że



Miłość sir Henryka do Beryl.



Nienawiść Stapletona do sir Henryka.

konkury baroneta zostały tak brutalnie odrzucone, bez względu na uczucia panny i że ona przyjęła decyzję brata bez oporu.



Wizyta Stapletona w zamku i przeprosiny sir Henryka.

Wszelako tym wszystkim wnioskom naszym położyła koniec wizyta Stapletona tego samego dnia po południu. Przyszedł przeprosić za swoją szorstkość, a wynikiem długiej, poufnej rozmowy z sir Henrykiem w jego gabinecie było zupełne pogodzenie; na znak tej zgody zaś mamy być w piątek na obiedzie w Merripit House.

– Niemniej – rzekł sir Henryk po odejściu Stapletona – uważam go w dalszym ciągu za człowieka narwanego; nie mogę zapomnieć jego wzroku, gdy pędził ku mnie dziś rano. Muszę jednak przyznać, że usprawiedliwiał się bardzo szczerze.

– Czy wyjaśnił czymkolwiek swoje postępowanie?

– Mówił, że siostra jest dla niego wszystkim na świecie. Rzecz to zupełnie naturalna i cieszę się, że ją należycie oceniam. Nie rozstawali się nigdy i, jak opowiada, pędzi życie bardzo samotne, ograniczając się wyłącznie jej towarzystwem, tak że nie może wprost znieść myśli o jej utracie. Zrazu nie widział mego przywiązania do niej, ale gdy przekonał się na własne oczy o mych uczuciach i zrozumiał, że mogę mu ją zabrać, doznał takiego wstrząśnienia, iż nie zdawał sobie sprawy z tego, co mówił lub robił. Zapewniał mnie, że żałuje niezmiernie tego, co się stało i przyznał, iż to było szaleństwo i najwyższe samolubstwo z jego strony, jeśli przypuszczał, że będzie mógł zatrzymać przy sobie na całe życie kobietę tak piękną, jak jego siostra. Jeśli ma go porzucić – mówił – to woli, żeby to uczyniła dla takiego, jak ja, sąsiada, niż dla kogoś innego. Ale w każdym razie cios to dla niego ciężki i minie pewien czas, zanim uspokoi się na tyle, że zdoła go znieść. Zapewnił mnie następnie, iż przestanie stawiać opór, jeśli mu przyrzeknę, że nie poruszę tej sprawy przez trzy miesiące i zadowolę się przez ten czas przyjaźnią jego siostry, nie domagając się jej miłości. Przyrzekłem mu, że zastosuję się do jego życzenia i na tym zakończyliśmy naszą rozmowę.

Jedna z naszych drobnych tajemnic została zatem wyjaśniona. Wiemy teraz, dlaczego Stapleton spoglądał niechętnym okiem na konkurenta siostry, jakkolwiek ten konkurent przedstawiał taką świetną partię, jak sir Henryk.

A teraz przechodzę do innej nici, którą rozplątałem w tym zawikłanym motku, do tajemnicy łkań nocnych, do śladów łez na twarzy pani Barrymore, do nocnej wędrówki kamerdynera pod owo zachodnie okno.

Powinszuj mi, kochany Holmesie, i przyznaj, że nie zawiodłem Cię na stanowisku Twego pomocnika, że nie żałujesz zaufania, jakie mi okazałeś, wysyłając mnie tutaj. Wyjaśnienie tego wszystkiego było dziełem jednej nocy.

Napisałem „jednej nocy”, ale właściwie stało się to w ciągu dwóch nocy, gdyż pierwsza zesłała nam na niczym.

Siedzieliśmy z sir Henrykiem w jego gabinecie blisko do godziny trzeciej rano, ale nie dobiegł nas żaden odgłos, oprócz dźwięku zegara na schodach. Niezabawne było to czuwanie i skończyło się tym, że obaj zasnęliśmy głęboko w fotelach.

Na szczęście, nie zniechęciliśmy się i postanowiliśmy spróbować jeszcze raz. Następnego nocy przyćmiiliśmy światło lampy i paląc papierosy, siedzieliśmy cicho, bez słowa i ruchu. Trudno uwierzyć, jak wolno wlokły się godziny, a jednak podtrzymywał nas ten sam cierpliwy zapach, który podtrzymuje myśliwego, gdy śledzi bacznie zasadzkę, w którą ma wpaść zwierzyna.

Wybiła pierwsza, potem druga, zniechęceni zamierzaliśmy już zaniechać dalszego czekania, gdy naraz zerwaliśmy się obaj na równe nogi. Dobiegł nas szelest kroków na korytarzu.

Słyszeliśmy, jak zakradały się chyłkiem, aż ucichły w oddali. Wówczas baronet otworzył ostrożnie drzwi i puścił się w po-goń. Barrymore minął już galerię i korytarz pogrążony był w cieniu. Szliśmy na palcach aż do drugiego skrzydła i dostrzegliśmy jeszcze wysoką postać brodatego mężczyzny, pochylonego, wchodzącego w te same drzwi, co tamtej nocy. W blasku świecy framuga zarysowała się wyraźnie, a płomień przeciął żółtym promieniem mrok korytarza.

Posuwaliśmy się po cichutku ku tym drzwiom, próbując każdą deskę posadzki, zanim oparliśmy się na niej całym ciężarem ciała. Pomimo że zdjęliśmy buty, stare deski uginały się i skrzypiały pod naszymi nogami tak, że niekiedy niemożliwym wydawało się, żeby nas Barrymore nie dosłyszał. Na szczęście jednak jest on przygłuchy i był zupełnie pochłonięty przez swoje zajęcie.

Nareszcie doszliśmy do drzwi i zajrzeliśmy do pokoju. Barrymore stał skulony przy oknie, trzymając świecę w rękę; bladą twarz, na której malowało się wytężone oczekiwanie, przycisnął do szyby, zupełnie jak wtedy, gdy go tam widział po raz pierwszy.

Nie umówiliśmy się, jak w tym wypadku postąpimy, ale baronet jest człowiekiem, który uważa, iż droga prosta najprędzej prowadzi do celu. Wszedł więc do pokoju, co usłyszawszy, Barrymore odskoczył od okna, oddychając ciężko: stał przed nami drżący, blady śmiertelnie. Ciemne oczy jego, których blask powiększała bledość twarzy, z trwogą i zdumieniem spoglądały to na mnie, to na sir Henryka.

– Co ty tu robisz? – spytał baronet.

– Nic, panie – był taki wystraszony, że zaledwie mógł mówić, a świeca chwiała się w jego drżącej ręce i rzucała na ścianę skaczące cienie. – To okna, panie. Chodzę w nocy i patrzę, czy są zamknięte.

– Na drugim piętrze?

– Tak, panie, oglądam wszystkie okna.



Zasadzka
Watsona na
Barrymore'a.

– Słuchaj, Barrymore – rzekł sir Henryk surowo – postanowiliśmy wydobyć z ciebie prawdę, więc im prędzej ją wyznasz, tym lepiej dla ciebie. Gadaj zaraz, tylko bez kłamstw. Coś ty tu robił przy oknie?

Nieborak spojrział na nas z rozpaczą i załamał ręce, jak człowiek ostatecznie zgnębiony i nieszczęśliwy.

– Nie robiłem nic złego, panie. Trzymałem świecę przy oknie.

– A dlaczego trzymałeś świecę przy oknie?

– Niech mnie pan nie pyta... błagam, niech mnie pan nie pyta! Daję panu słowo, że to nie moja tajemnica i że nie mogę jej zdradzić. Gdyby dotyczyła mnie tylko, nie ukrywałbym jej przed panem.

Błysnęła mi nagle myśl i wziąłem świecę z parapetu, gdzie ją postawił Barrymore.

– Ręczę, że to sygnał – rzekłem. – Zobaczymy, czy będzie odpowiedź.

Trzymałem przez chwilę świecę w taki sam sposób jak on i wpatrywałem się uważnie w ciemną noc. Z trudnością mogłem rozróżnić ciemny pal drzew i jaśniejszy obszar moczarów, księżyc bowiem skrył się za chmurą.

Naraz wydałem okrzyk radości: mały, żółty punkcik świetlany przebił ciemności i jaśniał w dali.

– Oto jest! – zawołałem.

– Nie, nie, panie, to nic... to nic nie znaczy! – przerwał Barrymore – zapewniam pana.

– Przesuwaj pan świecę przed szybą – wołał baronet. – Patrz! I tamto światło się porusza! Czy i teraz jeszcze, łotrze, będziesz przeczył, że to sygnały? Mów zaraz, kto jest tam twoim współnikiem i jaki knujecie spisek?

Na twarzy kamerdynera odbił się teraz wyraźnie gniew.

– To moja rzecz, nie pańska. Nie powiem.

– W takim razie wynoś się z mego domu... natychmiast!

– Dobrze, panie. Jeśli muszę, to trudno.

– I odchodzisz wypędzony! Do pioruna, jak ci nie wstyd! Rodzina twoja żyła przeszło sto lat pod jednym dachem z moją, a ja zastaję ciebie knującego przeciw mnie spiski!

– Nie, nie, panie; nie, nie przeciw panu! – odezwał się głos kobiety.

Pani Barrymore, bledsza i bardziej jeszcze wylękła od męża, stała we drzwiach. Jej przysadzista postać, otulona w szal, w krótkiej spódnicy, byłaby komiczna, gdyby nie tragiczny wyraz twarzy.

– Mamy się stąd wynieść, Elizo. Skończyło się. Idź, pakuj rzeczy – rzekł kamerdyner.

– Och, Janie, Janie, a więc cię zgubiłam! To moja wina, sir Henryku... tylko moja. On robił jedynie to, o co go prosiłam.

– Mówcie zatem! Co to znaczy?

– Mój nieszczęśliwy brat umiera z głodu wśród moczarów. Nie możemy przecież pozwolić mu zginąć. Światło stąd jest sygnałem, że przygotowaliśmy dla niego pożywienie, a światło stamtąd wskazuje nam miejsce, gdzie mamy mu żywność zanieść.

– Brat wasz jest zatem...

– Zbiegłym więźniem, panie... zbrodniarzem Seldenem.

– Teraz pan wie prawdę – odezwał się Barrymore. – Mówiłem panu, że to moja tajemnica i że nie mogę jej panu wyjawić. Przekonał się pan, że nie kłamałem, i że, jeżeli był spisek, to bynajmniej nie przeciw panu.

Tak więc zostały wyjaśnione tajemnicze wędrówki nocne i cel światła w oknie.

Zdumieni do najwyższego stopnia, spoglądaliśmy wraz z sir Henrykiem na panią Barrymore. Czy podobna, żeby w żyłach tej statecznej, uczciwej kobiety płynęła ta sama krew co w żyłach najszynniejszego w kraju zbrodniarza?

– Tak, panie – zaczęła po chwili – jestem z domu Selden, a to mój młodszy brat. Pieściliśmy go i psuliśmy w dzieciństwie i pozwalaliśmy mu na wszystko, tak iż nabrał przekonania, że świat został stworzony dla jego przyjemności i że może robić, co mu się podoba.

Potem, gdy dorósł, natrafił na złe towarzystwo, diabeł go opętał; matkę wpędził do grobu, a nazwisko nasze unurzał w błocie. Dopuszczał się jednej zbrodni po drugiej, stopniowo upadał coraz niżej i tylko łaska boska ocaliła go od ręki kata. Ale dla mnie, panie, pozostał zawsze malcem o jasnych kędziorach, którego, jako starsza siostra, piastowałam. Dlatego właśnie uciekł z więzienia, panie. Wiedział, że jestem tutaj i że mu nie odmówimy pomocy. Gdy przywłókł się w nocy do nas, wycieńczony znużeniem i głodem, ścigany przez dozorców więziennych, co było robić? Ukryliśmy go u siebie, karmiliśmy i pielęgnowaliśmy. Potem pan powrócił i bratu zdawało się, że wśród moczarów będzie bezpieczniej niż gdziekolwiek indziej, dopóki cała ta wrzawa wywołana jego ucieczką nie ucichnie; tam też się ukrywa i co drugą noc upewnialiśmy się, czy jest jeszcze i stawialiśmy świecę w oknie; jeżeli odpowiadał takim samym sygnałem, mąż zaniósł mu trochę chleba i mięsa. Z dnia na dzień spodziewaliśmy się, że pójdzie dalej w świat, ale dopóki tu był, nie mogliśmy go opuścić. Oto cała prawda, jakem uczciwa chrześcijanka, i przyzna pan, że nie mój mąż tu zawinił, lecz ja, bo to, co uczynił, zrobił przez wzgląd na mnie.

Mówiła szczerze i poważnie.

– Czy to prawda, Barrymore? – spytał sir Henryk.



Wyjawienie
tajemnicy
Barrymore'ów.



Historia zbrod-
niarza Seldena.

– Tak jest, panie; szczerą prawdą.

– Trudno, nie mogę ci mieć za złe, żeś przyszedł w pomoc żonie. Zapomnij moje poprzednie słowa. Wracajcie oboje do siebie, a jutro rano pomówimy jeszcze o tym.

Po ich wyjściu wyjrzelśmy znów przez okno. Sir Henryk otworzył je na oścież, a zimny wiatr nocny owionął nas, przejmując dreszczem. W dali, wśród mroku, gorzało jeszcze żółte światelko.

– Zadziwia mnie jego odwaga – rzekł sir Henryk.

– Może umieścił światło tak, że tylko stąd jest widoczne.

– Może być! Jak się panu zdaje, czy to daleko?

– Myślę, że to będzie pod Cleft Tor.

– Nie więcej niż mila lub dwie?

– Nawet nie tyle.

– Zapewne; nie może być bardzo daleko, skoro Barrymore nosił tam jedzenie...

A ten łotr czeka tam, obok świecy. Do pioruna, Watsonie, pójdę i schwytam tego zbrodniarza!



Odwaga i porwyczość sir Henryka (postanawia sam złapać przestępcę).

To samo pragnienie obudziło się i we mnie. Nie byłoby mi z pewnością przyszło do głowy, gdyby Barrymore'owie zwierzyli nam się z własnego popędu; ale wszak przemocą zmusiliśmy ich do wyznania tajemnicy. Człowiek ów zaś był niebezpiecznym dla całej okolicy, skończonym łajdakiem, nie zasługującym ani na współczucie, ani na usprawiedliwienie. Korzystając ze sposobności umieszczenia go z powrotem tam, gdzie nie mógł być szkodliwym, spełniliśmy tylko obowiązek. Wobec jego brutalnej i gwałtownej natury inni mogli przyplącić życiem naszą obojętność. Którejś nocy na przykład mógłby napaść na naszych sąsiadów, Stapletonów, a ta myśl niewątpliwie sprawiła, że sir Henryk z taką odwagą podejmował się niezbyt bezpiecznej wyprawy.



Wyprawa Watsona i sir Henryka po Seldena.

– Pójdę z panem – rzekłem.

– Dobrze, niech pan weźmie zatem rewolwer i ubiera buty. Im wcześniej wyruszymy, tym lepiej, bo ten łotr może zgasić światło i ukryć się.

W pięć minut później byliśmy już w drodze.

Dążyliśmy do ciemnych szpalerów, wśród smętnego świstu wichru jesiennego i szelestu spadających liści. Powietrze nocne przesiąknięte było wilgocią i wonią zgnilizny. Od czasu do czasu księżyc wyglądał zza chmur pędzących po niebie, a gdy doszliśmy do moczarów, zaczął padać drobny deszczyk. Światło płonęło jeszcze.

– Czy ma pan broń? – spytałem.

– Mam nóż myśliwski.

– Musimy zaskoczyć go zniecka, bo mówią, że nie cofa się przed niczym. Trzeba go schwytać i obezwładnić, zanim zdąży stawić opór.

– Słuchaj no, Watsonie, co by też Holmes powiedział, gdyby nas tak widział? – spytał baronet. – W owej nocnej godzinie, kiedy panuje moc złego ducha?

Jakby w odpowiedzi na te słowa, wśród wielkiego pustkowiecia moczarów powstał ów krzyk osobliwy, który już raz dobiegł moich uszu na skraju rozległego Trzęsawiska Grimpeńskiego. Niesiony wiatrem, przerywał ciszę nocną i szedł ku nam: zrazu przeciągły pomruk, potem przeraźliwe warczenie, które skończyło się w żalosnym skowycie. I powtórzył się kilkakrotnie przerażający, dziki, groźny, wstrząsając całą atmosferą.



Skowyt psa na trzęsawiskach.

Baronet chwycił mnie za rękaw – pomimo ciemności widziałem, że był bledy jak chusta.

– Na Boga żywego, co to jest, Watsonie?

– Nie wiem. To jakiś odgłos, częsty podobno wśród moczarów. Już go raz słyszałem.

Krzyk umilkł i dokoła nas zaległa grobowa cisza. Staliśmy, wyciągając słuch, ale żaden dźwięk nie dobiegł nas już z pustkowiecia.

– Watsonie – odezwał się baronet – to było wycie psa.

Krew ścięła mi się lodem w żyłach, bo głos jego załamał się, jakby pod wpływem nagłego przerażenia.

– Jak oni nazywają ten odgłos? – spytał.

– Kto?

– Lud okoliczny.

– Ach, to zabobonni wieśniacy. Co pana to obchodzi, jakim mianem go określają?

– Proszę powiedzieć... co mówią?

Zawahałem się. Nie mogłem wszakże pominąć tego pytania.

– Mówią, że to wycie psa Baskerville'ów.

Sir Henryk westchnął głęboko i milczał przez długą chwilę.

– Tak, to był pies – odezwał się wreszcie – ale zdawało się, że odgłos przychodzi z odległości kilku mil, z tamtej strony.

– Trudno określić kierunek, z jakiego dobiegał.

– Wzmagął się i słabnął wraz z podmuchem wiatru. Czy nie szedł stamtąd, od strony Wielkiego Trzęsawiska Grimpeńskiego?

– Tak, w tamtej stronie jest trzęsawisko.

– Z pewnością dobiegał stamtąd. Proszę powiedzieć szczerze, czy pan sam nie myślał, że to wycie psa? Nie jestem dzieckiem. Może pan powiedzieć prawdę.

– Stapleton był ze mną, gdym usłyszał ten odgłos po raz pierwszy. Mówił, że to może być wabienie rzadkiego ptaka.

– Nie, nie, to był pies. Boże wielki! Czyżby istotnie było coś z prawdy w tych wszystkich opowieściach? Czyżby istotnie groziło mi jakieś tajemnicze niebezpieczeństwo? Czy pan w to wierzy, co?

– Nie, nie!

– A jednak inna jest rzecz śmiać się z tego w Londynie, a inna zupełnie stać tutaj w nocy, wśród moczarów i słyszeć podobny krzyk. A mój stryj! Wszak obok jego zwłok dostrzeżono ślady psich łap. Wszystko to ma związek ze sobą. Nie sądzę, żebym był tchórzem, ale na ten odgłos krew ścięła mi się lodem w żyłach. Proszę dotknąć mojej dłoni!

Była zimna jak marmur.

– Jutro będzie się pan z tego śmiał.

– Wątpię; zdaje mi się, że wiecznie będę słyszeć to wycie. Jak pan radzi, co teraz począć?

– Może wrócimy do zamku?

– Nie, do pioruna; przyszliśmy tutaj, żeby schwycić zbrodniarza i złapiemy go. Puściliśmy się w pogoń za więźniem, a jakiś szatański pies za nami. Naprzód! Postawimy na swoim, choćby szatan wysłał na moczary wszystkie piekielne duchy!

Szliśmy powoli wśród ciemności, dokoła nas wznosiły się czarne, urwiste wzgórza, przed nami jaśniała żółta plama płonącego w jednym punkcie światła. Nie ma nic złudniejszego nad odległość światła wśród ciemnej nocy; niekiedy zdawało się, że blask świeci gdzieś daleko na widnokręgu, to znów, że jaśniej na kilka metrów przed nami.

W końcu jednak dostrzegliśmy, gdzie świeci, a więc byliśmy już bardzo blisko. W szczelinie skały osłaniającej ją z obu stron od wiatru i sprawiającej, że była widoczna tylko w zamku Baskerville – stała świeca.

Zrąb skały zasłaniał nas; skuleni, wysunęliśmy głowy i patrzyliśmy na ten sygnał świetlny.

Szczególne wrażenie robiła ta świeczka, paląca się wśród moczarów, bez znaku życia w pobliżu – nic prócz tego żółtego płomyka i blasku, jaki rzucił na skały po bokach.

– Co teraz pocznemy? – szepnął sir Henryk.

– Będziemy czekali. On musi być gdzieś w pobliżu światła. Może go spostrzeżemy.



Opis Seldena.

Zaledwie wymówiłem te słowa, ujrzeliśmy go obaj. Ponad szczeliną w skałach, gdzie płonęła świeca, wysunęła się twarz straszna, zwierzęca, zorana najdzikszymi namiętnościami, żółta, ohydna.

Obryzgana błotem, okolona rozwichrzonym zarostem i długimi poczochranymi włosami, mogła uchodzić za oblicze jednego z tych przedhistorycznych ludzi, którzy zamieszkiwali jaskinie na stokach pagórków.

Światło stojące poniżej odbijało się w małych, chytrych oczach, które rozglądały się gorączkowo dokoła, usiłując przeniknąć zalegające ciemności, jak ślepie przebiegłego, dzikiego zwierza, gdy je dobiegnie odgłos kroku myśliwych.

Widocznie coś obudziło podejrzenie zbrodniarza. Może Barrymore dawał mu jeszcze jakiś umówiony, a nam nieznaną sygnał, może miał inny powód przypuszczać, iż grozi mu niebezpieczeństwo, dość, że dostrzegłem wyraz trwogi na jego wstrętnej twarzy.

Lada chwila mógł cofnąć się z koła świetlnego i zniknąć w ciemnościach. Skoczyłem więc naprzód, a sir Henryk za mną. Zbrodniarz rzucił nam straszne przekleństwo i cisnął w nas kamieniem, który roztrzaskał się o zasłaniającą nas skałę.

Przez jedno mgnienie widziałem wyraźnie przysadzistą, barczystą, silną postać zbrodniarza, gdy zerwał się na równe nogi i zabierał do ucieczki.

Na szczęście, w tej chwili księżyc wysunął się zza chmur. Wbiegliśmy na grzbiet pagórka, a nasz przestępca już pędził z szaloną szybkością na dół z urwistego stoku, przeskakując przez kamienie ze zwinnością kozicy.



Ucieczka Seldena.

Mógłbym go położyć jednym celnym wystrzałem z rewolweru, ale zabrałem broń ze sobą tylko dla obrony własnej w razie napadu, nie zaś po to, żeby zabijać bezbronno człowieka, który uciekał.

Obaj z sir Henrykiem jesteśmy wprawniymi i doskonale wytrenowanymi szybkobiegaczami, ale niebawem przyszliśmy do przekonania, że nie dogonimy zbiega. Widzieliśmy go długo w świetle księżyca, aż w końcu wydał nam się już tylko małym punktem, sunącym szybko między głazami na stoku odległego pagórka. Biegliśmy, dopóki nam tchu starczyło, lecz rozdzielała nas coraz większa przestrzeń. W końcu stanęliśmy i usiedliśmy, zadyszani, na odłamkach skały, skąd patrzyliśmy za znikającym w dali zbiegiem.

W tej to chwili zdarzyła się rzecz niesłychana i niespodziewana. Powstałszy ze skały i zabieraliśmy się do odwrotu, zaniechawszy bezskutecznej pogoni. Z prawej strony księżyc świecił nisko, a zębaty szczyt skały zasłaniał dolną część srebrzystej tarczy. I tam, na tym szczycie, ujrzałem nagle postać mężczyzny, odcinającą się od jasnego tła jak hebanowy posąg.



Tajemniczy mężczyzna na skalnym szczycie.

Nie sądz, Holmesie, że to było złudzenie. Zapewniam Cię, że nigdy w życiu nie widziałem nic tak wyraźnie. O ile mogłem zauważyć, była to postać mężczy-

zny wysokiego, szczupłego. Stał ze skrzyżowanymi rękoma i głową pochyloną, jak gdyby w zadumie nad tym bezbrzeżnym pustkowiem, które rozścielało się przed nim.

Mógł to być duch bagna... W każdym razie nie był to zbiegły więzień; tajemnicza postać ukazała się daleko od miejsca, w którym Selden znikł nam z oczu i była od więźnia znacznie wyższa.

Ze stłumionym okrzykiem wskazałem ją baronetowi, lecz przez tę chwilę, kiedy odwróciłem się, by go schwytać za ramię, ów mężczyzna zniknął.

Grzbiet skały zakrywał, jak poprzednio, niższą część tarczy księżycowej, ale na szczycie nie było już śladu milczącej, nieruchomej postaci.

Chciałem podążyć w tamtą stronę i przeszukać urwisko, ale droga była daleka. Nadto baronet nie miał ochoty szukać nowych przygód, był jeszcze zanadto pod wrażeniem straszliwego krzyku, który mu przypomniiał ponure dzieje rodziny. Nie widział owej postaci na szczycie skały, nie doznał zatem tego wstrząśnienia, jakiemu ja uległem na widok szczególniego zjawiska i imponującej postawy mężczyzny.

– To niewątpliwie żołnierz na warcie. Pełno ich na moczarach od czasu, gdy Selden umknął z więzienia – mówił.

Być może wyjaśnienie baroneta jest trafne; niemniej jednak chciałbym mieć jakieś dowody.

Dzisiaj zamierzamy donieść zarządowi więzienia Princetown, gdzie należy szukać zbiega; wielka szkoda, że nie udało nam się schwytać go i odstawić do więzienia jako naszego jeńca.

Takie są przygody ostatniej nocy i musisz przyznać, mój drogi, że przesyłam Ci raport nie lada. Zawiera on wprawdzie sporo szczegółów bez znaczenia, wszelako sadzę, iż lepiej będzie, gdy Ci zawsze opiszę wszystko, co zaszło, a Ty sam wybierz te fakty, które Ci dopomogą wysnuć wnioski.

Nie ulega wątpliwości, że robimy postępy. Co się tyczy Barrymore'ów, wykryliśmy pobudki ich postępowania, co przyczyniło się niemało do wyjaśnienia sytuacji. Ale moczary ze swymi tajemnicami i osobliwymi mieszkańcami pozostają dotąd niedostępne i niezbadane.

Może w następnym liście będę mógł przesłać Ci jakieś wyjaśniające szczegóły. Najlepiej byłoby, gdybyś mógł sam przyjechać do nas.

X. WYJĄTEK Z DZIENNIKA DOKTORA WATSONA

Dotąd mogłem się posiłkować raportami, które wysyłałem do Sherlocka Holmesa. Teraz wszelako dobiegłem w opowieści swojej do punktu, w którym zmuszony jestem zaniechać tej metody i zaufać znów własnym wspomnieniom, przy pomocy dziennika, jaki wówczas prowadziłem. Kilka wyjątków z tego dziennika przypomni mi szczegóły owych scen, wyrytych w mej pamięci niezatartymi zglóskami. Powracam więc do ranka nazajutrz po naszym nieudanym pościgu więźnia i innych szczególnych przygodach wśród moczarów.

16 października.

Dzień posępny, mglisty. Drobny deszczyk pada nieustannie. Cały zamek jest jakby spowity w chmury, które unoszą się od czasu do czasu, a spoza nich widać falistą równinę moczarów i cienkie, srebrzyste pasemka przygodnych, z deszczu powstałych strumyków, które spływają ze stoków wzgórz i odległe głązy, lśniące, gdy światło padnie na ich wilgotną powierzchnię.

Smutno i ponuro – w zamku i na świecie. Baronet teraz dopiero odczuwa całą moc wzruszeń doznanych w nocy. Mnie samemu ciężar jakiś przytłacza serce i ogarnia mnie świadomość grożącego nieustannie niebezpieczeństwa, tym straszniejszego, że nie jestem w stanie go określić.

A czyż nie mam słusznego powodu do obaw, zważywszy długi szereg wypadków, wskazujących, że ściga nas jakaś moc szatańska? A śmierć ostatniego pana zamku, taka zgodna z treścią legendy rodzinnej, opowieści chłopów o ukazywaniu się jakiegoś piekielnego zwierzęcia na moczarach? Wszak sam słyszałem na własne uszy odgłos podobny do odległego szczekania psa.

Niepodobna przecież, żeby istotnie działała tu jakaś siła nadprzyrodzona, wybiegająca poza zwykłe prawa natury. Wszak nie można przypuścić, żeby istniał jakiś pies legendowy, który pozostawiłby widoczne ślady swoich łap i przepętniał powietrze swoim wyciem. Stapleton może mieć takie zabobony, może w to wierzyć i Mortimer. Ale co do mnie, pochlebiam sobie, że posiadam jedną zaletę – zdrowy rozsądek – i nic na świecie nie zmusi mnie do uwierzenia w taką bajkę. Gdybym uwierzył, zniżyłbym się do poziomu tych biednych chłopów, którzy nie zadowolają się



Czas akcji.



Watson:

Poczucie zagrożenia, niepokój.



Watson twierdzi, że kieruje się zawsze zdrowym rozsądkiem.

samym istnieniem owego szatańskiego psa, ale jeszcze opowiadają, że zieje ze ślepiów i z pyska ogniem piekielnym.

Holmes nie dawałby wiary takim bredniom, ja zaś jestem jego pomocnikiem. Niemniej jednak fakt pozostaje faktem, a ja dwa razy słyszałem ów krzyk na moczarach.

Przypuśćmy, że włączy się tam istotnie jakiś olbrzymi pies; wyjaśniłoby to wszystko. Ale gdzież ukrywałoby się takie zwierzę, skąd brałoby pożywienie, skąd się wzięło i dlaczego nikt go nie widuje we dnie? Przyznać trzeba, że naturalne wyjaśnienie tych faktów przedstawia niemal takie same trudności, jak przypuszczanie jakiegoś wpływu nadprzyrodzonego.

A jednak, pominiawszy psa, pozostaje nam wciąż fakt działania ludzkiego w Londynie – ów człowiek w dorożce i list ostrzegający sir Henryka przed moczarami. Te fakty nie przekraczają stanowczo dziedziny rzeczywistości, ale mogły być zarówno dziełem troskliwego przyjaciela, jak i wroga.

Gdzież jest teraz ten wróg czy przyjaciel? Pozostał w Londynie czy też przybył tu za nami? Mógł to być ów mężczyzna, którego widziałem na szczycie skały?

Prawda, że widziałem go przez chwilę, że zdążyłem rzucić na niego tylko jedno spojrzenie, niemniej jednak przysiągłbym, że go tu jeszcze nie spotkałem, a znam już teraz wszystkich sąsiadów. Postać owa była o wiele wyższa od Stapletona i daleko szczuplejsza od Franklanda. Mógłby to być Barrymore, ale ten został w domu i pewien jestem, że nie poszedł za nami.

Jakiś nieznamy zatem śledzi nas tutaj, podobnie jak nas śledził w Londynie; nie pozbyliśmy się go widocznie wcale. Gdybym mógł go schwytać, skończyłyby się nareszcie wszystkie nasze utrapienia. Wyteżę całą energię, dołożę wszelkich starań i muszę dopiąć tego celu.

Zrazu chciałem zwierzyć się sir Henrykowi z powziętych zamiarów. Po namyśle jednak postanowiłem działać na własną rękę i mówić jak najmniej o swoich planach. Baronet jest milczący i zamyślony. Ten odgłos na moczarach rozdrażnił go w wysokim stopniu. Nie chcę więc wzmacniać jego niepokoju, ale nie zaniedbam niczego, żeby cel osiągnąć.

Dziś rano, po śniadaniu, mieliśmy małe zajście.



Oburzenie kamerdynera na wieść o ściganiu Seldena.

Barrymore prosił sir Henryka o posłuchanie i rozmawiali przez czas jakiś przy zamkniętych drzwiach w jego gabinecie. Siedząc w pokoju bilardowym, słyszałem kilkakrotnie dźwięk podniesionych głosów i domyślałem się, o co chodzi. Po chwili baronet otworzył drzwi i wezwał mnie.

– Barrymore ma do nas urazę – rzekł. – Zdaje mu się, że postąpiliśmy nie-
lojalnie, ścigając jego szwagra, skoro on zaufał nam i z własnej woli powierzył
tajemnicę jego pobytu.

Kamerdyner stał przed nami bardzo blady, lecz bardzo spokojny; widocznie
już się pohamował.

– Uniosłem się może, panie – rzekł – a w takim razie proszę usilnie, niechaj
mi pan wybaczy. Niemniej byłem bardzo zdumiony, usłyszawszy, że panowie
wracają nad ranem i dowiedziawszy się, że panowie ścigali Seldena. Nieborak
ma już dosyć biedy, by się ukryć przed tymi, którzy go szukają, nie powinienem
zatem powiększać liczby jego naganiaczy.

– Gdybyś był zwierzył się nam dobrowolnie, to rzecz inna – odparł baronet.
– Ale powiedziałaś nam, a raczej powiedziała twoja żona, pod naciskiem, kiedy
nie było dla was już innego punktu wyjścia.

– Nie przypuszczałem, że pan z tego skorzysta... doprawdy, nie przypusz-
czałem.

– Ten człowiek jest niebezpieczny dla całej okolicy. Na moczarach stoją domy
odosobnione, a Selden nie cofnie się przed niczym. Dość spojrzeć na niego, by
się o tym przekonać. Weź na przykład dom pana Stapletona; kto go obroni? On
sam jeden tylko. Nikt nie będzie bezpieczny, dopóki Selden nie znajdzie się znów
pod kluczem.

– On nie wtargnie do żadnego domu, panie. Zaręczam słowem honoru. Ni-
gdy też już nie napadnie na nikogo w okolicy. Zapewniam pana, że za kilka dni
przedsięwzięte będą odpowiednie kroki, żeby go wysłać do Ameryki Południowej.
Na Boga, panie, błagam, niech pan nie zawiadamia policji, że Selden jest jeszcze
na moczarach. Zaniechali już pościgu w tamtych stronach i może się tam ukry-
wać, dopóki okręt nie odpłynie. Jeśli pan go wyda, będziemy mieli oboje z żoną
straszne przykrości. Błagam pana, niech pan nie daje znać policji.

– A cóż pan na to? – zwrócił się baronet do mnie.

Wzruszyłem ramionami.

– Gdyby się wyniósł z kraju, ulżyłby ciężaru płacącym podatki.

– Ale jak przeszkodzić temu, żeby przed wyjazdem nie dopuścił się jeszcze
jakiejś zbrodni?

– Nie popełni takiego szaleństwa, panie. Zaopatrzyliśmy go we wszystko.
Gdyby popełnił teraz jakieś przestępstwo, zdradziłby swą kryjówkę.

– I to racja – rzekł sir Henryk. – Niechże tak będzie, Barrymore...

– Niechaj panu Bóg to nagrodzi; dziękuję z całego serca! Moja żona nie prze-
żyłaby, gdyby go powtórnie schwytali.

– Ostatecznie opiekujemy się zbrodniarzem i dopomagamy mu, co Watsonie? Ale skoro jest tak, jak Barrymore mówi, nie mam odwagi wydać tego człowieka... Zatem, rzecz skończona. Barrymore, bądź spokojny, możesz odejść.

Kamerdyner podziękował kilkoma urywanymi słowami i zmierzył ku drzwiom. Naraz zawahał się i zawrócił.

– Pan był dla nas taki dobry, że chciałbym z duszy się odwdziżyć. Proszę pana, ja coś wiem i powinienem być może już to powiedzieć, ale śledztwo było dawno ukończone, kiedy to wykryłem. Nie pisałem słówka nikomu. Dotyczy to śmierci biednego sir Karola.

Zerwaliśmy się obaj z baronetem na równe nogi.

– Wiesz, co spowodowało jego śmierć?

– Nie, panie, tego nie wiem.

– A zatem cóż?



Wiadomość
o schadzkę
Karola
Baskerville'a
z kobietą.

– Wiem, dlaczego był przy furtce o takiej późnej godzinie. Miał schadzkę z kobietą.

– Schadzkę z kobietą! On?

– Tak, panie.

– Nazwisko tej kobiety?

– Nie znam go, panie, znam tylko pierwsze litery, L. L.

– A ty skąd wiesz o tym?



Informacja
o odnalezieniu
listu od L.L.

– Stryj pański otrzymał z rana list. Odbierał zazwyczaj dużo listów, bo był człowiekiem dobroczynnym, znanym ze swego miłosierdzia, tak że kto był w potrzebie, udawał się skwapliwie do niego. Ale zdarzyło się, że tego dnia przyszedł tylko ten jeden list, tym bardziej zatem zwróciłem na niego uwagę. Miał stempel pocztowy

Coombe Tracey i zaadresowany był kobiecą ręką.

– No i cóż?

– Zapomniałem o tym i gdyby nie żona, nie byłbym sobie tego szczegółu przypomniał. Przed kilkoma tygodniami, porządkując gabinet sir Karola, nieknięty od jego śmierci, znalazła w głębi kominka ślady spalonego listu, widocznie podartego przed wrzuceniem w ogień; ocalał wszakże jeden skrawek papieru, na którym można było odczytać litery, choć stały się zupełnie szare, a papier szerniał. Zdawało nam się, że był to dopisek do listu; zawierał tylko te wyrazy: „Zaklinam pana na honor dżentelmena, niech pan spali list niniejszy i przyjdzie pod furtkę o godzinie dziesiątej”. Podpisany był „L. L.”

– Czy masz jeszcze ten niedopalony skrawek papieru?

– Nie, panie, zaledwie dotknęliśmy go, rozsypał się w proch.

– Czy sir Karol odbierał już przedtem listy zaadresowane tym samym pismem?

– Nie zwracałem szczególnej uwagi na listy sir Karola; nie byłbym i tego ostatniego zauważył, gdyby nie zdarzyło się, jak już mówiłem, że tego dnia żadne inne listy nie nadeszły.

– I nie masz pojęcia, kim jest L. L.?

– Nie, panie. Ale sądzę, że gdyby udało nam się dojść nazwiska owej pani, dowiedzielibyśmy się niejednego szczegółu o śmierci sir Karola.

– Nie rozumiem, doprawdy, dlaczego dotychczas taileś tę ważną wiadomość?

– Bo widzi pan, zaraz potem spadło na nas to nieszczęście z Seldenem. A zresztą byliśmy bardzo przywiązani do sir Karola, doznaliśmy od niego tylu dobrodziejstw... Rozmazywanie tej historii nie wskrzesiłoby naszego biednego pana, a gdzie kobieta wchodzi w grę, należy zawsze postępować bardzo ostrożnie. Nawet najlepszy z nas...

– Mniemałeś, że to zaszkodzi jego dobrej sławie?

– Zdawało mi się, panie, że z tego nic dobrego wyjść nie może. Ale teraz byłbym niewdzięczny za tyle okazanej mi przez pana dobroci, gdybym panu nie powiedział wszystkiego, co wiem w tej smutnej sprawie.

– Dobrze; możesz odejść.

Gdy kamerdyner wyszedł, sir Henryk zwrócił się ku mnie.

– No, doktorze Watsonie, co myślisz o tym nowym szczególe?

– Zdaje mi się, że bardziej jeszcze zaciemnia całą sprawę.

– I ja tak sądzę. Ale, gdybyśmy mogli wysledzić ową L. L., wyjaśniłoby to wszystko. Niemniej to znów duża wygrana. Wiemy, że istnieje ktoś, kto zna okoliczności, jakie poprzedzały śmierć sir Karola; gdybyśmy tylko mogli odnaleźć tę kobietę! Jak pan myśli, co teraz począć?

– Przede wszystkim donieść to niezwłocznie Holmesowi. Szczegół ten będzie dlań kluczem do zagadki, nad której rozwiązaniem wciąż pracuje. Ręczyłbym prawie, że dowiedziawszy się o tym, przyjedzie do nas.

Poszedłem niezwłocznie do siebie i skreśliłem raport dla Holmesa o tej naszej rozmowie. Był widocznie bardzo zajęty ostatnimi czasy, bo otrzymywałem z ulicy Baker nieczęste i krótkie liściki, bez komentarzy do przesyłanych przeze mnie wiadomości, zaledwie ze wzmiankami o mojej misji. Niewątpliwie ta sprawa szantażu pochłania go całego. A jednak ten nowy szczegół powinien stanowczo zwrócić jego uwagę i pobudzić na nowo zainteresowanie naszą sprawą. Chciałbym, żeby tutaj był.

17 października.

Deszcz lał przez cały dzień jak z cebra, chłuszcząc liście bluszczu wijącego się na murach zamku i spływając po szybach. Mimo



Czas akcji.

woli przyszedł mi na myśl zbiegły więzień, bez dachu, na ponurych moczarach, gdzie dał lodowaty wichur. Nieborak! Jakiegokolwiek były jego przestępstwa, nie można zapominać, że cierpiał już tyle, iż w części odpokutował za nie. A potem to wspomnienie wywołało inne – twarz dostrzeżoną w dorożce, postać na szczycie skały. Czy i on – ów nieznany opiekun, ów tajemniczy przyjaciel – był również na dworze, wśród tego potopu?

Wieczorem otuliłem się w płaszcz nieprzemakalny i z głową pełną dręczących myśli chodziłem długo po moczarach. Deszcz smagał mnie po twarzy, wichur przeraźliwym świstem wpadał w uszy. Niechaj Bóg ma w swojej opiece tych, którzy wchodzić teraz na Trzęsawisko Grimpeńskie, bo nawet twardy grunt staje się już mokradłem.



Wyprawa
Watsona na
Czarny Szczyt.

Odnalazłem Czarny Szczyt, na którym dostrzegłem samotnego strażnika i z tego skalistego wierzchołka rozglądałem się po pustkowiu u swoich stóp. Strumienie wody żłobiły sobie koryto na rdzawej powierzchni równiny, a ciężkie, ołowiane chmury zawisły nisko nad krajobrazem, tworząc jakby szary wieniec dokoła pagórków fantastycznych.

Na lewo, w odległej kotlinie, na wpół ukryte we mgle, wznosiły się dwie smukłe wieże zamku Baskerville. Były to jedyne dostrzegalne dla mnie oznaki życia ludzkiego, z wyjątkiem owych jaskiń przedhistorycznych, gęsto rozsianych po stokach pagórków. Nigdzie ani śladu owego mężczyzny, którego widziałem nocy onegdajszej na tym samym miejscu.



Spotkanie
Watsona
z Mortimerem.

Powracając, spotkałem dra Mortimera, jadącego kamienistą ścieżką wśród moczarów, z odległego folwarku Foulmire.

Doktor okazywał nam dużo życzliwości; codziennie prawie przyjeżdżał do zamku i z zajęciem dopytywał się o szczegóły naszego trybu życia. Nalegał, bym wsiadł do powoziku i odwiedził mnie do domu. Na wstępie oznajmił mi, że jest bardzo stroskany zniknięciem swego ulubionego wyżła. Pies polecał na moczary i nie wrócił. Pocięczałem doktora, jak mogłem, ale przypomniał mi się krzyk na Trzęsawisku Grimpeńskim; zdaje mi się, że doktor nie ujrzy więcej swego wyżła.

– Ale, ale, doktorze – rzekłem, trzęsąc się po kamienistej drodze – przypuszczam, że mało jest tutaj w promieniu kilku mil osób, których doktor nie znałby?

– Zdaje mi się, że znam chyba wszystkich.

– Czy może zatem doktor wymienić mi nazwisko i imię kobiety zaczynające się od L. L.?

Doktor zamyślił się przez chwilę.

– Nie – odparł. – Jest tu wprawdzie trochę Cyganów i chłopów, których nazwisk nie znam; ale wśród rodzin dzierżawców i mieszczan nie ma ani jednej kobiety, która miałaby takie inicjały. Chociaż – dodał po chwili – jest Laura Lyons... ma pan więc L. L... ale ona mieszka w Coombe Tracey.



Przedstawienie Laury Lyons, córki Franklanda.

– Któż to taki? – spytałem.

– Córka Franklanda.

– Co? Tego starego fiksata Franklanda?

– Właśnie. Poślubiła artystę, nazwiskiem Lyons, który przybył tu na moczary malować studia i szkice. Okazało się, że był to jakiś łotr; porzucił ją wkrótce. O ile słyszałem jednak, nie on sam był winien. Frankland nie chciał słyszeć o córce, bo wyszła za mąż bez jego pozwolenia, a może też miał i inne przyczyny. Młoda kobieta więc, opuszczona przez ojca i męża, nie chodzi po różach.

– Z czego ona żyje?

– Zdaje mi się, że Frankland płaci jej pensję, lecz nie może to być wiele, bo sam kiepsko stoi. Jakiegokolwiek były przewinienia Laury, niepodobna było pozwolić, żeby się zmarnowała. Gdy dowiedziano się, co z nią zaszło, kilka osób pomogło jej zdobyć uczciwy zarobek. Stapleton, sir Karol, nawet ja, przyłożyliśmy się do tego, w miarę środków. Chcieliśmy, by założyła biuro pisania na maszynie.

Doktor chciał znać powód moich pytań, ale starałem się zadowolić jego ciekawość, nie mówiąc mu zbyt wiele, bo nie widzę potrzeby wtajemniczania kogoś w swoje zamiary. Jutro rano udam się do Coombe Tracey i jeżeli zdołam rozmówić się z ową panią Laurą Lyons dwuznacznej sławy, będzie to duży krok ku wyjaśnieniu jednego z wypadków tego łańcucha tajemnic.

Zaczynam nabierać chytryści węża; gdy bowiem Mortimer zadał mi pytanie, na które odpowiedzieć nie chciałem, zapytałem go zniechęcająco, do jakiego typu należy czaszka Franklanda i przez resztę jazdy mówiliśmy już tylko o frenologii. Nie darmo spędziłem tyle lat z Sherlockiem Holmesem!

Jeden tylko jeszcze godny uwagi wypadek zaszedł w ciągu dzisiejszego ponurego, burzliwego dnia, mianowicie moja rozmowa z Barrymore'em, która dała mi ważny atut do ręki; skorzystam z niego w odpowiedniej chwili.

Mortimer został na obiedzie, po posiłku zasiadł z baronetem do gry w karty. Kamerdyner przyniósł mi kawę do biblioteki, z czego skorzystałem, by mu zadać kilka pytań.

– No i cóż – rzekłem – czy ten twój kochany szwagier już pojechał, czy też włączy się jeszcze po moczarach?

– Nie wiem, panie. Mam nadzieję w Bogu, że sobie pojechał; skończyłaby się nasza zgrzyzota! Zanosilem mu jedzenie ostatni raz przed trzema dniami, a on potem już nie dał znaku życia.

– A widziałeś go?

– Nie, panie; ale gdy przechodziłem tamtędy nazajutrz, jedzenia już nie było.

– Widocznie zatem przebywał tam jeszcze.



Wiadomość
o nieznanym
ukrywającym się
na moczarach.

– Tak mogłoby się zdawać, o ile tamten nie zabrał zapasów. Filiżanka, którą podniosłem do ust, zatrzymała się w pół drogi; spojrzałem ze zdumieniem na Barrymore'a.

– Jak to, wiesz, że jest tam jeszcze ktoś inny?

– Tak, panie; jest jeszcze inny mężczyzna na moczarach.

– Widziałeś go?

– Nie, panie.

– Skądże wiesz, że jest?

– Powiedział mi to Selden przed tygodniem, a może i dawniej. I on też się ukrywa, ale to nie więzień, o ile mogę zmiarkować. Panie doktorze Watson, mnie się to wszystko nie podoba, mówię szczerze... panie, to mi się nie podoba.

Mówił gwałtownie i z wielką powagą.

– Słuchaj, Barrymore! W tej całej sprawie obchodzi mnie tylko dobro twoje- go pana. Przyjechałem tutaj jedynie po to, by mu dopomóc. Powiedz mi zatem otwarcie, co ci się nie podoba?

Barrymore zawahał się przez chwilę, jak gdyby żałował poprzedniego wybuchu lub nie umiał na razie wyrazić swoich uczuć.

– Wszystko, co się tam dzieje, panie! – zawołał w końcu, wskazując ręką w stro- nę okna wychodzącego na moczary. – W tym jest coś złego, tu się knuje jakieś podłe łotrństwo, przysięgam! Byłbym uszczęśliwiony, panie, gdyby sir Henryk chciał powrócić do Londynu!

– Ale cóż cię tak niepokoi?

– Niech sobie pan przypomni śmierć sir Karola! Osobliwa to była śmierć, wnosząc z tego, co mówił sędzia śledczy. Niech pan także weźmie pod uwagę odgłosy na moczarach w nocy. Nie ma w całej okolicy człowieka, który poszed- łby tam po zachodzie słońca, nawet za dobrą zapłatą. A ten nieznanomy, który się ukrywa, śledząc i wyczekując! Na co on czeka? Co to znaczy? Wszystko to nie wróży niczego dobrego dla nikogo, kto nosi nazwisko Baskerville. Kamień spadnie mi z serca w dniu, w którym pozbędę się tego wszystkiego, a nowa służba sir Henryka obejmie zarząd w zamku.

– Powróćmy do tego nieznanomego – rzekłem. – Czy możesz mi coś o nim powiedzieć? Co mówił Selden? Czy wyszedł, gdzie się ukrywa, co robi?

– Widział go raz czy dwa razy, ale to skryty filut i z niczym się nie zdradza. Selden myślał najpierw, że to policjant, ale wnet się przekonał, że on ma jakieś osobiste cele. O ile mój szwagier mógł dostrzec, ma powierzchowność dżentelmena, ale co robi, nie zdołał wykryć.

– A gdzie się ukrywa?

– Na stoku pagórka, wśród starych siedzib... wie pan, między tymi pieczarami, gdzie to dawniej ludzie żyli.

– A skąd bierze jedzenie?

– Selden wykrył, że ów jegomość ma wyrostka, który go obsługuje i przynosi mu wszystko. Zdaje mi się, że robi zakupy w Coombe Tracey.

– Dobrze, Barrymore. Pomówimy o tym jeszcze innym razem.

Gdy kamerdyner wyszedł, zbliżyłem się do okna i przez zroszone deszczem szyby patrzyłem na pędzące po niebie chmury, na słaniające się pod podmuchem wichru wierzchołki drzew. Ciężka to była noc dla człowieka w wygodnym ciepłym pokoju, a cóż dopiero dla takiego, którego schronieniem była pieczara na moczarach!

Jakże potężną musiała być nienawiść zmuszająca człowieka do czatowania w takim miejscu, w podobną noc! Jak niesłychanej wagi przyczyna domagająca się takiej ofiary!

Tam zatem, w pieczarze na moczarach, znajduje się główne rozwiązanie zagadki, która mnie tak gnębi. Przysięgam, że zanim minie doba, zrobię wszystko, co tylko w mocy ludzkiej, by dotrzeć do jądra tajemnicy.

XI. CZŁOWIEK Z CZARNEGO SZCZYTU



Czas akcji – 18
października.

Wyciąg z mojego dziennika osobistego, stanowiący ostatni rozdział, doprowadził opowieść moją do osiemnastego października, czyli do daty, od której osobliwe wypadki zaczęły szybszym biegiem zmierzać do strasznego rozwiązania. Zajścia dni następnych wryły się niezatartymi głoskami w mej pamięci, tak że mogę je powtórzyć, nie uciekając się do pomocy spisanych wówczas notatek.

Powracam więc do dnia, w którym udało mi się stwierdzić dwa fakty niezmiernej wagi: że pani Laura Lyons z Coombe Tracey pisała do sir Karola Baskerville'a i wyznaczyła mu schadzkę w tym samym miejscu i o tej samej godzinie, kiedy go śmierć zaskoczyła; nadto, że owego czatującego na moczarach mężczyznę można znaleźć wśród pieczar na stoku pagórka. Mając już w ręku takie dwa fakty, czułem, że jeśli nie zdołam rzucić dalszego światła na tę sprawę, będzie to dowodem braku inteligencji lub odwagi z mojej strony.

Poprzedniego wieczora nie miałem sposobności powiedzieć baronetowi, jakich szczegółów dowiedziałem się o pani Lyons, dr Mortimer bowiem grał z nim w karty do późnej nocy. Przy śniadaniu wszakże zawiadomiłem go o swoim odkryciu i spytałem, czy zechce towarzyszyć mi do Coombe Tracey.

Zrazu zapalił się do tej wycieczki, a po namyśle uznaliśmy obaj, że jeśli pojedę sam, wyniki wyprawy mogą być lepsze. Im formalniejsze będą odwiedziny, tym mniej z pewnością się dowiemy. Zostawiłem więc sir Henryka w domu, nie bez wyrzutów sumienia, i wyruszyłem w drogę.



Przyjazd
Watsona do
Coombe Tracey.

Przybywszy do Coombe Tracey, kazałem Perkinsowi wyprząć konie i rozpocząłem pytać o ową panią, którą wybadać miałem. Nietrudno mi przyszło znaleźć ją – mieszkała na głównej ulicy, w bardzo przyzwoitym lokalu.

Służąca wpuściła mnie bez ceremonii, a gdy wszedłem do pokoju, pani siedząca przy maszynie Remingtona zerwała się z uprzejmym uśmiechem. Spozrzegłszy wszakże, iż przybyszem jest nieznajomy, zasępiła się, usiadła na miejscu i spytała mnie o powód odwiedzin.



Laura Lyons:
Wygląd
zewnątrzny.

Na pierwszy rzut oka pani Lyons robiła wrażenie niezwykle pięknej kobiety. Oczy i włosy jej miały jednakową barwę kasztanu o gorących blaskach, twarz, lekko piegowata, o żywej cerze brunetki, jaśniała rumieńcem takiego delikatnego odcienia, jak

zaróżowione płatki wewnętrzne róży herbacianej. Zachwyty więc, powtarzam, był pierwszym doznaniem na jej widok wrażeniem.

Lecz niebawem budził się krytycyzm. Była w jej obliczu jakaś subtelna wada – pospolity wyraz, a może surowe spojrzenie, skrzywienie ust, które psuło doskonałą piękność rysów. Ale te uwagi nasuwały się później. W danej chwili miałem świadomość, że stoję wobec bardzo pięknej kobiety i że ona mnie pyta o powód odwiedzin. Teraz dopiero rozumiałem, jak delikatnej podjąłem się misji.

– Mam przyjemność – zacząłem – znać pani ojca.

Ten wstęp był niezręczny i pani Lyons dała mi to niezwłocznie uczuć.

– Między ojcem moim i mną – rzekła – nie ma nic wspólnego.

Nic mu nie zawdzięczam, a jego przyjaciele nie są moimi. Ojciec tak dbał o mnie, że gdyby nie nieboszczyk sir Karol Baskerville oraz kilku innych zacnych ludzi, umarłabym z głodu.

– Przyszedłem do pani właśnie w sprawie nieboszczyka sir Karola Baskerville’a.

Pięgi na twarzy pani Lyons wystąpiły wyraźniej.

– Cóż ja mogę panu o nim powiedzieć? – spytała, a palce jej przebiegały nerwowo po klawiszach maszyny do pisania.

– Wszak pani go znała?

– Mówiłam już, że zawdzięczam dużo jego dobroci. Jeśli jestem w stanie się utrzymać, winnam to w znacznej części zainteresowaniu, jakie okazywał dla mego nieszczęśliwego położenia.

– Czy pani pisywała do niego?

Spojrzała na mnie z błyskiem gniewu w pięknych oczach.

– Jaki jest cel tych pytań? – rzekła ostrym tonem.

– Jaki cel? Uniknięcie skandalu publicznego. Lepiej, że ja zadam pani tutaj te pytania, niż żeby sprawa, która mnie tu sprowadza, stała się głośną.

Błąda bardzo, siedziała przez chwilę w milczeniu. W końcu spojrzała na mnie wyzywająco.

– Dobrze, odpowiem – rzekła. – Co pan chce wiedzieć?

– Czy pani pisywała do sir Karola?

– Oczywiście... raz czy dwa razy, żeby mu podziękować za jego delikatność i wspaniałomyślność.

– Czy pamięta pani datę tych listów?

– Nie.

– Czy pani się z nim widywała?

– Parę razy, gdy przyjeżdżał do Coombe Tracey. Sir Karol był człowiekiem skromnym i dla swych dobrych uczynków nie szukał rozgłosu.



Rozmowa
z Laurą Lyons.

– Ale jeśli pani widywała się z nim tak rzadko i tak rzadko do niego pisywała, jakże się to stało, że znał tak dalece położenie pani, iż mógł przyjść jej z pomocą?

Na ten mój zarzut odpowiedziała bardzo skwapliwie:

– Kilku znajomych panów wiedziało o moim nieszczęściu, porozumieli się zatem, by mi dopomóc. Jednym z nich był pan Stapleton, sąsiad i bliski przyjaciel sir Karola, człowiek niezmiernej dobroci. Od niego to sir Karol dowiedział się o moim położeniu.

Wiedziałem już, że w kilku wypadkach zmarły pan Baskerville używał pośrednictwa Stapletona do rozdawania zapomóg; objaśnienie pani Laury miało zatem cechę prawdy.

– Czy pani pisała kiedykolwiek do sir Karola, wyznaczając mu schadzkę?

Twarz pani Lyons oblała się znów rumieńcem gniewu.

– Zadaje mi pan doprawdy osobliwe pytanie.

– Przykro mi bardzo, ale muszę je powtórzyć.

– Odpowiem więc: oczywiście nie.

– Nawet w dniu śmierci sir Karola?

Rumieniec znikł z oblicza młodej kobiety i ustąpił miejsca śmiertelnej bledkości. Suche wargi poruszyły się, nie mogąc wymówić wyrazu: „Nie”, który dostrzegłem raczej, niż dosłyszałem.

– Pamięć zawodzi panią niewątpliwie – rzekłem. – Mógłbym nawet przytoczyć urywek z pani listu: „Zaklinam pana na honor dżentelmena, niech pan spali list niniejszy i przyjdzie pod furtkę o godzinie dziesiątej”.

Myslałem, że pani Lyons zemdleje, ale wysiłkiem woli zapanowała nad wzruszeniem.

– Czyż nie ma na świecie honorowego mężczyzny? – rzekła z trudnością.

– Jest pani niesprawiedliwą dla sir Karola. Spalił list pani. Ale niekiedy list, chociaż spalony, pozostaje czytelny. A więc przyznaje się pani do napisania tego listu?



Laura Lyons przyznaje się do napisania listu do sir Karola znalezionej przez Barrymore'a.

– Tak, pisałam ów list! – zawołała i folgując sercu w potoku wyrazów, dodała: – Napisałam go. Czemu mam zaprzeczać? Nie mam powodu wstydzić się tego listu. Zdawało mi się, że gdybym mogła się z nim rozmówić, przyszedłby mi z pomocą; prosiłam go więc o schadzkę.

– Ale dlaczego o takiej godzinie?

– Dlatego że dowiedziałam się właśnie, iż wyjeżdża nazajutrz do Londynu i powróci dopiero za kilka miesięcy, a miałam powody, dla których wcześniej nie mogłam pójść.

– Ale dlaczego wyznaczyła pani schadzkę w ogrodzie, zamiast pójść do niego do domu?

- Czy pan sądzi, że wypada kobiecie chodzić samej o tej godzinie do kawalera?
- I cóż zaszło podczas owej schadzki?
- Nie poszłam wcale.
- Pani Lyons!
- Nie, przysięgam panu na wszystko, co mam najświętszego. Nie poszłam.

Przeszkodziło mi niespodziewane zajście.

- Jakie zajście?
- To sprawa zupełnie prywatna. Nie mogę powiedzieć.
- Przyznaje pani zatem, że wyznaczyła schadzkę sir Karolowi w tym samym miejscu i o tej samej godzinie, kiedy go śmierć zaskoczyła, a zapiera się pani, że na tę schadzkę przybyła?
- Bo to prawda.

Powracałem kilkakrotnie do tego przedmiotu, ale nie mogłem nic więcej wydostać od pani Lyons.

– Bierze pani na siebie bardzo dużą odpowiedzialność i stawia się pani w bardzo niekorzystnym położeniu, nie wyznając otwarcie wszystkiego – rzekłem, wstając, by zakończyć tę długą i bezużyteczną wizytę. – Jeśli mnie pani zmusi do wezwania pomocy policji, przekona się, do jakiego stopnia będzie skompromitowana. Jeśli jest pani niewinna, dlaczegoż zaprzeczała pani zrazu, że pisała tego dnia do sir Karola?

– Bo obawiałam się, żeby nie wysnuwano stąd fałszywych wniosków i żeby nie została wplątana w skandal.

- A dlaczego nalegała pani tak usilnie, żeby sir Karol zniszczył list?
- Skoro pan czytał list, powinien pan wiedzieć dlaczego.
- Nie powiedziałem pani, że czytałem cały list.
- Wszak przytoczył pan urywek.
- Przytoczyłem dopisek. List, jak powiedziałem, był spalony i niecały czytelny.

Pytam panią raz jeszcze, dlaczego nalegała pani tak usilnie na sir Karola, żeby spalił list, który otrzymał w dniu śmierci?

- Z pobudek natury bardzo poufnej.
- Tym bardziej powinna pani unikać badania publicznego.
- A więc powiem panu. Jeśli pan słyszał coś o mojej niedoli, wie pan, iż byłam bardzo nierozważna w wyborze męża i ciężko za to odpokutowałam.
- Słyszałem o tym.

– Życie moje było jednym nieustającym prześladowaniem ze strony męża, którego nienawidzę. Prawo jest za nim i on może lada dzień zmusić mnie do powrotu pod dach małżeński. Kiedy pisałam do sir Karola, dowiedziałam się, iż mogłabym mieć widoki odzyskania wolności, gdybym poniosła pewne koszty.

Chodziło tu o dolę mojego całego życia, o spokój, szczęście, szacunek dla samej siebie, słowem o wszystko. Znana mi była wspaniałomyślność sir Karola i pomyślałam sobie, że gdyby usłyszał te szczegóły z moich własnych ust, dopomógłby mi.

– Dlaczegoż więc pani nie poszła?

– Dlatego że otrzymałam tymczasem pomoc z innego źródła.

– Dlaczegoż więc nie zawiadomiła pani o tym sir Karola?

– Byłabym to uczyniła, ale wyczytałam nazajutrz rano w dzienniku wieść o jego śmierci.

Wszystko, co pani Lyons mówiła, miało związek i wydało się prawdopodobne, a wszelkie moje pytania nie zdołały jej zmusić do dalszych wyznań. Pozostało mi więc jeszcze tylko sprawdzić, czy istotnie przedsięwzięła kroki rozwodowe przeciw mężowi w tym samym czasie, kiedy rozegrała się tragedia śmierci sir Karola.

Nie ośmieliłaby się chyba powiedzieć, że nie była w Baskerville Hall; gdyby rzecz miała się inaczej, musiałyby tam jechać i mogłyby powrócić do Coombe Tracey dopiero nazajutrz wczesnym rankiem. Taka wycieczka nie utrzymałaby się w tajemnicy. Prawdopodobnie zatem mówiła prawdę albo przynajmniej część prawdy.

Wyszedłem od pani Lyons zgnębiony i zniechęcony. Spotkałem się znów z owym nieprzeniknionym murem wznoszącym się na każdej ścieżce, którą usiłowałem dotrzeć do celu. A jednak, im bardziej zastanawiałem się nad twarzą tej kobiety i nad jej obejściem, tym silniej czułem, że ukrywa coś przede mną.



Watson:

Przenikliwy,
spozstrzegawczy.

Dlaczego tak zbladła? Dlaczego musiałem przemocą wydobyć od niej każde wyjaśnienie? Dlaczego przemilczała uparcie szczegóły dotyczące samej tragedii? Wyjaśnienie tego wszystkiego wykaże z pewnością, że nie jest taka niewinna, za jaką chciała uchodzić przede mną. Na razie jednak dalsze śledztwo w tym kierunku byłoby bezskuteczne; należało więc zabrać się do tej zagadki, której rozwiązania szukać trzeba było wśród pieczar na moczarach.

Wskazówki, jakie mi dał Barrymore, były bardzo niedokładne. Uprzytomniałem to sobie w drodze do domu, na widok łańcucha pagórków, z których każdy wykazywał ślady prastarych siedzib ludzkich.

Kamerdyner powiedział mi tylko, że niezajomy przebywał w jednej z tych opuszczonych pieczar, a setki ich były rozsiane wzdłuż i wszerz moczarów. Miałem wszakże własny punkt oparcia w poszukiwaniach od chwili, kiedy dostrzegłem owego mężczyznę stojącego na Czarnym Szczycie. Tam zatem będzie punkt wyjściowy mojego działania. Stamtąd przeszukiwać będę kolejno wszystkie pieczary na moczarach, dopóki nie znajdę właściwej.

A gdy spotkam w niej owego mężczyznę, spróbuję, przy pomocy rewolweru, zmusić go do wyznania, kim jest i dlaczego szpiegował nas tak długo. Mógł nam się wymknąć wśród tłumu na ulicy Regenta, ale tu, na tym pustkowiu, już mu się to nie uda.

Jeżeli zaś odnajdę pieczarę, a mieszkańca w niej nie będzie, pozostaną w niej dopóty, dopóki nie powróci. Holmes nie zdołał go schwytać w Londynie. Co za tryumf dla mnie, gdybym zwyciężył tam, gdzie mój mistrz poniósł porażkę!

Los był nam dotąd ciągle przeciwny w naszych poszukiwaniach, lecz teraz nareszcie zaczynał mi sprzyjać. A zwiastun pomyslnego zwrotu ukazał się w postaci pana Franklanda, który stał przed furką swego ogrodu, wychodzącą na gościniec.

– Dzień dobry, doktorze Watson – zawołał, a czerwona twarz jego okolona siwymi faworytami promieniała wyrazem niezwykle dobrego humoru – konie pana muszą wypocząć, a pan wstąpi do mnie na kieliszek wina... może mi pan też powinszować.

Nie żywiłem dla niego bynajmniej przyjaznych uczuć od chwili, gdy się dowiedziałem, jak postępuje z córką, ale pilno mi było odesłać Perkinsa i powozik do domu, a sposobność nastęczała się doskonała. Wysiadłem więc i kazałem przez stangreta powiedzieć sir Henrykowi, że wrócę na obiad, po czym wszedłem z Franklandem do jadalni.

– Wielki dzień dziś dla mnie, jeden z tych, które podkreślać należy w kalendarzu czerwonym ołówkiem – mówił, chichocząc. – Odniosłem zwycięstwo podwójne. Nauczę ja ich tu wszystkich, że prawo jest prawem i że istnieje człowiek, który się nie obawia na nie powołać. Stwierdziłem, że mamy prawo do przeprowadzenia drogi publicznej przez sam środek parku starego Middletona, o jakieś sto metrów od głównej bramy jego domu. Cóż pan na to? Nauczmy tych magnatów, że nie wolno im traktować kopytami końskimi prawa wieśniaków! Nadto ogrodziłem lasek, gdzie mieszkańcy Fernworthy urządzają zazwyczaj pikniki. Te przekłete durnie myślą, że nie istnieje wcale prawo własności i że mogą wszędzie rozkładać się z zatłuszczonymi papierami i butelkami. Sąd zawyrokował już w obu sprawach i, doktorze Watsonie, w obu na moją korzyść. Takiego dobrego dnia nie miałem od czasu, gdy z mojego powództwa sir Jan Mortland został skazany za wykroczenie przeciw prawu, bo polował we własnej królikarni.

– W jaki sposób, u licha, pan to przeprowadził?



Watson:
Odważny, ambitny (chce być bardziej skuteczny niż Holmes).



Spotkanie
Watsona
z Franklandem.



Frankland:
Kłódlivy,
wszczyna spory,
zarozumiały.

– Proszę przejrzeć akta sądowe. Opłaci się przeczytać... Frankland przeciw Morlandowi, sąd ławy królewskiej. Kosztowało mnie to 200 funtów, ale dostałem wyrok!

– Czy przyniosło to panu jakąś korzyść?

– Nie, panie, żadnej. Dumny jestem z tego, że nie kierował mną interes osobisty. Działam zawsze w poczuciu obowiązku obywatelskiego. Nie wątpię na przykład, iż mieszkańcy Fernworthy spalą mnie dziś wieczorem *in effigie*. Gdy ostatni raz urządzali podobną szopkę, powiedziałem policji, że powinna zabronić takich wybryków. Stan policji w całym hrabstwie jest wprost skandaliczny; pomimo że wezwałem jej pomocy, nie dała mi tej opieki, do jakiej mam prawo. Sprawa Frankland przeciw królowej zwróci na te stosunki uwagę publiczną. Powiedziałem im, że pożałują jeszcze kiedyś swego postępowania ze mną, a przepowiednia moja zaczyna się już sprawdzać.

– A to w jaki sposób? – spytałem.

Twarz starego maniaka przybrała wyraz tajemniczy.

– Bo mógłbym im powiedzieć to, co wszelkimi środkami usiłują teraz wykryć; ale nie mnie nie zniewoli do przyjscia w pomoc tym łajdakom.



Watson:

Sprytny, wie,
jak rozmawiać
z ludźmi.

Od chwili już szukałem wymówki, która pozwoliłaby mi uwolnić się od tej paplaniny, ale teraz nagle zapragnąłem słuchać jej dalej. Znałem o tyle przekorną naturę Franklanda, że wiedziałem, iż lada wyraźniejsza oznaka zainteresowania byłaby najpewniejszym sposobem powstrzymania jego wynurzeń.

– Wykrył pan jakiegoś kłusownika, co? – zapytałem obojętnie.



Frankland ujawnia,
że obserwuje
tajemniczego
mężczyznę na
moczarach.

– Ho, ho! Mój panie, to sprawa daleko ważniejsza! A co pan myśli o więźniu włóczącym się po moczarach?

Ostupałem.

– Czyżby pan wiedział, gdzie jest? – rzekłem.

– Może nie wiem dokładnie, gdzie się ukrywa, ale jestem pewien, że mógłbym dopomóc policji w schwytaniu go. Czy nie wpadło panu na myśl, że najpewniejszym sposobem wysledzenia tego zbrodniarza byłoby wykrycie, skąd bierze pożywienie?

Oczywiście Frankland zaczął być niepokojąco bliskim prawdy.

– Niewątpliwie – odparłem – ale skąd pan wie, że on się ukrywa na moczarach?

– Stąd, że widziałem na własne oczy posłańca, który mu nosi zapasy żywności.

Ogarnęła mnie trwoga o Barrymore'a. Niebezpieczna to sprawa znaleźć się na łasce tego złośliwego plotkarza. Po następnej uwadze Franklanda wszakże spadł mi ciężar z serca.

– Zdziwi się pan, słysząc, że dziecko przynosi mu jedzenie. Widzę je codziennie przez teleskop z dachu. Idzie tą samą ścieżką, o tej samej godzinie, a do kogo chodziłoby, jeśli nie do więźnia?

Co za szczęśliwy zbieg okoliczności! Nie okazałem jednak najlżejszego zdumienia. Dziecko! Wszak Barrymore mi mówił, że nasz nieznajomy był obsługiwany przez wyrostka. Frankland zatem wpadł na trop owego nieznajomego, nie zaś na trop Seldena. Gdyby zechciał podzielić się ze mną swoimi wiadomościami, oszczędziłby mi dużo pracy i zachodu. Ale przede wszystkim trzeba było udawać niedowiarstwo i obojętność.

– Sądzę, że to prędzej syn któregoś z pasterzy nosi obiad ojcu.

Najlżejszy sprzeciw doprowadzał do pasji starego despotę. Spojrzał na mnie złym wzrokiem, a siwe faworyty zjeżyły się jak sierść podrażnionego kota.

– Doprawdy? – rzekł, wskazując na bezbrzeżne moczary. – Czy pan widzi to czarne wzgórze? O, tam! Dobrze; a widzi pan za nim niski pagórek pokryty gęstymi zaroślami? Otóż jest to najbardziej kamienista część moczarów. Czy to prawdopodobne, ażeby pasterz obierał takie miejsce dla swojej trzody? Pańskie przypuszczenie jest zupełnie niedorzeczne.

Odpowiedziałem z pokorą, że mówiłem, nie znając tych wszystkich szczegółów. Uległość moja spodobała się Franklandowi i wywołała dalsze zwierzenia.

– Może pan być pewien, że zanim wygłoszę zdanie, muszę mieć niezbite dowody. Widziałem niejednokrotnie chłopca niosącego paczkę. Co dzień, a niekiedy dwa razy dziennie, mogłem... ale, niech pan poczeka... Czy mnie oczy mylą, czy też istotnie porusza się coś w tej chwili na stoku pagórka?



Obserwacja
chłopca na
moczarach.

Jakkolwiek pagórek był bardzo odległy, niemniej dostrzegłem wyraźnie mały czarny punkt na zielono-szarym tle krajobrazu.

– Za mną, prędzej! – zawołał Frankland, pędząc na schody. – Zobaczy pan na własne oczy i sam osądzi.

Potężny teleskop na trójnogu stał na płaskim dachu domu. Frankland przyskoczył do lunety i wydał okrzyk radości.

– Prędko, doktorze Watsonie, prędko, zanim minie pagórek.

Istotnie, mały chłopiec z węzełkiem na ramieniu wchodził powoli na wzgórze. Gdy stanął na szczycie, jego ubogo odziana postać zarysowała się wyraźnie na tle błękitu nieba. Obejrzał się dokoła szybko i trwożliwie, jakby w obawie pogoni, po czym zniknął za pagórkem.

– No i cóż? Mam słusność?

– Oczywiście, jest tam chłopiec, który, jak się zdaje, spełnia jakieś tajemnicze polecenie.

– Nawet policjant odgadłby, jakie to polecenie. Ale nie dowiedzą się ode mnie ani słówka; zobowiązuję pana również do tajemnicy. Ani słówka! Rozumie pan?

– Niech pan będzie spokojny.

– Postąpił ze mną haniebnie... haniebnie. Gdy wszystkie fakty zostaną ujawnione w procesie Frankland przeciw królowej, dreszcz oburzenia wstrząśnie całym krajem. Nic nie zmusi mnie do przyścia w pomoc policji w jakikolwiek sposób. Policja nie posiadałaby się z radości, gdyby te łotry spaliły mnie nie *in effigie*, ale we własnej osobie... Co, pan już odchodzi? O nie, nie puszczę pana! Musi pan wychylić ze mną butelczynę na cześć moich wszystkich zwycięstw!



Wycieczka
Watsona na
moczary, w ślad
za chłopcem.

Oparłem się jednak jego naleganiom i zdołałem odwieść go od zamiaru odprowadzenia mnie do domu. Dopóki mógł mnie dostrzec, szedłem gościńcem, po czym skręciłem szybko w bok na moczary i podążyłem ku skalistemu pagórkowi, za którym zniknął chłopiec. Los sprzyjał mi i przysiągłem sobie, że jeżeli nie uda mi się wyzyskać pomyślnego zbiegu okoliczności, nie będzie to wina braku energii i wytrwałości z mojej strony.



Opis zachodu
słońca na
moczarach.

Słońce zachodziło już, gdy stanąłem na szczycie pagórka, a po stokach schodzących ku równinie pełzały od zachodu blaski złociste i zielonawe, gdy ze strony przeciwnej rozwłoczyły się już po nich szare cienie. Białe opary wznosiły się z wolna na krańcu widnokręgu, a spośród nich wyłaniały się wyraźnie fantastyczne kształty Belliveru i Lisiego Szczytu.

Nic nie zakłócało ciszy rozległej równiny, nigdzie ruchu, znikąd dźwięku. Tylko duży szary ptak, rybitwa albo kulik, szybował po błękitnym przestworzu. On i ja byliśmy jedynymi żywymi stworzeniami pomiędzy bezbrzeżnym sklepieniem nieba a pustkowiem na ziemi. Dziki krajobraz, uczucie samotności, świadomość, że podjąłem przedsięwzięcie bardzo niebezpieczne a niecierpiące zwłoki, wszystko to chłodem przeniknęło mi duszę.



Opis pieczary
– schroniska
nieznajomego.

Chłopca nie było nigdzie. U stóp moich, w rozpadlinie między pagórkami, stał kołem szereg owych prastarych siedzib kamiennych, a dach na jednej z nich zachował się prawie w całości, tak że mogła służyć za schronienie. Serce zabiło mi jak młotem, gdy to dostrzegłem. Tam, w tej norze, czatował niechybnie nasz nieznajomy. Nareszcie stałem u progu jego kryjówki – lada chwila mogłem mu wydrzeć jego tajemnicę.

Przybliżywszy się do pieczary tak ostrożnie, jak Stapleton, gdy podchodzi z siatką do upatrzonego motyla, przekonałem się, że istotnie służyła za mieszkanie. Ścieżka, zaledwie utorowana, prowadziła wśród głazów do otworu zastępującego

drzwi. Wewnątrz panowała cisza. Nieznajomy czatował w ukryciu lub też włóczył się po moczarach. W najwyższym naprężeniu nerwowym cisnąłem papierosa, objąłem dłonią rękojeść rewolweru i, podszedłszy szybko do otworu, zajrzałem. Nie było nikogo.

Dostrzegłem natomiast liczne znaki, że nie wszedłem na trop fałszywy. Tu niewątpliwie mieszkał nieznajomy. Koldry, pokryte płaszczem nieprzemakalnym, leżały na tym samym wielkim głazie, gdzie przedhistoryczny mieszkaniec tej siedziby spoczywał zazwyczaj. Popiół tlił się na jakimś pierwotnym ognisku, za którym stały sprzęty kuchenne i ceber w połowie napełniony wodą. Szereg pustych puszek po konserwach świadczył, że siedziba była zajęta już od pewnego czasu, a gdy wzrok mój przywykł do panującego dokoła półmroku, dostrzegłem w kącie bochenek chleba i pół butelki wódki.

Na środku chaty płaski głaz zajmował miejsce stołu, na którym leżało małe zawiniątko – to samo niewątpliwie, które przez teleskop dostrzegłem na ramieniu chłopca. Zawierało świeży chleb, ozór wędzony i dwie puszki konserw z brzoskwiń. Rozejrzawszy się w zawiniątku, usiadłem, lecz w teże chwili serce zabiło mi gwałtownie – pod puszkę wsunięta była kartka zapisanego papieru. Schwyciłem ją i przeczytałem następujące wyrazy, skreślone ołówkiem niewprawną ręką:

„Dr Watson pojechał do Coombe Tracey”.

Przez chwilę stałem z kartką w ręku, zastanawiając się nad znaczeniem tego lakonicznego doniesienia. A więc to mnie, nie sir Henryka, szpiegował ów tajemniczy nieznajomy! Nie śledził mnie sam, lecz wysłał za mną kogoś zaufanego – może tego wyrostka – i oto jego raport.

Bardzo możliwe, iż od chwili przybycia w te strony byłem śledzony na każdym kroku. I znów odczułem ciężar jakiejś nieznaney siły, ogarnęła mnie świadomość, że zarzucono na nas, z niesłychaną zręcznością, cienką sieć, która jednak zacieśnia się dokoła nas tak lekko, że dopiero w ostatecznej chwili spostrzegamy, iż jesteśmy istotnie nią oplatani.

Jeśli był jeden raport, mogły się znaleźć i inne – zacząłem więc rozglądać się i szukać dokoła. Nie dostrzegłem jednak nigdzie śladu żadnej kartki ani też jakiegokolwiek wskazówki, która pozwalałaby wnioskować o charakterze lub zamiarach mieszkającego w tej osobliwej siedzibie człowieka; to jedno tylko było pewne, że musiał mieć zwyczaje spartańskie i mało dbał o wygody.

Gdy pomyślałem o ulewie ostatnich dni i spojrzałem na szerokie szpary między tworzącymi dach kamieniami, zrozumiałem, jak ważnym musiał być cel, do którego zmierzał nieznajomy i jak niezachwiane postanowienie osiągnięcia go, skoro mógł wytrwać w tak niegościnnym schronieniu.

Był ten człowiek naszym zaciętym wrogiem, czy też może naszym aniołem stróżem? Przysiągłem sobie, że nie opuszczę pieczary, dopóki się nie dowiem...



Czas akcji –
zmierzch.

Na dworze słońce zachodziło powoli, rozniecając na niebie krwawe łuny i złociste blaski, które odbijały się rdzawymi plamami w odległych kałużach wśród Wielkiego Trzęsawiska Grimpeńskiego. W dali widniały dwie wieże Baskerville Hall, a za nimi słup wznoszącego się w obłoki dymu zaznaczał położenie wioski Grimpen. W środku, między zamkiem a wioską, za wzgórzem, stał dom Stapletonów.

Cała przyroda tchnęła ciszą, spokojem i niewysłowioną słodyczą. Wszelako spokój ten nie udzielił się mojej duszy; ogarnęła mnie nieokreślona trwoga przed spotkaniem, które stawało się bliższym z każdą chwilą.

W nerwowym podnieceniu, lecz niezachwiany w powziętym postanowieniu, siedziałem w ciemnym zakątku pieczary i z gorączkową niecierpliwością czekałem na przybycie jej mieszkańca.

W końcu usłyszałem, że nadchodzi. Z daleka dobiegł mnie ostry odgłos buta uderzającego o kamienie. Odgłos ten zbliżał się coraz bardziej. Cofnąłem się w najciemniejszy zakątek i odwiodłem kurek rewolweru w kieszeni, zdecydowany nie zdradzać swej obecności, dopóki nieznajomy nie wejdzie do pieczary.

Naraz nastąpiła przerwa dowodząca, że się zatrzymał. Potem odgłos kroków zbliżył się ponownie i cień padł w poprzek otworu pieczary.

– Co za cudny wieczór, kochany Watsonie – odezwał się głos dobrze mi znany. – Zdaje mi się, że będzie nam przyjemniej na dworze niż w tej pieczarze.

XII. ŚMIERĆ NA MOCZARACH

Przez chwilę siedziałem osłupiały, z zapartym oddechem, nie dowierając własnym uszom. Później wróciła mi przytomność i głos, a ciężar odpowiedzialności spadł mi z serca. Jeden tylko na świecie człowiek miał taki zimny, przenikający, ironiczny głos.

– Holmes! – krzyknąłem. – Holmes!

– Wyjdźże – odezwał się – tylko proszę cię, ostrożnie z rewolwerem.

Wyszedłem, schyliwszy się, przez otwór pieczary i spostrzegłem swego przyjaciela siedzącego na kamieniu; na widok mojej zdumionej twarzy jego szare oczy zabłyśły uciechą. Schudł nieco, zmęczenie odbijało się w jego rysach, ale był bardzo ożywiony, cerę miał

ogorzałą od słońca, zaczerwienioną od wichru. Ubrany w szewiutowy garnitur i sukienną czapkę, wyglądał jak zwykły turysta zwiedzający moczary. Dbali o czystość swojej osoby, jak kot o swoje futerko – co jest jednym z jego rysów charakterystycznych – postarał się, żeby mieć podbródek taki gładki, a bieliznę takiej niepokalanej czystości, jak gdyby wyszedł ze swej gotowalni przy ulicy Baker.

– Nigdy jeszcze nie byłem równie ucieszony niczym widokiem – rzekłem, ściskając jego dłoń.

– Ani równie zdumiony, co?

– Tak... przyznaję.

– Mogę cię zapewnić, że moje zdumienie nie ustępowało twojemu. Nie miałem pojęcia, że wysledziłeś moją przygodną kryjówkę ani też, że w niej siedzisz, dopóki nie stanąłem o jakieś dwadzieścia kroków od wejścia.

– Poznałeś ślady moich nóg, co?

– Nie, mój drogi; nie podjąłbym się rozpoznawania śladów twoich nóg wśród innych. Jeśli zechcesz kiedy ukryć się przede mną na serio, musisz zmienić dostawcę tytoniu; bo gdy ujrzę niedopałek papierosa z firmą Bradley, ulica Oxford, wiem, że mój przyjaciel Watson jest w pobliżu. Patrz, leży tam na ścieżce. Rzuciłeś go niechybnie w uroczystej chwili wejścia do pustej pieczary.

– Jakbyś widział.

– Domyśliłem się od razu... a znając twoją bajeczną wytrwałość, byłem przekonany, że zastanę cię tu w zasadzce, z bronią pod ręką, czekającego na mieszkańca tej siedziby. Wziąłeś mnie więc za owego zbrodniarza?

– Nie wiedziałem, kim jesteś, ale byłem zdecydowany wyjaśnić tę tajemnicę.



Spotkanie Watsona z Holmesem w pieczarze.



Wygląd Holmesa.

– Wyśmienicie, Watsonie! A w jaki sposób stwierdziłeś moją obecność? Dostrzegłeś mnie może owej nocy, kiedy wybraliście się w pogoń za więźniem, a kiedy ja byłem o tyle nieostrożny, że stanąłem w blasku księżyca?

– Tak jest, widziałem cię wtedy.

– I przeszukałeś niechybnie wszystkie pieczary, aż wreszcie natrafiłeś na tę tutaj?

– Nie; obserwowałem twego chłopca i to było mi wskazówką, dokąd się udać.

– Aha, ten stary jegomość z teleskopem! Nie mogłem się domyślić, co to takiego, gdym ujrzał pierwszy raz światło odbijające się w soczewkach – wstał i zajął do pieczary. – A... widzę, że Cartwright przyniósł mi posiłek... Co to? Kartka? Więc byłeś w Coombe Tracey?

– Byłem.

– U pani Laury Lyons?

– Właśnie.

– Doskonale! Poszukiwania nasze zatem biegły równoległymi drogami, a gdy zestawimy osiągnięte wyniki, mam nadzieję, że będziemy bardzo bliscy całkowitego rozwiązania sprawy.

– Rad jestem szczerze, że cię tu mam, bo, dalibóg, ta odpowiedzialność i ta tajemnica zaczynały mi zanadto rozstrajać nerwy. Ale jak się to stało, u licha, żeś tu przyjechał i coś ty tu robił? Byłem pewien, że siedzisz na ulicy Baker i mordujesz się nad tą sprawą szantażu.

– Zależało mi właśnie na tym, żebyś tak myślał.

– A więc bierzesz mnie do pomocy, ale mi nie ufasz! – zawołałem z odcieniem goryczy. – Sądzę, że nie zasłużyłem na to z twojej strony.

– Mój drogi, byłeś mi nieocenioną pomocą zarówno w tym wypadku, jak i w wielu innych i proszę cię, żebyś mi wybaczył to podstępne podejście. Prawdę mówiąc, wszystko to stało się w części przez wzgląd na ciebie; świadomość niebezpieczeństwa, na jakie się narażałeś, skłoniła mnie do przybycia tutaj i zbadania spraw osobiście. Gdybym był razem z sir Henrykiem i z tobą, miałbym wspólny z wami punkt widzenia, a obecność moja ostrzegłaby naszych bardzo groźnych przeciwników i mieliby się na baczności. Tymczasem, pozostając w ukryciu, mogłem działać ze swobodą, jakiej nie miałbym nigdy, gdybym zamieszkał w zamku; stanowiąc zatem nieznaną czynnik w sprawie i mam możność rozwinięcia całej energii w chwili krytycznej.

– A dlaczego mnie w to nie wtajemniczyłeś?

– Bo gdybyś wiedział, nie pomogłoby nam to, a mogłoby doprowadzić do wysledzenia mnie. Zachciałoby ci się może powiedzieć mi coś albo, w dobroci swojej, przynosiłbyś mi tu jakieś przysmaki i narazilibyśmy się na niepotrzebne niebezpieczeństwo. Wziąłem tu z sobą Cartwrighta, pamiętasz, tego malca z biura

posłańców... i ten zaspokaja moje skromne potrzeby: bochenek chleba i czysty kołnierzyk. Czegóż człowiekowi więcej trzeba? Przy tym dostarczał mi dodatkowej pary oczu i pary bardzo zwinnych nóg, a zarówno jedne, jak i drugie stały się dla mnie nieocenioną pomocą.

– A więc wszystkie moje raporty poszły na marne!

Głos zadrział mi na wspomnienie mozołu i dumy, z jaką je pisałem.

Holmes wyjął z kieszeni zwitek papierów.

– Oto są twoje raporty, mój chłopcze, bardzo dokładnie przejrane, zapewniam cię. Zarządziłem wszystko tak, że mi je przysyłano tu, z jednodniowym tylko opóźnieniem. Muszę ci szczerze powinszować gorliwości i inteligencji, jaką wykazałeś w tak niezwykle zawiłanej sprawie.



Holmes chwali Watsona za jego gorliwość i bystrość.

Ta gorąca pochwała Holmesa złagodziła urazę, jaką miałem do niego za to całe podejście i zagłuszyła mój gniew. Czulem także w głębi duszy, że miał słuszność i że istotnie lepiej się stało dla naszej sprawy, iż nie wiedziałem o jego obecności na moczarach.

– O, tak, to mi się podobaś! – rzekł, widząc, że moja twarz się rozchmurza. – A teraz opowiedz mi o odwiedzinach u pani Laury Lyons... Nietrudno mi było odgadnąć, że pojechałeś do niej, bo wiem już, iż ona jest jedyną osobą w Coombe Tracey, która może nam się przydać. Gdybyś ty nie był pojechał do niej dziś, prawdopodobnie ja byłbym pojechał jutro.

Słońce zaszło już zupełnie i ciemność zaległa na moczarach. Powietrze ochłodziło się znacznie – schroniliśmy się więc do pieczary i tu, siedząc wśród zmroku, opowiedziałem Holmesowi rozmowę z panią Lyons. Słuchał jej z takim zajęciem, że musiałem niektóre szczegóły powtarzać dwukrotnie.

– Wszystko to jest bardzo ważne – rzekł, gdy skończyłem. – Wypełnia bowiem niezrozumiałą dla mnie dotąd lukę w tej niesłychanie zawiłej sprawie. Wiesz może, iż ową panią łączą ze Stapletonem bardzo zażyłe stosunki?

– Nie wiedziałem, że znają się tak blisko.

– O, bardzo... Widują się, pisują do siebie, słowem, porozumienie między nimi jest jak najlepsze. To bardzo potężna broń w naszych rękach. Gdyby tylko mogła mi posłużyć do oswobodzenia jego żony...

– Jego żony?

– Teraz ja dam ci pewne objaśnienia w zamian za wszystkie twoje nowiny. Otóż kobieta, która uchodziła tutaj za pannę Stapleton, jest jego żoną.

– Na Boga, Holmesie! Jesteś pewien tego, co mówisz? Jak mogłeś dopuścić, ażeby sir Henryk się w niej zakochał?

– Zakochanie się sir Henryka nie mogło zaszkodzić nikomu, tylko sir Henrykowi. Zauważyłeś sam, iż Stapleton baczył pilnie, ażeby baronet nie zbliżył się do niej i nie zalecał zbyt. Powtarzam, że ta kobieta jest jego żoną, nie siostrą.

– Ale w jakim celu tak kłamał?

– Dlatego że przewidział, iż będzie mu daleko pożyteczniejszą w charakterze kobiety wolnej.

Wszystkie moje tajemne przecucia, wszystkie nieuchwytne podejrzenia powstały naraz wyraźnie i skierowały się na przyrodnika. Widziałem teraz coś strasznego w tym obojętnym, bladym człowieku, w kapeluszu słomkowym, z siatką na motyle w rękę – istotę niewyczerpanej cierpliwości, piekielnie chytrą, z uśmiechniętą twarzą i duszą mordercy.

– A więc to on jest naszym wrogiem? On szpiegował nas w Londynie?

– Tak ja rozwiązuję tę zagadkę.

– A ostrzeżenie... przyszło pewnie od niej!

– Naturalnie.



Prawda
o Stapletonie.

Spośród mroku, który nas tak długo otaczał, zaczęła się wyłaniać przede mną jakaś nieuchwytna jeszcze, potworna podłość.

– Jesteś tego pewien? Skąd wiesz, że ta kobieta jest żoną Stapletona? – spytałem.

– Stąd, że gdy spotkał się z tobą pierwszy raz, zapomniał się tak dalece, iż opowiedział ci niektóre prawdziwe fakty ze swego życia; zdaje mi się, że żałował już nieraz swego gadulstwa. Stapleton był istotnie niegdyś właścicielem szkoły w jednym z hrabstw w północnej Anglii. Otóż, nie ma nic łatwiejszego, jak odnaleźć ślady przełożonego szkoły. Istnieją agencje szkolne, które na żądanie mogą stwierdzić tożsamość każdego uprawiającego zawód pedagogiczny. Niedługo poszukiwania wykazały, że zamknięto w tamtych okolicach szkołę, a towarzyszyły temu ohydne okoliczności. Właściciel szkoły zaś, innego jednak nazwiska, zniknął razem z żoną. Rysopis zgadzał się, gdy zatem dowiedziałem się jeszcze, że jegomość ów zajmował się entomologią, nie miałem już żadnej wątpliwości.

Ciemności zaczynały się rozpraszać, ale mrok pokrywał jeszcze wiele szczegółów.

– Jeśli ta kobieta jest istotnie żoną Stapletona, co tu robi pani Laura Lyons? – spytałem ponownie.

– Ten punkt wyjaśniony został przez twoje własne poszukiwania. Twoja rozmowa z ową panią przyczyniła się bardzo do rozjaśnienia sytuacji. Nie wiedziałem nic o jej zamierzonym rozwodzie z mężem. Uważając zaś Stapletona za kawalera, pani Lyons liczy niezawodnie, że się z nią ożeni.

– A gdy się dowie prawdy?

– Zyskamy w niej sprzymierzeńca. Przede wszystkim zatem musimy się z nią zobaczyć... obaj, i to jutro. Ale, Watsonie, czy nie uważasz, że za długo trwa twoja nieobecność na stanowisku? Powinieneś już być w Baskerville Hall.

Ostatnie purpurowe blaski zagasyły na zachodzie, noc zaszła na moczary, a na fiolecie nieba roziskrzyła się tu i owdzie pierwsze gwiazdy.

– Jeszcze jedno pytanie – rzekłem, wstając. – Nie powinniśmy mieć dla siebie wzajemnie tajemnic. Co znaczy to wszystko? Do czego zmierza Stapleton? Jaki ma cel?

– Morderstwo, Watsonie – odpowiedział Holmes zniżonym głosem. – Wyrafinowane, rozmyślnie, z zimną krwią wykonane morderstwo. Nie żądaj ode mnie szczegółów. Snuję sieć dokoła mordercy, podobnie jak on dokoła sir Henryka, a dzięki twojej pomocy mam go już prawie w ręku. Jedno tylko grozi nam niebezpieczeństwo: może nas zaskoczyć i wymierzyć cios, zanim będziemy gotowi do walki. Jeszcze jeden dzień, najwyżej dwa, a będę miał wszystkie dowody; tymczasem zaś ty czuwaj nad baronetem równie troskliwie, jak czuwa kochająca matka nad chorym dzieckiem. Twój wyjazd dzisiejszy był konieczny, a mimo to wolałbym, ażebyś nie opuszczał sir Henryka. Słyszysz?!



Podjejrzenia
Holmesa.

Okropny krzyk – krzyk śmiertelnej trwogi i przerażenia – rozdarł panującą dokoła na moczarach ciszę. Krew w żyłach ścięła mi się lodem.



Krzyk na
moczarach.

– Och, Boże! – wyjąkałem. – Co to jest? Co to znaczy?

Holmes zerwał się na równe nogi. Jego olbrzymia postać zarysowała się w otworze piecary – z pochylonymi barkami, z głową wysuniętą naprzód stał, usiłując wzrokiem przeniknąć ciemności.

– Cicho! – szepnął. – Cicho.

Krzyk dobiegł nas dlatego, że był taki gwałtowny, ale pochodził z odległej głębi równiny. Teraz rozległ się znów bliżej, głośniejszy, bardziej nagły niż poprzednio.

– Gdzie to jest? – szepnął Holmes, a drżenie jego głosu wykazywało, że ten człowiek z żelaza jest poruszony do głębi. – Gdzie to jest, Watsonie?

– Zdaje mi się, że tam – odparłem, wskazując w ciemność.

– Nie, tam.

I znów ten okrzyk trwogi, głośniejszy i znacznie bliższy nas, rozbrzmiał wśród ciszy nocnej...

Ale tym razem przyłączył się do niego inny dźwięk – głucho warczenie, rytmiczne, a jednak groźne, które wzmagало się i cichło, jak nieustający szum fal morskich.

– Pies! – krzyknął Holmes. – Biegnij, Watsonie, biegnij, co tchu! Boże wielki, bylebyśmy nie przyszli za późno!

I popędził naprzód, a ja biegłem tuż za nim. Naraz, gdzieś pośród skał, przed nami, dobiegł ostatni rozpaczliwy wrzask, a potem rozległ się głuchy łoskot. Sta-
nęliśmy, nasłuchując. Żaden inny dźwięk nie przerwał już przytłaczającej ciszy tej nocy, której spokoju nie zamać nałżejszy powiew wiatru.

Holmes przycisnął dłoń do czoła jak człowiek nieprzytomny; po chwili tupnął nogą niecierpliwie.

– Pobił nas, Watsonie. Spóźniliśmy się.

– Nie, nie... niepodobna!

– Co za szaleniec ze mnie, dlaczego ja go oszczędza! Patrz, Watsonie, jakie skutki z tego, żeś opuścił zamek! Ale, przysięgam, jeżeli stało się to, co mogło się stać najgorszego, morderca nie ujdzie naszej zemsty.

Pędziliśmy na oślep wśród ciemności, potykając się o głązy, przedzierając się przez krzaki jałowca, wdrapując się na wzgórze, to znów zbiegając ze stoków, a ciągle dążąc w stronę, z której dobiegały nas straszne odgłosy. Z każdego szczytu Holmes rozglądał się chciwie dokoła, ale nieprzenikniony mrok zalegał moczary i nic nie poruszało się wśród rozległego pustkowia.

– Czy dostrzegasz coś?

– Nic.

– Ale... słuchaj... co to jest?

Cichy jęk doleciał naszych uszu. I znów z lewej strony! Szereg skał kończył się tu nagle, tworząc urwistą pochyłość, u której stóp leżała jakaś czarna, bezkształtna masa.



Znalezienie
martwego
mężczyzny.

W miarę jak torując sobie drogę wśród głazów, zbliżaliśmy się do tego przedmiotu, przybierał kształty określone. Był to mężczyzna, leżący twarzą do ziemi; kark miał zgięty w pałąk, głowę wykrzywioną, ramiona były podniesione, a cały korpus skurczony, jak do skoku. Postawa ta była taka dziwaczna, że na razie nie mogłem sobie uprzytomnić, iż w owym jęku uleciała dusza tego człowieka. Teraz ciemna postać, nad którą pochyliliśmy się obaj, nie wydawała już najłżejszego szeptu.

Holmes przesunął ręką po leżącym i podniósł ją wnet z okrzykiem zgrozy. Blask zapalniczki; którą zaświecił, padł na jego zakrwawione palce i na strumień krwi, który broczył z roztrzaskanej czaszki ofiary. Blask oświecił coś więcej – zwłoki sir Henryka Baskerville'a! Skamienieliśmy z przerażenia, dech zamarł nam w piersi.

Nie zapomnieliśmy obaj owego cudackiego garnituru barwy ceglastej, w którym ujrzeliśmy go po raz pierwszy na ulicy Baker. Zdążyliśmy go dostrzec tylko i zapalniczka zgasła, podobnie jak zgasła nadzieja w naszych duszach.

Holmes odetchnął głęboko i, mimo ciemności, widziałem, że poblądł.

– Podły! Nikczemnik! – syknąłem przez zaciśnięte zęby. – Nie daruję sobie nigdy, że dopuściłem do tego nieszczęścia!

– Moja wina jest większa od twojej. W pogoni za drobnymi szczegółami, chcąc mieć szereg niezbitych dowodów, pozwoliłem zabić swego klienta. Jest to najcięższa porażka, jaka mnie spotkała w mojej karierze. Ale skąd mogłem wiedzieć, że sir Henryk, pomimo moich przestróg, zechce narażać życie i będzie sam chodził po moczarach? Tak, skąd mogłem to przewidzieć?



Holmes:
Czuje się odpowiedzialny za swojego klienta.

– I pomyśleć, że słyszeliśmy jego krzyki... Boże, co za krzyki! I nie zdołaliśmy go ocalić! Gdzież ten okropny pies, który go przyprawił o śmierć? Włóczy się pewnie jeszcze wśród skał. A Stapleton? Gdzie się kryje? Zapłaci za tę zbrodnię.

– Zapłaci. Już ja się o to postaram. Stryj i bratanek zamordowani... jeden umarł z przerażenia, na sam widok zwierzęcia, które uważał za coś nadprzyrodzonego, drugi znalazł śmierć, uciekając przed ową bestią. Ale teraz musimy jeszcze dowieść związku między człowiekiem a zwierzem. A nie możemy nawet zapewnić, że ów istnieje, skoro słyszeliśmy tylko szczekanie i warczenie, a sir Henryk zmarł widocznie skutkiem upadku. Ale przysięgam na wszystkie świętości, że, jakkolwiek ten Stapleton jest przebiegły i mądry, znajdzie się w mojej mocy, zanim minie dzień.

Ze ściśniętym sercem staliśmy nad okaleczonym ciałem, poruszeni nagłą i nieodwołalną katastrofą, która zakończyła tak smutnie naszą długą i mozolną pracę.

Księżyc powoli wysuwał się zza chmur. Weszliśmy na skały, z których spadł nasz biedny przyjaciel i ze szczytu spoglądaliśmy na moczary w połowie już osrebrzone blaskiem księżyca, w połowie jeszcze tonące w mroku.

W dali, w kierunku wioski Grimpen, jaśniało jedno żółte światełko. Mogło płonąć jedynie w samotnej siedzibie Stapletonów. Zaklnąwszy wściekle, podniosłem pięść groźnie i spytałem Holmesa:

– Dlaczego nie mielibyśmy schwytać go od razu?

– Nie mamy jeszcze wystarczających dowodów. Ten łotr jest zręczny i przebiegły do najwyższego stopnia. W sądzie nie chodzi o to, co się wie, ale czego można dowieść. Jeden fałszywy krok z naszej strony, a łotr może nam się jeszcze wymknąć.

– Cóż zatem pocniemy?

– Będziemy mieli dosyć zajęć jutro, bądź spokojny. Tymczasem zaś oddajmy ostatnią posługę naszemu biednemu przyjacielowi.

Zeszliśmy z urwistego stoku i zbliżyliśmy się do zwłok, zarysowujących się teraz wyraźnie w świetle księżyca. Na widok wykrzywionej w przedśmiertnym skurczu postaci serce ścisnęło mi się boleśnie, a oczy moje zaszyły mgłą.

– Trzeba wezwać pomocy, Holmesie. Sami nie zdołamy zanieść go do zamku... Wielkie nieba, człowieku, czyż ty oszalał?

Holmes krzyknął, pochylił się nad zwłokami, a teraz skakał, śmiał się i ścisnął moją rękę. Nie poznawałem swego poważnego, panującego nad sobą przyjaciela!

– Broda! Broda! Ten człowiek ma brodę!

– Brodę?

– To nie baronet... to... ależ tak! To mój sąsiad, zbiegły więzień!

Z gorączkowym pośpiechem odwróciliśmy zwłoki i broda, zbroczona krwią, ukazała nam się w blasku księżyca.



Okazuje się, że ofiarą mordercy padł Selden.

Niepodobna było omylić się na widok tego wystającego czoła, zapadłych zwierzęcych oczu. Poznałem istotnie tę samą twarz, którą dostrzegłem owej nocy nad świecą w szczelinie skały – twarz zbrodniarza Seldena.

I w jednej chwili wyjaśniło mi się wszystko. Przypomniałem sobie, że baronet mówił mi, iż darował swoją starą garderobę Barrymore'owi. Barrymore zaś dał ją Seldenowi, chcąc mu dopomóc w ucieczce. Buty, koszula, czapka – wszystko było własnością sir Henryka.

Wypadek był bardzo smutny, niewątpliwie, ale sądy i tak skazały na śmierć nieszczęśliwego. Z sercem przepelnionym radością opowiedziałem Holmesowi historię garderoby Seldena.



Spryt Stapletona.

– W takim razie to ubranie stało się przyczyną śmierci nieboraka – rzekł. – Rzecz to już teraz oczywista, iż do wytresowania psa Stapleton użył jakiegoś przedmiotu należącego do sir Henryka; według wszelkiego prawdopodobieństwa, posłużył mu do tego ów but, który zginął w hotelu; pies więc pogonił za Seldenem. Jedna rzecz wszakże pozostaje niewyjaśniona: skąd on mógł w ciemnościach rozpoznać, że pies go ściga?

– Słyszał go prawdopodobnie.

Człowiek takiej twardej natury jak ten morderca nie wpada dlatego, że usłyszał szczekanie psa na moczarach, w taki paroksyzm trwogi, że krzyczy jak wariat o pomoc, narażając się na zaarrestowanie. Sądząc z jego krzyków, biegł widocznie długo, spostrzegłszy, że zwierzę go ściga. Skąd jednak wiedział o tym?

– Niezrozumiałym jeszcze jest dla mnie fakt, dlaczego ten pies, przypuściwszy, że wszystkie nasze wnioski są słuszne...

– Ja nic nie przypuszczam.

– Otóż dlaczego ten pies został wypuszczony dzisiaj? Sądzę, że nie wałęsa się zawsze swobodnie po moczarach. Stapleton nie puściłby go na wolność, gdyby nie miał powodu spodziewać się, że sir Henryk wyjdzie dziś wieczorem.

– Trudniej jest odpowiedzieć na moje pytanie niż na twoje, które, sędzę, będzie niebawem wyjaśnione, gdy moje pozostanie na zawsze otoczone tajemnicą. Kwestia teraz, co pocniemy ze zwłokami tego nieszczęsnego łotra? Nie możemy ich zostawić na żer lisom i krukom.

– Proponuję, żeby je złożyć w najbliższej pieczarze, dopóki nie zawiadomimy policji.

– Doskonale. Myślę, że damy sobie radę sami... Watsonie, a to co? Patrz, to on... co za piekielna odwaga! Słuchaj, żebyś mi jednym słowem nie zdradził swoich podejrzeń... ani słówka, inaczej wszystkie moje plany runą.

Postać jakaś, idąca ścieżką przez moczary, zbliżała się ku nam; niebawem dostrzegłem gorejący krążek zapalonego cygara, a blade światło księżyca pozwoliło mi rozróżnić drobną figurkę i skaczący chód przyrodnika. Dostrzegłszy nas, przystanął, po czym ruszył znowu ku nam.



Spotkanie Watsona i Holmesa ze Stapletonem na moczarach.

– To pan, doktorze Watson? Ze wszystkich ludzi na świecie pana najmniej spodziewałem się zastać tu, wśród moczarów, o takiej późnej godzinie. Ale, mój Boże, co to? Jakiś ranny? Nie... niech pan powie, że to nie nasz przyjaciel sir Henryk!

Minął mnie z pośpiechem i pochylił się nad zmarłym. Słyszałem, jak zaczerpnął głęboko powietrza, cygareto wypadło mu z dłoni.

– Kto... kto to jest?

– Selden, więzień, który uciekł z Princetown.

Stapleton zwrócił ku nam śmiertelnie bladą twarz, lecz najwyższym wysiłkiem woli pokonał swoje zdumienie i rozczarowanie. Byстрыm wzrokiem spoglądał kolejno na mnie i na Holmesa.

– Mój Boże! Jakie to smutne zdarzenie. Co spowodowało jego śmierć?

– Zdaje mi się, że roztrzaskał sobie głowę, spadając z tych skał. Przechadzałem się z przyjacielem po moczarach, gdy nagle usłyszeliśmy krzyk.

– Ja również usłyszałem krzyk i postanowiłem wyjść. Byłem niespokojny o sir Henryka.

– Dlaczego właśnie o sir Henryka?

Nie mogłem się powstrzymać od tego pytania.

– Dlatego że prosiłem go, by spędził wieczór u nas i byłem zdziwiony, że nie przyszedł. Gdy zaś usłyszałem krzyki na moczarach, ogarnął mnie niepokój o niego. Ale – przenikliwie oczy przyrodnika znów biegały od mojej twarzy ku twarzy Holmesa – czy nie słyszeliście panowie nic innego, oprócz krzyku?

– Ja nie – odparł Holmes – a ty?

– I ja nie!

– Ale dlaczego zadaje pan to pytanie? – rzekł Holmes.

– O, tak tylko, panowie znają przecież baśnie krążące tu wśród chłopów, o jakimś olbrzymim psie, który straszy... Utrzymują, że wyje niekiedy nocami. Zastanawiałem się więc nad tym, czy nie odezwał się tej nocy jakiś odgłos, który mógłby usprawiedliwić te opowiadania.

– Nie słyszeliśmy nic podobnego – rzekłem.

– A czemu pan przypisuje śmierć tego nieboraka?

– Jestem pewien, że trwoga, w jakiej nieustannie żył, obawiając się wykrycia, zaćmiła mu umysł. W przystępie obłądu więc biegł po moczarach, dostał się bezwiednie na te skały, a spadłszy, roztrzaskał sobie czaszkę.

– Przypuszczenie pańskie wydaje mi się wielce prawdopodobne – rzekł Stapleton i odetchnął głęboko, co świadczyło, iż doznał wielkiej ulgi. – A jakie jest zdanie pana, panie Sherlocku Holmesie?

Przyjaciel mój złożył lekki ukłon.

– Jaki pan bystry w poznawaniu ludzi – rzekł.

– Spodziewaliśmy się pana w tych stronach od czasu przyjazdu dra Watsona. Przyszedł pan w porę, by zostać świadkiem tragedii.

– Tak, istotnie. Nie wątpię, że wyjaśnienia mego przyjaciela okażą się zgodnymi z prawdą. Niemile wspomnienie zabiorę z sobą jutro do Londynu.

– A... pan wyjeżdża jutro?

– Taki mam zamiar.

– Spodziewam się, że pobyt pana wyjaśnił nieco wypadki, które nas tak zaniepokoiły?

Holmes wzruszył ramionami.

– Nie zawsze zdobywamy to powodzenie, jakiego się spodziewamy. Badaczowi trzeba faktów, nie zaś legend i pogłosek. Dotąd nie wykryłem nic w tej sprawie.

Mój przyjaciel mówił tonem zupełnej szczerości, z całą swobodą. Niemniej Stapleton patrzył na niego bystrym wzrokiem. Po chwili zwrócił się ku mnie:

– Chciałbym przenieść tego biedaka do mego domu, ale moja siostra przeraziłaby się niesłychanie. Sądzę, że jeśli zakryjemy mu twarz, może tu poleżeć bezpiecznie do jutra rana.



Powrót Holmesa z Watsonem do Baskerville Hall.

Tak też czyniliśmy. Po czym, nie przyjąwszy ofiarowanej przez Stapletona gościnności, ruszyliśmy z Holmesem do Baskerville Hall. Przyrodnik pozostał sam. Odwróciliśmy się, idąc i widzieliśmy, jak szedł wolnym krokiem w głąb moczarów, a za nim, na osrebrzonym blaskiem księżycy stoku, wielka czarna plama wskazywała, gdzie leżał człowiek, który zginął taką niespodziewaną śmiercią.

– Dobiegamy do chwili krytycznej – rzekł Holmes po dłuższym milczeniu.

– Ależ ten człowiek ma nerwy! Jak on się trzymał na widok, że ktoś inny padł

ofiara jego spisku! Nie każdy zdołałby tak zapanować nad sobą. Powiedziałem ci już w Londynie, Watsonie, i powtarzam teraz, że nie mieliśmy godniejszego wroga.

– Żałuję, że cię widział.

– I ja również żałowałem na razie. Ale niepodobna było uniknąć tego spotkania.

– Cóż on teraz, twoim zdaniem, pocznie, skoro wie, że jesteś tutaj?

– Stanie się może ostrożniejszy, a może też przedsięwzięcie od razu jakiś rozpaczliwy krok. Jak większość wytrawnych przestępców, zaufa może zbyt łatwo własnej mądrości i wyobrazi sobie, że nas podszedł.

– Dlaczego nie mielibyśmy zaarrestować go od razu?

– Mój drogi, tyś się urodził człowiekiem czynu. Wrodzony popęd nakłania cię zawsze do energicznej działalności. Przypuśćmy na przykład, że zaarrestowalibyśmy Stapletona dzisiejszej nocy; jaka z tego korzyść? Nie moglibyśmy dowiedzieć mu niczego. I na tym właśnie polega jego piekielna przebiegłość! Gdyby działał przy pomocy innego człowieka, moglibyśmy wykryć tego współnika i zyskać świadka, ale jeśli nawet wydobędziemy owego olbrzymiego psa na światło dzienne, nie pomoże nam to w zarzuceniu stryczka na kark jego pana.

– Możemy przecież wytoczyć sprawę.

– Na jakiej podstawie? Samych tylko podejrzeń i przypuszczeń? Wyszłoby nas w sądzie, gdybyśmy poszli z taką bajką i z takimi dowodami.

– A śmierć sir Karola?

– Znalaziono go nieżywego, bez najmniejszych śladów morderstwa. Ty i ja wiemy, że zmarł ze strachu i wiemy też, co go tak przeraziło; ale w jaki sposób przekonamy o tym dwunastu ograniczonych sędziów przysięgłych? Gdzie ślady psa? Gdzie znaki jego kłów? Wiemy oczywiście, że pies nie tyka zmarłego i że sir Karol skonał, zanim to bydłę go doścignęło. Ale musimy tego wszystkiego dowiedzieć, a to niemożliwe.

– No, a wypadek dzisiejszej nocy?

– Na nic nam się nie przyda. Znowu bowiem nie było bezpośredniego związku między psem a śmiercią tego człowieka. Nie widzieliśmy psa. Słyszeliśmy go, ale nie moglibyśmy dowiedzieć, że ścigał właśnie tego więźnia. Bo i z jakiego powodu? Nie, mój drogi; musimy pogodzić się z tym, że dotąd nie mamy żadnej podstawy do wytoczenia sprawy i że warto jest dołożyć wszelkich usiłowań, by znaleźć niezbite dowody pozwalające wnieść skargę do sądu.

– A w jaki sposób zabierzesz się do tego?



Holmes
o Stapletonie:
Wytrawny
przestępca.



Holmes
o Watsonie:
Porywczy,
człowiek czynu.

– Pokładam wielkie nadzieje w pani Laurze Lyons; może nam być bardzo użyteczna, gdy jej przedstawimy całe położenie. Mam też swoje własne plany. Kto wie, co nam jutro przyniesie. Ale mam nadzieję, że będę ostatecznie górą, zanim minie dzień jutrzejszy.

Nie mogłem nic więcej dowiedzieć się od niego. Zatopieni w myślach doszliśmy do bramy zamku.

– Wejdiesz ze mną? – spytałem.

– Wejdę; nie widzę potrzeby dalszego ukrywania się... Jeszcze jedno słowo, Watsonie. Nie wspominaj sir Henrykowi o psie. Niechaj myśli o przyczynie śmierci Seldena to, co Stapleton chce, żebyśmy myśleli. Będzie odporniejszy wobec próby, która go czeka jutro; wszak jeśli się nie mylę, doniosłeś mi w raporcie, że jest zaproszony na obiad do Merripit House?

– Tak, i ja również.

– Ty wymówisz się czymś, a on pójdzie sam. Wymyślmy dla ciebie jakiś powód. A teraz, skoro spóźniliśmy się na obiad, sądzę, że dostaniemy przynajmniej kolację.

XIII. ZARZUCANIE SIECI

Sir Henryk bardziej się uradował niż zdziwił widokiem Sherlocka Holmesa, gdyż od kilku dni spodziewał się jego przybycia z powodu ostatnich wypadków. Niemniej otworzył wielkie oczy, spostrzegłszy, że mój przyjaciel nie ma ze sobą bagażu i że się z tego nie tłumaczy. Zaopatrzyliśmy go niebawem we wszystko, czego potrzebował i zasiadłszy do spóźnionej kolacji, opowiedzieliśmy baronetowi nasze przygody o tyle, o ile uznaliśmy za stosowne.



Kolacja Holmesa z sir Henrykiem w zamku.

Poprzednio jednak spełniłem przykry obowiązek: zawiadomiłem Barrymore'a i jego żonę o śmierci Seldena. Nowina przyniosła kamerdynerowi wielką ulgę, ale żona rozplakała się żałośnie. Dla całego świata zmarły był człowiekiem dopuszczającym się gwałtów, na wpół zezwierzęconym; dla niej wszakże pozostał zawsze samowolnym chłopcem, dzieckiem, które czepiało się jej spódnicy, gdy była młodą dziewczyną.



Zawiadomienie Barrymore'ów o śmierci Seldena.

– Nudziłem się piekielnie przez cały dzień w domu, od wyjazdu Watsona dziś rano – rzekł baronet. – Sądzę, że będziecie mi panowie już teraz ufali, gdyż dotrzymałem obietnicy. Gdybym nie przysiągł, że sam nie będę wychodzić, mógłbym przyjemniej spędzić wieczór, gdyż miałem zaproszenie od Stapletona.

– Nie wątpię, że spędziłby pan wieczór przyjemniej – odparł Holmes sucho. – Ale nie domyśla się pan nawet, że już opłakiwaliśmy pana zgon.

Sir Henryk spojrział na nas ze zdumieniem.

– A to dlaczego?

– Ten nieszczęsny zbrodniarz ubrany był w pański garnitur. Obawiam się, że pana lokaj, który mu go dał, będzie miał do czynienia z policją.

– Nie przypuszczam. O ile pamiętam, ubranie nie było znaczone moimi cyframi.

– Tym lepiej dla niego... a właściwie tym lepiej dla was wszystkich, bo wszyscy postąpiliście wbrew przepisom prawa. Nie jestem pewien, czy jako sumienny agent śledczy, nie powinienem od razu zaaresztować całego domu. Raporty Watsona są bardzo obciążającymi dokumentami.

– A jak tam stoi nasza sprawa? – spytał baronet. – Czy udało się panu wpaść na jakiś trop? Bo co do nas, nie jesteśmy obaj z Watsonem o wiele mądrzejsi niż na początku, choć siedzimy tutaj.

– Zdaje mi się, że niedługo będę mógł objaśnić panu dokładnie całe położenie. Sprawa jest ciężka i niesłychanie zawiślana. Niektóre punkty są jeszcze zupełnie ciemne, ale światło, które nam je rozjaśni, już się zbliża.

– Watson powiedział panu niewątpliwie, że stwierdziliśmy jeden fakt na pewno: słyszeliśmy psa na moczarach, mogę zatem przysięgnąć, że owa legenda nie jest czczym zabobonem. Miałem niemało do czynienia z psami na Dzikim Zachodzie w Ameryce i wycie psa rozpoznam na pewno. Jeśli pan zdoła temu nałożyć kaganiec i uwiązać go na łańcuchu, gotów jestem ogłosić pana największym na świecie agentem śledczym.

– Sądzę, że ubiorę go w kaganiec i uwiążę na łańcuchu bez wielkich trudności, jeżeli pan mi dopomoże.

– Zrobię wszystko, co mi pan każe.

– Doskonale; zażądam jednak, żeby pan był mi ślepo posłuszny i nie pytał o powód moich poleceń.

– Dobrze; jak pan zechce.

– Jeśli pan słowa dotrzyma, mamy najlepsze widoki rozwiązania naszej zagadki. Nie wątpię...

Urwał nagle i patrzył uparcie ponad moją głowę w próżnię. Światło lampy padało prosto na jego twarz, która przybrała wyraz takiej natężonej uwagi i tak skamieniała, że stała się podobną do oblicza klasycznego posągu wyobrażającego uosobienie zdumienia i wyczekiwania.

– Co się stało? – krzyknęliśmy obaj z baronetem.

Gdy Holmes zwrócił wzrok ku nam, widziałem, że tłumii jakieś silne wzburzenie. Twarz miał spokojną, ale w oczach jego jaśniała radość.

– Proszę wybaczyć podziw znawcy – rzekł, wskazując ręką szereg portretów zawieszonych na ścianie przeciwległej. – Watson twierdzi wprawdzie, że nie mam pojęcia o sztuce, ale to prosta zazdrość dlatego, że nasze zapatrywania się różnią. Ma pan tu istotnie zbiór bardzo pięknych portretów.

– Rad jestem, że je pan chwali – odparł sir Henryk, spoglądając z pewnym zdumieniem na mego przyjaciela. – Nie znam się na tym, co prawda, i umiałbym lepiej ocenić konia lub byka niż obraz. Nie wiedziałem, że pan i na takie rzeczy znajduje czas.

– Umiem ocenić dzieło dobre, gdy je widzę, a tu znajduję niejedno. Przysięgnę, że ta pani tam w niebieskim jedwabiu to Kneller, a ten otyły dżentelmen w peruce to niechybnie Reynolds. Domyślałem się, że to portrety rodzinne, tak?

– Tak jest, wszystkie.

– A czy zna pan też imiona tych swoich przodków?

– Barrymore kładł mi je w uszy i sądzą, że potrafię powtórzyć lekcję.

– A więc kim jest ten dżentelmen z teleskopem?

– To wiceadmirał Baskerville, który służył pod Rodneyem w Indiach Zachodnich. A ten w błękitnym stroju, ze zwitkiem papierów w ręku, to sir William Baskerville, prezes Komisji Izby Gmin za Pitta.

– A ten kawaler na wprost mnie... w czarnym aksamicie i koronkach?

– O, do zapoznania się z tym jegomościem ma pan specjalne prawo, gdyż on jest powodem całego nieszczęścia. To ów wyklęty Hugon, który wywołał z piekiel psa Baskerville'ów. Nie zapomnimy go chyba.

Spoglądałem na portret z zainteresowaniem i z pewnym zdziwieniem.

– Rzecz szczególna – rzekł Holmes – ma wygląd człowieka spokojnego, skromnego... chociaż co prawda diabeł patrzy mu z oczu. Wyobrażałem go sobie jako mężczyznę barczystego, o powierzchowności brutalniejszej.

– Autentyczność portretu nie ulega wątpliwości, bo na odwrotnej stronie płótna jest imię i data 1647.

Holmes mówił już niewiele – portret starego rozpustnika miał dla niego widocznie niezwykle pociągającą siłę, gdyż do końca wieczery mój przyjaciel nie odrywał prawie wzroku od płótna.

Później dopiero, gdy sir Henryk udał się na spoczynek, Holmes podzielił się ze mną swymi domysłami. Zaprowadził mnie na powrót do sali jadalnej i trzymając lichtarz ze świecą w ręku, oświetlił zniszczony przez czas portret na ścianie.

– Czy ty tu coś dostrzegasz? – spytał.

Wpatrzyłem się w pociągłą, surową twarz, w długie loki, które ją okalały, w szeroki kapelusz z piórem i w biały kołnierz koronkowy. Ta wymuskana twarz nie miała wprawdzie zwierzęcego wyrazu, ale była ponura i harda, miała zaciśnięte wąskie usta i zimne, nieubłagane spojrzenie.

– Czy podobny jest do któregoś z twoich znajomych?

– Zdaje mi się, że dolna część twarzy przypomina sir Henryka.

– Sugestia, nic więcej. Ale poczekaj chwilę!

Holmes wszedł na krzesło i trzymając świecę w lewej ręce, zaokrąglił prawą tak, że zakrył kapelusz i długie loki.

– Boże wielki! – krzyknąłem zdumiony.

Na płótnie ukazało się oblicze Stapletona.

– Teraz widzisz! Moje oczy przywykły badać twarze, nie zaś akcesoria. Najważniejszą umiejętnością badacza kryminalnego jest zdolność przenikania wszelkich przebrań.

– Niesłychane... istotnie. Można by to wziąć za portret Stapletona.



Holmes analizuje portret Hugona.



Holmes zauważa podobieństwo Hugona Baskerville i Stapletona.

– Tak, stoimy wobec ciekawego przykład atawizmu, zarówno zdaje się fizycznego, jak i umysłowego. Studiowanie portretów rodzinnych wzbudzi w każdym wiarę w teorię odradzania się. Stapleton pochodzi z rodu Baskerville’ów, to rzecz oczywista, nie ulegająca dla mnie wątpliwości.

– I może mieć widoki odziedziczenia spadku.

– Właśnie. Ten portret dostarczył nam przypadkowo jednego z najważniejszych ogniw, którego nam dotąd brakło. Mamy go, Watsonie, mamy go! Odważam się przysięgnąć, że zanim minie dzień jutrzejszy, łotr będzie się trzepotał w naszej sieci równie rozpaczliwie, jak jego własne motyle. Szpilka, korek i kartka z napisem, a możemy go dołączyć do zbioru przy ulicy Baker.

Holmes oddalając się od portretu, wybuchnął śmiechem, co zdarzało mu się rzadko; ilekroć zaś słyszałem ten śmiech, bywał on zawsze dla kogoś złą przepowiednią.



Czas akcji
– następnego
dnia rano.

Nazajutrz rano wstałem wcześniej, ale Holmes był jeszcze wcześniej na nogach, gdyż ubierając się, widziałem, jak szedł główną aleją parkową.

– Tak, będziemy mieli dziś gorący dzień – rzekł, gdyśmy się spotkali i zatarł ręce z uciechy na myśl o bliskiej chwili działania. – Sieci zarzucone w odpowiednim miejscu. Niebawem zacznie się połów. Zanim noc zapadnie, będziemy wiedzieli, czy schwytaliśmy naszego wielkiego, żarłocznego szczupaka, czy też wymknął się z sieci.

– Byłeś już na moczarach?

– Wysłałem z Grimpen do Princetown raport o śmierci Seldena. Zdaje mi się, że mogę zapewnić, iż nikt z was nie będzie niepokojony tą sprawą. Doniosłem też memu wiernemu Cartwrightowi, co się ze mną stało; chłopiec byłby lamentował przed moją jaskinią jak pies nad grobem pana, gdybym go nie zapewnił, że jestem bezpieczny.

– A teraz, co zamierzasz?

– Zobaczyć się z sir Henrykiem. A... oto jest!

– Dzień dobry panu! – rzekł baronet. – Wygląda pan jak generał układający plan bitwy z dowódcą sztabu.

– Porównanie pańskie jest zupełnie trafne. Watson pytał mnie właśnie o rozkazy.

– I ja również po to przychodzę.

– Doskonale. Jest pan zaproszony na obiad do naszych przyjaciół, Stapletonów, prawda?

– Spodziewam się, że i panowie pójdą ze mną. Stapletonowie są bardzo gościnni i będą panom radzi.

– Obawiam się, że będziemy musieli pojechać z Watsonem do Londynu.
– Do Londynu?
– Tak, zdaje mi się, że w obecnym położeniu rzeczy będziemy tam potrzebniejsi.

Twarz baroneta spochmurniała.

– Myślałem, że pozostaniecie tu ze mną, dopóki się wszystko nie wyjaśni. Pobyt w zamku wśród moczarów nie jest zbyt przyjemny, gdy człowiek pozostanie sam.

– Mój kochany panie, musisz mi ufać i spełniać ściśle wszystkie moje polecenia. Niech pan powie Stapletonom, że z całą chęcią przyszlibyśmy z panem, ale niecierpiące zwłoki interesy wezwały nas do Londynu; spodziewamy się jednak, że wkrótce powrócimy do Devonshire’u. Czy nie zapomni pan im tego powiedzieć?



Podstępny plan Holmesa.

– Jeśli pan chce koniecznie...

– Zapewniam pana, że to nieodzowne.

Zasepione czoło baroneta wykazywało mi jasno, że był bardzo dotknięty naszą dezercją – za dezercję bowiem uważał nasz wyjazd.

– Kiedyż panowie chcą jechać? – spytał sucho.

– Zaraz po śniadaniu. Pojedziemy powozem do Coombe Tracey, ale Watson pozostawi swoje rzeczy tutaj, jako zakład, że wróci. Watsonie, napiszesz do Stapletona bilecik, że żałujesz, ale nie możesz być na obiedzie.

– Mam wielką ochotę pojechać z wami do Londynu – rzekł baronet. – Dlaczego mam tu zostać sam?

– Bo obowiązek panu tak nakazuje. Bo dał pan słowo, że będzie mi posłuszny, a ja każę panu zostać.

– A więc dobrze, zostaną.

– Jeszcze jedno polecenie. Chcę, żeby pan pojechał do Merripit House’u. Odeśle pan jednak konie i powie Stapletonom, że wróci do domu piechotą.

– Piechotą, przez moczary?

– Tak.

– Ależ przecież tyle razy upominał mnie pan, żebym tego nie robił!

– Tym razem może się pan przespacerować bezpiecznie. Gdybym nie miał takiego zaufania do pańskich silnych nerwów i pańskiej odwagi, nie pozwoliłbym panu; ale tak być musi.

– Dobrze, a zatem pójdę.

– Jeśli zaś ceni pan własne życie, proszę iść przez moczary tylko prostą drogą, prowadzącą z Merripit House’u do gościńca grimpeńskiego. Jest to zresztą najbliższa droga do domu.

– Będę we wszystkim posłuszny.

– Wyśmienicie. Chciałbym bardzo wyjechać zaraz po śniadaniu, żeby być w Londynie po południu.

Byłem zdumiony tym programem, jakkolwiek pamiętałem, że Holmes powiedział Stapletonowi poprzedniego wieczora, iż wyjedzie nazajutrz. Nie przyszło mi do głowy wszakże, że zechce, bym mu towarzyszył, ani też nie mogłem zrozumieć, dlaczego mamy obaj być nieobecni w chwili, którą on sam nazwał krytyczną.

Musiałem jednak zamilknąć i być mu posłusznym. Pożegnaliśmy się więc z naszym zasmuconym przyjacielem i w dwie godziny później staliśmy na dworcu w Coombe Tracey, odesławszy powóz do zamku. Na peronie młody chłopak zbliżył się do Sherlocka Holmesa. Był to Cartwright.

– Czy pan ma dla mnie jakieś polecenia? – zapytał.

– Pojedziesz najbliższym pociągiem do Londynu i wyślesz niezwłocznie do sir Henryka Baskerville’a depeszę w moim imieniu, prosząc go, aby jeżeli znajdzie pugilares, który zgubiłem, odesłał go jako paczkę rekomendowaną na ulicę Baker.

– Tak jest, panie.

– A teraz idź do biura stacyjnego i spytaj, czy nie ma depeszy dla mnie.

Chłopiec powrócił z telegramem, a Holmes, przeczytawszy, podał mi go.

Brzmiał, jak następuje:



Depesza
o przyjeździe
Lestrade’a.

„Depeszę otrzymałem. Przyjeżdżam z niepodpisanym rozkazem uwięzienia piąta czterdzieści. Lestrade”.

– To odpowiedź na moją ranną depeszę. Ten Lestrade jest, moim zdaniem, najlepszym z agentów policyjnych i może nam się przydać. A teraz, Watsonie, myślę, że nie możemy zrobić nic lepszego, jak złożyć wizytę naszej znajomej, pani Laurze Lyons.

Zaczyinałem pojnować plan Holmesa. Postanowił użyć baroneta do przekonania Stapletonów, że wyjechaliśmy istotnie, a wrócić wraz ze mną w chwili, w której obecność nasza okaże się potrzebną. Depesza z Londynu, w razie gdyby sir Henryk wspomniał o niej Stapletonom, rozproszyłaby ich ostatnie podejrzenia. W myśli już widziałem naszą sieć zacieśniającą się coraz mocniej dokoła żarłocznego szczupaka.



Spotkanie
Holmesa
z Laurą Lyons.

Pani Laura Lyons była w biurze, a Sherlock Holmes rozpoczął rozmowę z obcesową szczerością, która w razie zabiła ją zupełnie z tropu.

– Usiłuję wysledzić okoliczności, które towarzyszyły śmierci Karola Baskerville’a – rzekł. – Obecny tu mój przyjaciel, dr Watson, powiedział mi wszystko, czego dowiedział się od pani, a także to, co pani przed nim ukryła.

– A cóż ja ukryłam? – spytała wyzywająco.

– Wyznała pani, że zażądała, aby sir Karol stawił się u furtki o godzinie dziesiątej. Wiemy, że w tym właśnie miejscu i o tej godzinie zaskoczyła go śmierć. Przemilczała pani zatem, jaki zachodził związek między tymi wypadkami.

– Nie było żadnego.

– W takim razie zbieg okoliczności jest istotnie osobliwy. Ale zdaje mi się, że mimo wszystko uda mi się wykazać łączność tych faktów. Chcę być z panią zupełnie szczerzy. Uprzedzam jednak, że, naszym zdaniem, popełniono tu morderstwo, a śledztwo może pociągnąć do odpowiedzialności nie tylko pani przyjaciela, pana Stapletona, ale i jego żonę.

Pani Laura zerwała się z krzesła.

– Jego żonę! – krzyknęła.

– Nie stanowi to już dzisiaj tajemnicy dla nikogo, że osoba, która uchodziła za jego siostrę, jest w istocie jego żoną.

Pani Lyons usiadła. Objęła dłońmi poręczę fotela, a palce jej wpiły się z taką siłą, że różowe paznokcie zbieleły od nacisku.

– Jego żona! – powtórzyła. – Jego żona! Przecież on nie był żonaty...

Sherlock Holmes wzruszył ramionami.

– Dowodów! Niech mi pan da dowody! A jeśli pan może mi ich dostarczyć...

Urwała – złowrogi błysk w jej oczach był wymowniejszy od wszelkich słów.

– Przybyłem z tym zamiarem – odparł Holmes, wydobywając paczkę papierów z kieszeni. – Oto fotografia tej pary, zrobiona w Yorku przed czterema laty. Napis brzmi: „Państwo Vandeleur”, ale pozna pani jego z łatwością, i ją również, jeśli ją pani zna z widzenia. A tutaj są trzy skreślone przez osoby wiarogodne rysopisy państwa Vandeleurów, którzy w swym czasie utrzymywali szkołę prywatną St. Olivera. Niech je pani przeczyta, a pewien jestem, że nie będzie już pani wątpiła o tożsamości tych ludzi.

Pani Laura spojrzała na dokumenty, a potem zwróciła ku nam surową, skamieniałą twarz kobiety zrozpaczonej.

– Panie Holmes – rzekła po chwili – ten człowiek oświadczył mi się i zapewnił, że się ze mną ożeni, jeśli dostanę rozwód z mężem. Podły! Okłamał mnie w niesłychany sposób. Nie powiedział mi nigdy słowa prawdy. I dlaczego? Dlaczego? Zdawało mi się, że działał jedynie w moim interesie, a teraz widzę, iż byłam tylko narzędziem w jego ręku. Dlaczego miałabym być wspaniałomyślną względem tego, który mnie tak niecznie oszukał? Dlaczego miałabym ochraniać go od skutków jego własnych występnych czynów? Niech mnie pan pyta o wszystko, a odpowiem szczerze, nic nie ukrywając. Przysięgam panu tylko, że gdy pisałam



Laura o Stapletonie:
Podły, cyniczny, oszust.

ów list, nie miałam żadnych złych zamiarów względem sir Karola Baskerville'a, który był mi najzyczliwszym przyjacielem.



Wyjaśnienia
Laury Lyons.

– Wierzę pani najzupełniej – odparł Sherlock Holmes. – Opowiadanie tych wydarzeń musi być dla pani bardzo przykre. Ułatwię to pani zatem; będę mówił, co zaszło, a pani może mnie poprawiać, jeśli się w czymś pomylę. Wysłanie tego listu nastąpiło z namowy

Stapletona?

– On mi go dyktował.

– Przypuszczam, że podsunął pani myśl, iż sir Karol dopomoże pani i da pieniądze na przeprowadzenie rozwodu?

– Tak jest.

– A potem, gdy list był wysłany, namówił panią, żeby nie chodziła na schadzkę?

– Powiedział mi, że ubliżyłoby to jego własnej miłości, gdyby jakiś inny mężczyzna dał pieniądze na ten cel i że jakkolwiek jest człowiekiem ubogim, poświęci ostatni grosz dla usunięcia przeszkód, które nas dzielą.

– A potem nie słyszała pani nic, dopóki nie przeczytała pani w dzienniku wiadomości o śmierci sir Karola?

– Tak.

– Stapleton kazał pani przysięgnąć, że nie wspomni pani nikomu o zamierzonej schadzce z sir Karolem?

– Tak. Powiedział, że jego śmierć jest bardzo tajemnicza i że jeśli powiem o liście, padnie na mnie podejrzenie. Przestraszył mnie, żeby mnie zmusić do milczenia.

– Oczywiście. Niemniej jednak miała pani wątpliwości?

Zawahała się i spuściła oczy.

– Znałam go – odparła. – Ale gdyby nie był postąpił tak haniebnie ze mną, nie byłabym go nigdy zdradziła.

– Moim zdaniem, cudem jakimś uszła pani cało – rzekł Sherlock Holmes. – Miała go pani w swej mocy, on wiedział o tym, a mimo to jeszcze pani żyje. Stała pani przez kilka miesięcy nad brzegiem przepaści. Teraz musimy panią pożegnać. Według wszelkiego prawdopodobieństwa, niedługo usłyszycie pani o nas.

– Sprawa nasza wyjaśnia się i jedna trudność za drugą usuwa nam się z drogi – rzekł Holmes, gdy staliśmy na dworcu, czekając na pociąg z Londynu. – Niedługo będę mógł opowiedzieć dokładnie szczegóły jednej z najosobliwszych i najbardziej sensacyjnych współczesnych zbrodni. Ci, którzy zajmują się kryminalistyką, pamiętają niewątpliwie analogiczne wypadki w Grodnie w roku 1866; mamy też morderstwa Andersona w Karolinie Północnej, ale ta sprawa tutaj posiada niektóre odrębne zupełnie szczegóły. Nawet teraz jeszcze nie mamy w rękę żadnego

dowodu przeciw temu nikczemnikowi. Ale zdaje mi się, że dziś wieczór jeszcze, zanim udam się na spoczynek, wina jego stanie się jawną i oczywistą.

Pociąg londyński wpadł z łoskotem na stację, a z wagonu pierwszej klasy wyskoczył niski, barczysty mężczyzna. Zamieniliśmy z nim uścisk dłoni i spostrzegłem od razu, po pełnym szacunku zachowaniu się Lestrade'a względem mego towarzysza, że nauczył się wielu rzeczy od czasu, kiedy zaczęli pracować wspólnie. Pamiętałem dobrze, z jaką pogardą Lestrade, jako praktyk, przyjmował wywody teoretyka, Sherlocka Holmesa.

– Porządna sprawa, co? – spytał.

– Od lat nie zdarzyło się nic podobnego – odparł Holmes. – Mamy jeszcze dwie godziny do odjazdu. Skorzystamy z tego czasu i zjemy obiad, a potem wypędzisz z twego gardła, Lestrade, mgłę londyńską, wdychając pełną piersią czyste powietrze wieczorne w Dartmoor. Nie byłeś nigdy w tej okolicy? Nie? No, sądzę, że nie zapomnisz tej pierwszej wizyty.



Przybycie
Lestrade'a.

XIV. PIES BASKERVILLE'ÓW



Holmes:

Powściągliwy, despotyczna natura, podejrzliwy, ostrożny.

Jedną z wad Holmesa – jeśli to wadą nazwać można – była niesłychana powściągliwość w zwierzaniu się komukolwiek z powziętych planów. Wynikało to w części z jego despotycznej natury, skutkiem której lubił mieć przewagę i sprawiać otoczeniu niespodzianki; w części zaś z podejrzliwości zawodowej, która nakazywała mu nie zaniedbywać żadnej ostrożności.

Wynik tej właściwości Holmesa był wszakże bardzo niemiły dla tych, którzy mu pomagali w jego przedsięwzięciach. Ja sam doznawałem już niejednokrotnie przykrości z tego powodu, lecz nigdy tak silnej, jak podczas tej długiej jazdy wśród ciemności. Zbliżała się chwila ostateczna; mieliśmy połączyć wszystkie nasze usiłowania w ostatecznej próbie, a Holmes dotąd nic nie powiedział i mogłem tylko domyślać się, co zamierzał czynić.

Dreszcz oczekiwania przebiegł po mnie, gdy nareszcie lodowaty wicher, który nam smagał twarze, i ciemne rozległe przestrzenie po obu stronach wąskiej drogi wskazały mi, że znajdujemy się znów wśród moczarów. Każdy krok koni, każdy obrót kół zbliżał nas do rozstrzygającego zajścia.

Obecność woźnicy wynajętego pojazdu krępowała nas w rozmowie, tak że byliśmy zmuszeni mówić o rzeczach obojętnych, pomimo wewnętrznego wzburzenia i podniecenia. Odetchnąłem swobodniej po tym długim przymusie, gdy nareszcie minęliśmy dom Franklanda i skierowaliśmy się w stronę zamku – ku widowni działania. Nie zajechaliśmy przed bramę, lecz wysiedliśmy w pobliżu furtki wiodącej do szpaleru. Holmes zapłacił woźnicy i kazał mu wracać niezwłocznie do Coombe Tracey, my zaś skierowaliśmy nasze kroki do Merripit House'u.



Powrót z Lestradem do Merripit House.

– Lestrade, ma pan przy sobie broń?

Agent śledczy uśmiechnął się.

– Dopóki będę miał spodnie, każę wszywać kieszeń do broni, a dopóki będę miał tę kieszeń, zawsze się w niej coś znajdzie.

– Dobrze! Mój przyjaciel i ja jesteśmy również przygotowani na wszelkie niespodzianki.

– Pan jest tym razem bardzo tajemniczy, panie Holmes. Cóż mamy teraz robić?

– Czekać.

– Dalibóg, niewesoła tu okolica – rzekł Lestrade, wzdygając się i spoglądając dokoła na ciemne stoki pagórków i na olbrzymie obłoki mgły unoszące się

nad Trzęsawiskiem Grimpeńskim. – Zdaje mi się, że widzę przed nami światła w jakimś domu.

– To Merripit House, kres naszej wędrówki. Proszę chodzić na palcach i mówić tylko szeptem.

Szliśmy ostrożnie ścieżką prowadzącą ku siedzibie Stapletonów; o jakieś dwieście metrów przed domem Holmes zatrzymał nas.

– To wystarczy – rzekł. – Te skały na prawo zasłonią nas wysmienicie.

– Tutaj zatem mamy czekać?

– Tak, tutaj urządzimy małą zasadzkę. Lestrade, proszę wejść do tego zagłębienia. Watsonie, wszak byłeś w tym domu? Czy możesz mi wskazać położenie pokoiów? Co jest za tymi zakratowanymi oknami?

– Zdaje mi się, że to okna od kuchni.

– A to dalej, tak jasno oświetlone?

– To pewnie od jadalni.

– Rolety są podniesione. Ty znasz najlepiej terytorium, podejź więc z cicha i zobacz, co robią... ale, na miłość boską, nie zdradz się, niech się nie domyślą, że ich ktoś śledzi!

Idąc na palcach po ścieżce, dostałem się pod niski mur, okalający sad, i już bezpieczniejszy pod tą osłoną, zakradłem się chyłkiem do miejsca, z którego mogłem patrzeć wprost przez niezasłonięte okno.

W pokoju byli tylko dwaj mężczyźni – sir Henryk i Stapleton. Siedzieli zwróceni do mnie profilem, po obu stronach okrągłego stołu. Obaj palili cygara, przed nimi stała kawa i wino. Stapleton mówił z ożywieniem, ale baronet wydawał się błądliwy i roztargniony. Być może myśl o samotnej przechadzce wśród zakłętych moczarów przejmowała go niepokojem.

Po chwili Stapleton wstał i opuścił pokój; sir Henryk napełnił kieliszek, wsunął się w fotel i puścił obłok dymu z cygara. Usłyszałem skrzypnięcie drzwi i odgłos butów na żwirze. Kroki dążyły ścieżką z drugiej strony muru, pod którym czatowałem. Wyjrzałem zza muru i zobaczyłem, że przyrodnik zatrzymał się u drzwi pawilonu, w kącie sadu.

Klucz zgrzytnął w zamku, a gdy Stapleton wszedł, z wnętrza pawilonu dobiegł mnie szczególnie odgłos – jakby trzaskanie z bicia. Przyrodnik zabawił tam nie dłużej niż minutę, a potem dosłyszałem znów zgrzyt klucza. Stapleton minął mnie i wszedł do domu. Widziałem, jak usiadł znów przy gościu, po czym z całą ostrożnością, po cichu, powróciłem do swoich towarzyszy i opowiedziałem im, co zobaczyłem.



Zasadzka
Holmesa przy
moczarach.



Watson obser-
wuje z ukrycia
Stapletona.

– A więc mówisz, Watsonie, że pani tam nie ma? – spytał Holmes, gdy skończyłem raport.

– Nie.

– Gdzież może być zatem, jeśli w żadnym innym pokoju, oprócz kuchni, nie ma światła?

– Nie mam pojęcia.



Mgła.

Wspominałem, że nad Wielkim Trzęsawiskiem Grimpeńskim zawisła fala gęstej, białej mgły. Posuwała się z wolna ku nam, jak mur ruchomy, niski, ale nieprzenikniony. Oświetlona blaskiem księżycy, z przedzierającymi jej powierzchnię w dali szczytami skał, robiła wrażenie bezbrzeżnego, lśniącego się pola lodowego.

Holmes stał zwrócony twarzą ku mglistej fali i patrząc, jak rozwłóczyła się leniwie, lecz nieprzerwanie, mruknął coś niecierpliwie.

– Idzie ku nam, Watsonie.

– Czy widzisz w tym jakąś przeszkodę?

– Bardzo poważną... jest to jedyna rzecz na świecie mogąca pokrzyżować moje plany. Sir Henryk na pewno wkrótce wyjdzie. Już dziesiąta. Nasze powodzenie, a nawet jego życie, zależy od tego, żeby wyszedł, zanim mgła rozłoży się na ścieżce.

Ponad nami noc była cicha i pogodna. Gwiazdy migotały chłodnym blaskiem, a półksiężyc oblewał cały krajobraz łagodnym, bladym światłem.

Przed nami wznosiła się ciemna bryła domu, z dachem najeżonym kominami, odcinającymi się ostro na tle osrebrzonego nieba. Szerokie smugi świetlne padały z okien parterowych na sad i wydłużały się aż do moczarów. Nagle jedna z nich zgasła. To służba opuściła kuchnię. Pozostała tylko lampa w jadalni, gdzie dwaj mężczyźni, gospodarz-morderca i gość, nieświadomy grożącego mu niebezpieczeństwa, gawędzili jeszcze, paląc cygara.



Nadejście mgły nad moczary.

Z każdą minutą białe obłoki zakrywające połowę moczarów przysuwały się bliżej domu. Pierwsze cienkie płatki waty już kłębiły się dokoła padającej z okna smugi świetlnej. Dalsza część muru była już niewidzialna, a drzewa zaczynały znikać za białym tumanem.

Niebawem obłoki mgły podpełzły z dwóch stron pod oba rogi domu i złączyły się, tworząc gęstą falę, na której wyższe piętro i dach unosiły się niby dziwaczny okręt na mistycznym morzu.

Holmes uderzył pięścią w skałę, która nas zasłaniała i tupnął nogą niecierpliwie.

– Jeśli sir Henryk nie wyjdzie za kwadrans, ścieżka zniknie we mgle. Za pół godziny nie zdołamy już dojrzeć własnych rąk przed oczami.

– Może cofnęlibyśmy się nieco dalej na wzgórze?

– Dobrze... będzie istotnie lepiej.

Tak więc, w miarę jak morze mgły płynęło dalej, cofaliśmy się przed nim, aż wreszcie byliśmy już o pół mili od domu. A gęsta biała fala, osrebrzona światłem księżycowym, posuwała się leniwie, lecz nieubłaganie.

– Cofamy się za daleko – rzekł Holmes. – Baronet może zostać zaskoczony, zanim zdoła do nas dojść. Musimy bezwarunkowo pozostać, gdzie jesteśmy.

Ukląkł i przyłożył ucho do ziemi.

– Bogu dzięki! Zdaje mi się, że nadchodzi.

Odgłos przyspieszonych kroków przerwał ciszę panującą na moczarach. Ukryci wśród głązów, patrzyliśmy z wytężeniem przed siebie, usiłując wzrokiem przebić wznoszący się biały mur. Odgłos stawał się coraz głośniejszy i poprzez mgłę, jak spoza zasłony, ukazał nam się ten, na którego czekaliśmy.

Znalazłszy się wśród jasnej atmosfery, pod wyiskrzonym gwiazdami niebem, sir Henryk obejrzał się ze zdumieniem dokoła, a potem szybkim krokiem podążył ścieżką, przeszedł tuż obok naszej kryjówki i zaczął wchodzić na stok wzgórza wznoszącego się za nami. Idąc, zwracał głowę to w lewo, to w prawo, rozglądając się jak człowiek zaniepokojony.

– Baczność! – zawołał Holmes i dobiegł mnie suchy dźwięk kurka od rewolweru. – Strzeżcie się! Idzie!

Gdzieś z głębi pełzającego ku nam morza mgły dobiegał lekki nieustający tętent. Już tylko pięćdziesiąt jardów oddalało nas od białych tumanów – patrzyliśmy w nie wszyscy trzej, niepewni, jaka groza się z nich wyłoni. Klęczałem tuż przy Holmesie; rzuciłem wzrokiem na jego twarz. Była blada, ale ożywił ją wyraz niesłyszanego podniecenia, oczy gorzały w blasku księżyca. Nagle wszakże rozwarły się szeroko, patrząc z osłupieniem, a usta jego rozchyliły się, drgając. W tej samej chwili Lestrade krzyknął przeraźliwie i padł twarzą na ziemię.

Zerwałem się na równe nogi; moja zdrętwiała dłoń zacisnęła się dokoła rękojeści rewolweru, czułem, że umysł odmawia mi posłuszeństwa na widok strasznego widma, które wyskoczyło z mglistej fali.

Był to pies czarny jak węgiel, olbrzymi, taki, jakiego dotąd nie widziały oczy żadnego śmiertelnika. Jego otwarta paszcza zionęła ogniem, ślepie iskrzyły, jak gorejące główne, z nozdrzy buchały płomienie, a migocące płomyki strzelały z sierści na całym grzbiecie.

Nigdy rozgorączkowane majaki chorego umysłu nie mogły spłodzić nic równie dzikiego, przerażającego, szatańskiego jak ten czarny potwór, który wypadł z tumanów mgły.



Powrót sir Henryka przez bagna.



Napaść strasznego psa.

Olbrzymie zwierzę długimi skokami pędziło ścieżką, tropiąc ślad naszego przyjaciela. Widok tego zjawiska tak nas oszołomił, że zdrętwiliśmy zupełnie i fantastyczne zwierzę minęło nas, zanim odzyskaliśmy przytomność.

Holmes i ja daliśmy ognia jednocześnie, a zwierzę zawyło straszliwie, co było dowodem, że jeden przynajmniej z nas strzelił celnie. Nie zatrzymało się jednak, lecz pędziło dalej w szalonych skokach. Wtem spostrzegliśmy w blasku księżyca, jak sir Henryk odwrócił się, stanął, wznosił ręce w górę ruchem przerażenia i wpatrzył się w straszliwe widmo, które go ścigało.

Krzyk, jaki ból wydarł psu, rozproszył wszystkie nasze obawy. Jeśli można go było zranić, był śmiertelny, a skoro zadaliśmy mu ranę, mogliśmy go zabić.

Nigdy w życiu nie widziałem człowieka biegnącego takim szalonym pędem, jakim biegł Holmes owej nocy. Mam, jak to już zaznaczyłem, sławę pierwszorzędnego szybkobiegacza, ale prześcignął mnie z taką łatwością, z jaką ja prześcignąłem małego Lestrade'a. Biegając, słyszeliśmy krzyki sir Henryka i głuche warczenie psa.



Zastrzelenie psa przez Holmesa.

Nadbiegłem w chwili, gdy potwór skoczył na swą ofiarę, powalił ją na ziemię i już miał chwycić za gardło, gdy Holmes wpakował mu w bok pięć kul rewolwerowych.

Z ostatnim śmiertelnym skowytym, wyszczerzywszy kły, jakby chwycił jakiś żer w powietrzu, pies powstał na dwie łapy, runął na wznak, drgnął kilka razy konwulsyjnie i przewrócił się na bok. Pochyliłem się nad nim, cały drżący, przyłożyłem rewolwer do ohydnego łba, lecz nie spuściłem już kurka. Olbrzymi pies nie żył.

Sir Henryk leżał zemdłony tam, gdzie upadł. Rozerwaliśmy mu kołnierzyk i Holmes odetchnął głęboko, przekonawszy się, że nie ma śladu rany i że ratunek przyszedł w porę. Powieki naszego przyjaciela zaczęły drgać – usiłował je otworzyć. Lestrade wlał mu kilka kropli koniaku przez zaciśnięte zęby i niebawem dwoje wylękłych oczu spoglądało na nas.

– Boże wielki! – szepnął. – Co to było? Co to było, na miłość boską?

– Cokolwiek było, już nie istnieje – odparł Holmes. – Zabiliśmy raz na zawsze widmo prześladowające ród Baskerville'ów.



Opis wyglądu psa.

Zwierzę, które leżało przed nami, przerażało rozmiarami i siłą. Był to mieszaniec ogara i brytana, smukły, dziki, wielki jak młoda lwica. Teraz nawet, gdy leżał martwy, z olbrzymiego pyska unosił się błękitnawy płomyk, a ogniste pierścienie jaśniały dokoła małych, głęboko osadzonych, okrutnych ślepiów. Przesunąłem dłonią po gorejącym pysku; gdy ją podniosłem, palce moje zaświeciły w ciemności.

– Fosfor – rzekłem.

– I jak sprytnie spreparowany – rzekł Holmes, wachając nieżywe zwierzę. – Nie wydaje żadnej woni, która mogłaby stępieć węch zwierzęcia. Sir Henryku, zawiniłiśmy bardzo, narażając pana na taki przestрах, za co przepraszamy najmocniej. Byłem przygotowany ujrzeć psa, ale nie podobnego potwora. A nadto mgła nie pozwoliła nam schwycić go tak, jak zamierzaliśmy.

– Ocaliliście mi życie.

– Naraziwszy je najpierw na niebezpieczeństwo. Czy może pan utrzymać się na nogach? Ma pan tyle siły?

– Dajcie mi jeszcze łyk koniaku, a będę gotów do wszystkiego. Tak! A teraz pomóżcie mi się podnieść. Cóż panowie zamierzacie teraz?

– Zostawić pana tutaj. Na dzisiaj już dosyć dla pana przygód. Proszę tu chwilę poczekać, a potem jeden z nas powróci z panem do zamku.

Sir Henryk usiłował stanąć; chwiały się jeszcze na nogach i był bardzo bledy. Doprowadziliśmy go do skały, na której usiadł, drżąc na całym ciele, i ukrył twarz w dłonie.

– Teraz musimy się z panem rozstać – rzekł Holmes. – Trzeba dzieło doprowadzić do końca, a każda chwila jest cenna. Zbrodnię już mamy, brak nam jeszcze tylko zbrodniarza.

Zawróciliśmy więc i spiesznym krokiem schodziliśmy ścieżką ze wzgórza.

– Postawiłbym tyśiąc przeciw jednemu – odezwał się Holmes – że nie zasta niemy go już w domu. Strzały nasze były dla niego znakiem, że przegrał sprawę.

– Byliśmy dosyć daleko od jego domu, a mgła mogła stłumić odgłos.

– Szedł za psem, żeby go podsztuczować... możesz być pewny. Nie, nie, umknął już niechybnie! Niemniej przeszukamy dom, żeby się upewnić.

Drzwi wejściowe były otwarte; wpadliśmy więc i biegaliśmy z pokoju do pokoju, ku zdumieniu starego służącego, którego spotkaliśmy w korytarzu. Nigdzie nie było światła, prócz jadalni; Holmes schwycił lampę i zaglądał do najszybszych zakątków domu. Nigdzie jednak nie znaleźliśmy śladu tego człowieka, którego ścigaliśmy. Na pierwszym piętrze wszakże drzwi od jednego pokoju były zamknięte na klucz.

– Tam ktoś jest! – krzyknął Lestrade. – Słyszysz jakiś ruch. Otwórzcie te drzwi!

Z wnętrza dobiegł nas stłumiony jęk i szelest. Holmes z całą siłą pchnął nogą w drzwi tuż nad klamką – otworzyły się na oścież. Z rewolwerem w ręku wpadliśmy we trzech do pokoju.

Nigdzie jednak nie było śladu nikczemnego łotra, którego spodziewaliśmy się zastać. Znaleźliśmy się natomiast wobec czegoś takiego osobliwego i takiego niespodziewanego, że staliśmy przez chwilę w osłupieniu.



Przeszukanie domu Stapletonów.

Pokój przerobiony był na małe muzeum; na ścianach wisiały przymocowane oszklone pudełka, a w nich rozpięte były motyle i ćmy, których zbieranie stanowiło rozrywkę tego niezwykłego i niebezpiecznego człowieka.



Uwolnienie
pani Stapleton.

Na środku pokoju znajdowała się prostopadła belka, postawiona dla podtrzymania starego, nadgniętego belkowania dachowego. Do tego słupa przywiązana była postać tak spowita w prześcieradła, że w pierwszej chwili nie mogliśmy poznać, czy mamy przed sobą mężczyznę, czy kobietę. Jeden ręcznik, okręcony dokoła szyi ofiary, przymocowany był do słupa z tyłu, drugi zakrywał niższą część twarzy i usta; wielkie ciemne oczy były odsłonięte i spoglądały na nas z wyrazem rozpacz, trwogi i jakby wstydu.

W mgnieniu oka zerwaliśmy ręczniki i prześcieradło i pani Stapleton padła przed nami na ziemię. Gdy jej piękna głowa pochyliła się na piersi, dostrzegłem na karku świeżą czerwoną pręgę od uderzenia szpicruty.

– Ach, łotr! – krzyknął Holmes. – Lestrade, prędko, butelkę! Trzeba ją posadzić na krześle! Zemdląca z wyczerpania i bólu.

Po chwili otworzyła oczy.

– Czy ocalony? – spytała. – Zdołał uciec?

– Nie wymknie się nam, może pani być pewna.

– Nie, nie, nie mówię o moim mężu. Sir Henryk, czy ocalony?

– Ocalony.

– A pies?

– Zabity.

Odetchnęła głęboko.



Beryl Stapleton
o okrucieństwie
męża.

– Dzięki ci, Boże. Dzięki ci! Och, ten nikczemnik! Patrzenie panowie, jak on się ze mną obchodził!

Wysunęła ręce z rękawów i ujrzeliśmy z oburzeniem, że były całe posiniaczone.

– Ale to nic jeszcze nic! On katował i sponiewierał moją duszę.

Mogłam znieść wszystko: znęcanie się, osamotnienie, złamane życie, dopóki łudziłam się nadzieją, że mnie kocha, ale teraz wiem, że i w miłości podszedł mnie, że byłam dla niego igraszką...

Mówiąc to, wybuchnęła namiętym łkaniem.

– Wszak pani nie ma powodu go oszczędzać – rzekł Holmes. – Niechże nam pani powie, gdzie możemy go znaleźć. Jeżeli dopomogła pani mu w złym, niech pani pomoże teraz nam, a będzie to pokuta za winę.



Ucieczka
Stapletona na
moczary.

– Mógł się schronić tylko w jedno miejsce – odparła. – Na samym środku trzęsawiska jest wyspa, a na niej dawna kopalnia

ółowiu. Tam trzymał psa i tam urządził sobie kryjówkę na wypadek potrzeby. Nigdzie zatem nie mógł się schronić, tylko tam!

Holmes wziął lampę i oświetlił okno. Tumany mgły, jak wielkie arkusze waty, rozpościerały się przed szybami.

– Patrzcie – rzekł. – Nikt dzisiaj nie odnajdzie drogi do trzęsawiska.

Pani Stapleton roześmiała się i klasnęła w ręce. W oczach jej zabłyśła ponura radość.

– Dojść, dojdzie do trzęsawiska, ale już z niego nie wyjdzie – zawołała. – Bo jakże dojrzy żerdzie, które mają mu być drogowskazem? Powtykaliśmy je razem, on i ja, żeby oznaczyć ścieżkę przez trzęsawisko. Ach! Gdybym mogła powyrywać je dzisiaj! Byłby może już w waszych rękach.

Uznaliśmy oczywiście, że wszelka pogoń jest niemożliwa, dopóki mgła nie opadnie. Pozostawiliśmy więc Lestrade’a na straży w Merrit House, a Holmes i ja powróciliśmy z baronetem do Baskerville Hall.

Niepodobna było dłużej ukrywać przed sir Henrykiem historii Stapletonów; zniósł cios mężnie, ze spokojem przyjął wiadomość, kim naprawdę była kobieta, którą pokochał. Ale szok spowodowany przygodą nocną był taki silny, że o świcie leżał w gorączce i majaczył, a dr Mortimer siedział przy łóżku.

Lekarz postanowił, że jedynie podróż dookoła świata przywróci sir Henrykowi siły moralne i fizyczne. Ofiarował się towarzyszyć mu i przywieźć go takim, jakim był, zanim został właścicielem nieszczęsnej posiadłości.

Dobiegam szybko do zakończenia tej osobliwej opowieści, którą usiłowałem wzbudzić w czytelniku te same obawy i podejrzenia, jakie pewien czas zakłócały nam spokój i skończyły się tak tragicznie.

Nazajutrz rano po zabiciu psa mgła ustąpiła i pani Stapleton zaprowadziła nas do miejsca, gdzie znaleźli razem z mężem ścieżkę przez trzęsawisko. Skwapliwość i radość, z jaką ta kobieta naprowadziła nas na ślad męża, był nam aż nadto wymownym dowodem cierpień, jakie przechodziła za jego sprawą.

Pozostawiliśmy ją na wąskim cyplu, który wrzynał się w rozległe trzęsawiska. Poczynając od tego punktu, żerdzie powtykane tu i owdzie wskazywały ścieżkę, wijącą się od jednej kępy sitowia do drugiej, pomiędzy napełnionymi zieloną pleśnią dołami i grząskimi bagnami, które zagradzały drogę każdemu obcemu. Uschnięta trzcina i oślizgłe rośliny wodne roztaczały wstrętną woń zgnilizny, a ciężkie, pełne trujących substancji wyziewy utrudniały nam oddech.



Powrót detektywa z towarzyszami do Baskerville Hall.



Choroba sir Henryka.



Pani Stapleton: Uczciwa, chce pomóc Holmesowi.



Opis moczarów.

Z każdym fałszywym stąpnieniem wpadaliśmy powyżej kolan w lepkie błoto, które pod naciskiem naszych stóp falowało na przestrzeni kilku jardów, przylegało do naszych podeszew, a gdy wpadaliśmy w kałuże, zdawało się, że jakaś złowroga ręka ciągnie nas w ohydne głębie, taka była moc uścisku tej czarnej toni, która nas obejmowała.

Tylko jeden raz znaleźliśmy dowód, że ktoś przed nami przebył tę niebezpieczną drogę. Wśród kępy sitowia dostrzegliśmy jakiś wystający ze szlamu czarny przedmiot.



Odnalezienie buta skradzionego sir Henrykowi.

Holmes zeskoczył ze ścieżki na kępę i ugrzązł po pas w błocie; wyciągnęliśmy go z trudnością, a gdyby nas nie było, nie postawiłby już z pewnością nigdy nogi na twardym gruncie. W rękę trzymał stary czarny but. Na skórze wewnątrz wydrukowana była firma: „Meyers Toronto”.

– Kąpiel błotna opłaciła się – rzekł Holmes. – To but skradziony naszemu przyjacielowi, sir Henrykowi.

– Rzucony przez Stapletona w trakcie ucieczki.



Ostatni ślad Stapletona na bagnach.

– Naturalnie. Zużytkowawszy go do wprowadzenia psa na trop baroneta, Stapleton trzymał jeszcze but w rękę, gdy przekonał się, że wszystko stracone. Uciekł zatem i tutaj cisnął but. Wiemy przynajmniej, że dotąd doszedł bezpiecznie.

Więcej jednakże nie było nam dane wykryć.

Jak zresztą odnaleźć ślady kroków na trzęsawisku, skoro powierzchnia ruchomego błota zlewała się znów niezwłocznie po przejściu człowieka?

Gdy nareszcie dotarliśmy do stałego gruntu tworzącego rodzaj wyspy za trzęsawiskiem, rozpoczęliśmy na nowo usilne poszukiwanie, ale – daremnie. Oczy nasze nie spotkały nigdzie najlżejszego śladu. Jeśli ziemia nie kłamała, Stapleton nie zdołał dojść do tego schronienia na wyspie, ku któremu dążył, walcząc z falą mgły. Ten zimny i okrutny człowiek leży gdzieś w głębi Wielkiego Trzęsawiska Grimpeńskiego, przytłoczony cuchnącym błotem, które go wchłonęło.



Kryjówka Stapletona na grzęzawisku.

Na okolonej bagnem wyspie, gdzie ukrył swego dzikiego sprzymierzeńca, odnaleźliśmy liczne ślady jego pobytu. Wielkie stare koło i wózek, na wpół napełniony gruzami, wskazywały położenie opuszczonej kopalni. Obok istniały jeszcze szczątki chat górników, wypędzonych stąd niewątpliwie trującymi wyziewami z okalającego

bagniska.

W jednej z tych chat przytwierdzony do haka łańcuch, a także stos kości ogryzionych świadczyły, że służyła zwierzęciu za kryjówkę. Na kościach dostrzegliśmy szkielet z kępką ciemnej sierści na łbie.

– Pies! – zawołał Holmes. – Dalibóg, wyżeł! Biedny Mortimer nie ujrzy już nigdy swego ulubieńca. Nie przypuszczam, ażeby ta miejscowość zawierała jeszcze nieznanne nam tajemnice. Stapleton mógł ukryć swego psa, ale nie mógł zagłuszyć jego głosu i stąd owo wycie, takie przerażające nawet w biały dzień. W ostateczności mógł trzymać psa w pawilonie przy Merripit House, ale było to zawsze ryzykowne i dlatego dopiero ostatniego dnia, gdy mniemał, że już dobiega celu wszystkich swoich wysiłków, odważył się sprowadzić tam psa. Maść w tej ołowianej puszczy jest niewątpliwie ową świecą mieszaniną, którą pies był wysmarowany. Pomysł ten poddała Stapletonowi legenda rodzinna o piekielnym psie i chęć wzbudzenia w sir Henryku takiego przestachu, który przyprawiłby go o śmierć. Nic dziwnego, że ten nieborak Selden uciekał i krzyczał, podobnie jak nasz przyjaciel, gdy ujrzał takiego potwora pędzącego jego śladem; i my zrobilibyśmy to samo. Pomysł był rzeczywiście genialny, bo pominąwszy możliwość doprowadzenia ofiary do śmierci, zapobiegł ściganiu psa. Któryż chłop bowiem, ujrawszy go na moczarach, a zdarzyło się to niejednemu, odważyłby się podejść do takiego potwora? Powiedziałem już w Londynie, Watsonie, i powtarzam teraz tutaj, że nigdy jeszcze nie urządziłem pościgu na człowieka niebezpieczniejszego niż ten, który leży tam.

To mówiąc, wskazał ręką na rozległe, zasiane zielonymi kępami trzęsawisko, które zlewało się w dali z rdzawymi stokami wzgórz na moczarach.



Odnalezienie
szczątków psa
Mortimera.

XV. RZUT OKA WSTECZ



Czas akcji
– ostatnie dni
listopada.

W ostatnich dniach listopada, w zimny, mglisty wieczór, Holmes i ja siedzieliśmy w bawialni przy ulicy Baker, przed kominkiem, w którym płonął wesoły ogień.

Od czasu tragicznego zakończenia naszego pobytu w Devonshire Holmes zajęty był przeprowadzaniem dwóch spraw niezmierniej wagi. W jednej wykrył ohydne postępowanie pułkownika Upwooda w związku z głośnym skandalem karcianym w klubie „Nonpareil”; w drugiej zaś uwolnił nieszczęśliwą panią Montpensier od zarzutu morderstwa, jaki na niej ciążył w związku ze śmiercią pasierbicy, panny Carère, młodej osoby, którą w pół roku później odnaleziono w Nowym Jorku nie tylko żywą, ale i zamężną.

Pomyślny wynik obu tych spraw, trudnych i ważnych, wprawił mego przyjaciela w wyśmienity humor, tak że mogłem zaryzykować rozmowę o szczegółach dotyczących tajemnicy Baskerville’ów. Czekałem cierpliwie na odpowiednią sposobność, wiedziałem bowiem, że Holmes nie lubi, aby mu przeszkadzać w pracy i odrywać jego umysł, jasny i metodyczny, od nowych zajęć wspomnieniami przeszłości.



Odwiedziny
sir Henryka
i Mortimera
u Holmesa na
Baker Street.

Ale sir Henryk i doktor Mortimer bawili w Londynie, wybierając się w ową długą podróż, zaleconą baronetowi dla wzmocnienia nadwyreżonych nerwów; a że odwiedzili nas po południu, przeto rozmowa o tragicznych zajściach na moczarach nasunęła się sama przez się.



Wyjaśnienie
zagadki przez
Holmesa.

– Cały bieg wypadków – mówił Holmes – był, z punktu widzenia człowieka, który nazwał siebie Stapletonem, jasny i zrozumiały, jakkolwiek nam, którzy nie znaliśmy początkowo pobudek jego czynów i zaliśmy tylko część faktów, sprawa wydawała się niesłychanie zawiślana. Miałem sposobność rozmawiać dwukrotnie z panią Stapleton; wyjaśniła mi ona różne szczegóły tak jasno, że zdaje mi się, iż nie ma już dla mnie w tej sprawie tajemnic. Pod literą B znajdziesz w moich aktach różne dotyczące jej notatki.

– Może zechciałbyś z pamięci opowiedzieć mi pokrótce najważniejsze szczegóły?

– Owszem, chociaż nie mogę ręczyć, że zapamiętałem wszystkie. Natężone wysiłanie umysłu ma ten ciekawy skutek, że zaciera zupełnie w naszej pamięci przeszłość. Tak na przykład adwokat znający swoją sprawę na wylot i rozprawiający

swobodnie z każdym świadkiem o najdrobniejszych szczegółach spostrzega, że w tydzień lub dwa po obronie nic już nie pamięta. Tak samo też ostatnia moja sprawa zaciera zawsze w mym umyśle przedostatnią, a panna Carère zastąpiła w mej pamięci sir Henryka Baskerville'a. Jutro przyjdzie mi znów rozstrzygnąć nowe zadanie, które z kolei zatrze wspomnienie pięknej panny i nikczemnego Upwooda.

Sprawa psa wszelako utkwiła mi lepiej w pamięci i postaram się opowiedzieć z możliwą dokładnością bieg wypadków; gdybym zaś zapomniał jakiegoś szczegółu, przyjdiesz mi z pomocą.

Otóż, poszukiwania moje wykazały niezbicie, że portret nie kłamał. Stapleton pochodził istotnie z rodu Baskerville'ów. Był on synem młodszego brata sir Karola, owego Rogera Baskerville'a, który, skutkiem skandalicznych postępków, uciekł do Ameryki Południowej i tam umarł, jak mówiono, kawalerem. Tymczasem stwierdziłem na pewno, że był żonaty i miał jedno dziecko, tego nędznika, który nazywał się, oczywiście, jak ojciec.



Historia Stapletona.

Syn poślubił pannę Beryl Garcia, znaną pięknością z Kostaryki, a ukradłszy znaczną sumę z funduszy publicznych, zmienił nazwisko na Vandeleur i uciekł do Anglii, gdzie założył szkołę w małej miejscowości zachodniego Yorkshire'u. Do obrania tego właśnie zawodu nakłoniła go znajomość zawarta w podróży z powracającym do kraju nauczycielem chorym na suchoty. Wyzyskał na swoją korzyść jego umiejętności, ale Fraser, ów nauczyciel, umarł i szkoła, która miała początkowo powodzenie, upadała coraz bardziej, aż w końcu miała najgorszą sławę.



Zmiana nazwiska na Vandeleur, założenie szkoły i jej upadek.

Vandeleur uznał za stosowne przybrać znów nazwisko Stapleton i przeniósł resztki majątku, plany na przyszłość oraz upodobanie do owadoznawstwa na południe Anglii. Dowiedziałem się w Muzeum Brytyjskim, że był on uznanym autorytetem w tej dziedzinie i że nazwisko Vandeleur przywiązano na zawsze do pewnego gatunku ćmy, którą pierwszy opisał podczas pobytu w Yorkshire.

Teraz przechodzimy do tej części jego życia, która swego czasu pochłaniała całą naszą uwagę. Przeprowadził widocznie poszukiwania i dowiedział się, że tylko dwa życia ludzkie stały między nim a znaczną fortuną. Zdaje mi się, że gdy przybył do Devonshire, plany jego były jeszcze bardzo mgliste, ale fakt, że zabrał z sobą żonę udającą siostrę, dowodził jasno, że od razu miał złe zamiary. Myśl użycia jej jako przynęty skryształizowała się wyraźnie w jego mózgu, chociaż nie wiedział jeszcze dokładnie, jak przeprowadzi ten spisek.



Plan zagarnięcia majątku.

Był zdecydowany zagarnąć majątek i gotów do użycia wszelkich sposobów, do narażenia się na wszelkie niebezpieczeństwa, byle ten cel osiągnąć. Przede wszystkim więc zamieszkał jak najbliżej siedziby swoich przodków, a następnie nawiązał przyjacielskie stosunki z sir Karolem Baskerville’em i sąsiadami.

Baronet sam opowiedział mu legendę o psie i tym przygotował niejako swoją własną śmierć. Stapleton – będą go dalej tak nazywał – wiedział, że sir Karol ma wadę serca i że nagły szok zabije go niechybnie. Powiedział mu to doktor Mortimer. Słyszał również, że baronet jest przesądny i że bierze zupełnie na serio ponurą legendę. Wielce pomysłowy z natury, obmyślił więc sposób sprowadzenia śmierci na baroneta tak, iżby niepodobieństwem było dowieść winy istotnemu mordercy.

Powziąwszy tę myśl, zabrał się do wprowadzenia jej w czyn z niesłychanym sprytem. Pospolity zbrodniarz zadowoliliby się użyciem dzikiego psa. Zastosowanie sztucznych środków dla nadania zwierzęciu pozorów jakiegoś piekielnego potwora było z jego strony pomysłem genialnym.



Kupno psa.

Kupił psa w Londynie, u Rossa i Manglesa, handlarzy zwierząt na Fulham Road. Był największy i najdzikszy, jakiego mieli. Przywiózł go koleją do North Devon i szedł kawał drogi przez moczary piechotą, aby dostać się do domu, nie zwracając uwagi. Podczas pogoni za owadami odkrył ścieżkę przez Trzęsawiska Grimpeńskie i znalazł bezpieczną kryjówkę dla psa. Tam też uwiązał go na łańcuchu i czekał na odpowiednią sposobność.

Czekanie trwało dość długo. Niepodobna było wywabić starego dżentelmena nocą poza obręb parku. Stapleton włóczył się kilkakrotnie wraz z psem w pobliżu, ale na próżno. Podczas tych bezskutecznych wędrówek chłopci dostrzegli jego towarzysza, co wskrzesiło na nowo legendę.

Stapleton spodziewał się, że żona dopomoże mu doprowadzić sir Karola do zguby, ale niespodziewanie spotkał się z oporem. Nie chciała uwikłać starego dżentelmena w sidła miłosne i wydać go tym sposobem w ręce nieprzyjaciela. Ani groźby, ani nawet, wstyd mi to powiedzieć, ciosy nie zdołały złamać jej oporu. Nie chciała się w to wdawać pod żadnym pozorem i przez pewien czas Stapleton nie wiedział, co począć.



Oszukanie pani Lyons przez Stapletona.

Sir Karol, który zapałał do niego żywą sympatią, sam wybałwił go z kłopotu, powierzając mu zapomogi przeznaczone dla nieszczęśliwej pani Laury Lyons. Przedstawiwszy się jej jako kawaler, Stapleton opanował ją zupełnie i dał biednej kobiecie do zrozumienia, że gdyby uzyskała rozwód, ożeniłby się z nią. Skoro tylko dowiedział się, że sir Karol ma wyjechać z porady doktora Mortimera, którego zdanie pozornie popierał gorąco – Stapleton postanowił działać bez zwłoki,

w obawie, że ofiara wymknie mu się na zawsze. Nakłonił więc panią Lyons, by napisała ów list, błagający starego dżentelmena o chwilę rozmowy w przeddzień wyjazdu do Londynu. Następnie obłudnym argumentem powstrzymał ją od pójścia i w ten sposób wytworzył sposobność, na którą czekał.



Wpływ Stapletona na panią Lyons, realizacja planu zabójstwa sir Karola.

Powracając wieczorem z Coombe Tracey, zdążył zabrać swego psa, wysmarować go tą piekielną mieszaniną i zaprowadzić pod furtkę, gdzie stary dżentelmen miał czekać.

Pies, poszczuty przez pana, przeskoczył przez furtkę i ścigał nieszczęśliwego baroneta, który krzycząc, uciekał szpalerem cisowym. Straszny musiał być istotnie w tym ciemnym szpalerze widok olbrzymiego, czarnego zwierzęcia, z gorejącym pyskiem, z ogniem w ślepiach, pędzącego za ofiarą. Baronet padł martwy na końcu szpaleru; przerażenie przyspieszyło śmiertelny atak serca.

Pies leciał po trawniku, gdy baronet biegł ścieżką, tak że tylko ślady człowieka pozostały widoczne. Widząc go leżącego, zwierzę prawdopodobnie zbliżyło się, by go obwąchać, a przekonawszy się, że nie żyje, zawróciło się. Wówczas to pozostawiło owe ślady, które dostrzegł doktor Mortimer. Stapleton przywołał psa i zaprowadził spieszenie do legowiska na trzęsawisku, a śmierć baroneta pozostała niewyjaśnioną zagadką dla policji, przeraziła całą okolicę i ostatecznie sprawa dostała się w nasze ręce.

Tyle, co do śmierci sir Karola Baskerville'a.

Rozumiesz teraz całą przebiegłość tego szatańskiego podstępu – niepodobna było znaleźć podstawy do oskarżenia prawdziwego mordercy. Jego jedyny współnik nie mógł go nigdy zdradzić, a sposób użyty przez zabójcę był tak potworny, tak niesłychany, że już to samo wzmagало jego skuteczność.

W obu kobietach wplątanych w sprawę, pani Stapleton i pani Laurze Lyons, obudziło się silne podejrzenie przeciw Stapletonowi. Pani Stapleton wiedziała o jego zamiarach względem baroneta i o istnieniu psa. Pani Lyons zaś nic nie wiedziała, ale głębokie wrażenie wywarł na niej fakt śmierci, który zaszedł właśnie w porze wyznaczonej a nieodwołanej schadzki. Obie kobiety wszakże były pod wpływem Stapletona i nie miał on potrzeby się ich obawiać. Pierwszą połowę zadania spełnił zatem z powodzeniem, pozostała wszakże druga – trudniejsza.

Być może Stapleton nie wiedział o istnieniu spadkobiercy w Kanadzie. W każdym razie dowiedział się o tym bardzo prędko od swego przyjaciela, doktora Mortimera, który wtajemniczył go też we wszystkie szczegóły przybycia Henryka Baskerville'a. Początkowo Stapleton myślał, że będzie można tego młodego przybysza z Kanady sprzątnąć ze świata w Londynie, zanim zdąży dojechać do Devonshire.



Nieufność
wobec pani
Stapleton.

Od czasu, gdy żona odmówiła mu pomocy w zastawieniu siedeł na sir Karola, nie ufał jej i nie zostawiał jej samej na czas dłuższy, w obawie, żeby nie stracił na nią wpływu. Dla tej to przyczyny zabrał ją z sobą do Londynu. Wykryłem, że mieszkali w hotelu Mexborough, przy ulicy Craven, jednym z tych, które zwiedzał mój agent, szukając dowodów. Tam Stapleton zamykał żonę w pokoju, sam zaś, przyprawivszy brodę, jeździł za doktorem Mortimerem na ulicę Baker, a potem na dworzec i do hotelu Northumberland.

Pani Stapleton domyślała się planów męża, ale bała się go do tego stopnia – obawa ta wynikała stąd, że obchodził się z nią tak brutalnie – iż nie miała odwagi napisać do człowieka, któremu groziło niebezpieczeństwo. Gdyby wpadł w ręce Stapletona, nie byłaby pewna własnego życia. Tak więc, jak wiemy, wpadła na pomysł wycięcia wyrazów z dziennika i zaadresowała list zmienionym pismem. List doszedł do baroneta i był pierwszym ostrzeżeniem przed grożącym niebezpieczeństwem.

Bardzo ważną rzeczą dla Stapletona było dostanie jakiegokolwiek części ubrania sir Henryka, tak aby w danym razie mieć w ręku środek naprowadzenia psa na jego trop. Z charakterystyczną szybkością i śmiałością przedsięwziął odpowiednie kroki i nie możemy wątpić, że przekupił w tym celu numerowego albo pokojówkę w hotelu. Przypadkiem wszakże pierwszy but, który mu przyniesiono, był nowy, a więc zupełnie nieużyteczny. Zwrócił go zatem i otrzymał inny – ten szczególnie był dla mnie bardzo cenny, gdyż dowiódł mi, że mamy do czynienia z psem z krwi i kości; inaczej bowiem niepodobna było sobie wytłumaczyć tych starań o stary but i tej obojętności dla buta nowego.



Jedna z naj-
ważniejszych
zasad dedukcji
Holmesa.

Im szczególnie jakiś jest błahszy i śmieszniejszy, tym bardziej zasługuje na dokładne zbadanie, a to samo zajście, które, zdawałoby się, wikła sprawę, rozważone bacznie i wyzyskane umiejętnie, najprawdopodobniej posłuży do jej wyjaśnienia.

Potem, następnego dnia rano, mieliśmy wizytę naszych przyjaciół, szpiegowanych ciągle przez Stapletona w dorożce. Wnosząc z tego, że wiedział, gdzie mieszkam i znał mnie z widzenia, przypuszczam, że zbrodnicza kariera Stapletona nie ogranicza się bynajmniej tym jednym zamachem na Baskerville'ów. W przeciągu ostatnich trzech lat popełniono cztery znaczne kradzieże na zachodzie Anglii, a sprawcy żadnej z nich nie schwytano. Ostatnia z tych kradzieży, w Folkestone Court, w maju, zdumiewała zimną krwią, z jaką zamaskowany złooczyńca zastrzelił służącego, który go schwytał na gorącym uczynku.



Wcześniej-
sze zbrodnie
Stapletona.

Jestem prawie pewny, że Stapleton zasilal w ten sposób swoje, zmniejszające się

z każdym dniem, środki materialne i że od wielu lat należał do rzędu najśmielszych, nie cofających się przed niczym łotrów.

Mieliśmy przykład jego sprytu i pomysłowości owego ranka, kiedy wymknął nam się tak szczęśliwie, a dał nam dowód nie tylko odwagi, ale wprost bezczelności, przesyłając mi przez doróżkarza moje własne nazwisko. Zrozumiał wówczas, że wzięłem w ręce sprawę w Londynie i że tu nic już zrobić nie zdoła. Powrócił więc do Dartmoor i czekał na przyjazd baroneta.



Stapleton:
Sprytny, brutalny,
bezczelny.

– Przepraszam, przerwij na chwilę! – rzekłem. – Opowiedziałeś bieg wypadków bardzo ściśle, ale jednego punktu nie omówiłeś wcale. Co się działo z psem podczas pobytu jego pana w Londynie?

– Usiłowałem rozwiązać i tę sprawę, niezaprzeczenie ważną. Nie ulega wątpliwości, że Stapleton miał powiernika, jakkolwiek pewien jestem, że nie zwierzył mu się nigdy ze wszystkich swoich planów, nie chcąc być od niego zależnym. Był w Merripit House stary służący, imieniem Antoni. Stosunki jego ze Stapletonami datują się od kilku lat, z czasów, kiedy Stapleton był przełożonym szkoły, tak że ów służący musiał wiedzieć, iż jego pan i pani są małżeństwem. Człowiek ten zniknął i uciekł z kraju.



Pomocnik
Stapletona
– służący
Antoni.

Otóż Antoni to nie jest imię tak pospolite w Anglii, jak Antonio w całej Hiszpanii lub w krajach hiszpańskich Ameryki Południowej. Ów służący, podobnie jak pani Stapleton, mówił dobrze po angielsku, ale dziwnym cudzoziemskim akcentem. Widziałem sam, jak szedł przez Trzęsawisko Grimpeńskie ścieżką, którą wyznaczył Stapleton. Stąd prawdopodobnym jest, że podczas nieobecności pana żywił psa, nie wiedząc wszelako, do jakich celów zwierzę służyło.

Stapletonowie powrócili zatem do Devonshire, gdzie niebawem przybył sir Henryk z tobą. A teraz kilka słów o tym, co ja wówczas robiłem. Przypominasz sobie prawdopodobnie, że oglądając papier, na którym nalepione były drukowane wyrazy wycięte z „Timesa”, badałem ściśle znak wodny. Trzymałem przy tym kartkę bardzo blisko oczu i zaleciała mnie słaba woń białego jaśminu.

Agent śledczy zajmujący się sprawami kryminalnymi powinien umieć rozróżnić siedemdziesiąt pięć gatunków perfum; niejednokrotnie, wiem to z własnego doświadczenia, wyjaśnienie sprawy zależy od szybkiego rozpoznania woni. Zapach ów dowiódł mi, że wchodzi tu w grę kobieta, a podejrzenia moje już wtedy skierowały się na Stapletonów. Tak więc przed wyjazdem do Devonshire byłem już pewien, że pies istnieje i wpadłem na trop przestępcy.

Moje zadanie polegało na śledzeniu Stapletona. Jasnym było oczywiście, że miałbym związane ręce, gdybym był z wami, bo on strzegłby się wówczas pilnie. Dlatego też wyprowadziłem w pole wszystkich, nie wyłączając ciebie, i gdy myśle-

liście, że jestem w Londynie, przyjechałem potajemnie do Dartmoor. Niewygodny jak znoś, nie były takie straszne, jak sobie wyobrażałeś, jakkolwiek podobne błahostki nie powinny nigdy być przeszkodą w prowadzeniu śledztwa.



Pobył Holmesa na moczarach.

Mieszkałem przeważnie w Coombe Tracey, a z pieczary na moczarach korzystałem tylko wtedy, gdy moja obecność w pobliżu widowni akcji była potrzebna. Wziąłem z sobą Cartwrighta, który, w przebraniu wieśniaczym, był mi wielką pomocą. Zaopatrywał mnie w żywność i czystą bieliznę, a gdy ja śledziłem Stapletona, Cartwright miał na oku ciebie, tak że mogłem trzymać w ręku wszystkie nici.

Powiedziałem ci już, że twoje raporty dochodziły mnie szybko, bo wysyłano je niezwłocznie z ulicy Baker do Coombe Tracey. Były mi bardzo pożyteczne, a zwłaszcza ten, który zawierał przypadkowo prawdziwe szczegóły biografii Stapletona. Pozwoliło mi to stwierdzić tożsamość ich obojga i dzięki temu wiedziałem, czego się trzymać. Sprawa powikłała się bardzo skutkiem zajścia ze zbiegłym więźniem i jego stosunków z Barrymore³ami. Ale wyjaśniłeś i to w sposób bardzo skuteczny, jakkolwiek doszedłem do tego samego wniosku na zasadzie własnych spostrzeżeń.

Gdy odnalazłeś mnie na moczarach, wiedziałem już o wszystkim, nie mając wszakże dowodów wystarczających do oddania Stapletona pod sąd. Nawet jego zamach na sir Henryka tej samej nocy, zakończony śmiercią nieszczęśliwego więźnia, nie dostarczył nam wyraźnego dowodu winy mordercy. Nie pozostało zatem nic innego, jak tylko schwytać go na gorącym uczynku, a chcąc tego dopiąć, trzeba było użyć samego sir Henryka, na pozór bezbronnego, jako przynęty.

Tak też uczyniliśmy i kosztem gwałtownego wstrząśnienia nerwów naszego klienta wykryliśmy ostatecznie wszystko i doprowadziliśmy Stapletona do zguby.

Przyznaję, że robię sobie wyrzuty, iż naraziłem na to baroneta, ale nie mogliśmy przecież przewidzieć przerażającej postaci, pod jaką ukazało się zwierzę, ani też przecuć mgły, która uniemożliwiła nam dostrzeżenie go z daleka. Osiągnęliśmy cel kosztem zdrowia sir Henryka, lecz zarówno wezwany specjalista, jak i dr Mortimer zapewnili mnie, że choroba minie szybko. Długa podróż wyleczy nie tylko nerwy, ale i serce naszego przyjaciela. Miłość jego dla pani Stapleton była głęboka i szczerą, a najsmutniejszą stroną całej tej ponurej sprawy jest dla niego to, że zawiódł się na ukochanej kobiecie.



Próby sprzeciwu pani Stapleton.

Pozostaje mi tylko objaśnić rolę, jaką ona w tym wszystkim odegrała. Nie ulega wątpliwości, że Stapleton wywierał wpływ na nią bądź miłością, bądź strachem, a może obu uczuciami, skoro jedno nie wyłącza bynajmniej drugiego. Na jego żądanie zgodziła się uchodzić za jego siostrę; wszelako władza jego nad nią skończyła się, gdy usi-

łował uczynić z niej bezpośrednie narzędzie zbrodni. Ostrzegła sir Henryka i to niejednokrotnie, jednakże o tyle tylko, o ile się dało bez narażenia męża.

Stapleton był najwidoczniej zazdrosny; skoro bowiem spostrzegł, że baronet stara się o względy jego żony, nie mógł, choć to wchodziło w zakres jego planów, powstrzymać się od namiętnego wybuchu, który odsłonił całą gwałtowność jego charakteru, tak umiejętnie pokrywaną pozornym chłodem i powściągliwością. Zachęcając oboje do poufałości, zapewnił sobie częste odwiedziny sir Henryka w Merripit House, a tym samym, prędzej czy później, upragnioną sposobność.

W kluczowym dniu wszakże żona nagle zajęła wrogie stanowisko. Słyszała coś o śmierci więźnia i wiedziała, że pies był w pawilonie w ogrodzie tego dnia, kiedy sir Henryk miał przyjść na obiad. Oskarżyła męża, że zamierza popełnić zbrodnię i nastąpiła straszna scena, podczas której mąż dał jej po raz pierwszy do zrozumienia, że ma rywalkę. W jednej chwili jej wierność zamieniła się w namiętą nienawiść i Stapleton pojął, że żona go zdradzi. Dlatego też, żeby nie mogła ostrzec sir Henryka, związał ją i zamknął. Spodziewał się niewątpliwie, że gdy cała okolica przypisywałaby śmierć baroneta kłątwie ciążyącej na rodzinie – co nastąpiłoby niewątpliwie – zdołałby nakłonić żonę do pogodzenia się z faktem dokonanym i zamilknienia.



Bunt żony
Stapletona.

Zdaje mi się, że przeliczył się co do tego i że nawet bez naszego wmieszania się los jego był postanowiony. Kobieta z krwią hiszpańską w żyłach nie przebacza tak łatwo podobnej zniewagi.

A teraz, mój drogi, nie mógłbym opowiedzieć ci więcej szczegółów tej ciekawej sprawy bez uciekania się do pomocy swoich notatek. Myślę jednak, że żadnego ważnego zajścia nie pominąłem.

– Chyba jednak Stapleton nie spodziewał się, że sir Henryk padnie trupem jak stryj, ze strachu na widok tego piekielnego psa?

– Zwierzę było dzikie i zgłodniałe. Jeśli sam widok psa nie przyprawiłby ofiary o zgon ze strachu, to byłby niezawodnie uniemożliwił wszelki opór.

– Niewątpliwie. Pozostaje jednak jeszcze jedna trudność. Gdyby Stapleton został spadkobiercą tego majątku, w jaki sposób wytłumaczyłby fakt, że mieszkał tak długo pod zmienionym nazwiskiem w najbliższym sąsiedztwie posiadłości Baskerville'ów? W jaki sposób mógłby zgłosić swoje prawa do tego majątku, nie budząc podejrzeń?

– Byłaby to istotnie sprawa bardzo trudna; żądasz, doprawdy, zbyt wiele ode mnie, chcąc, żebym ci rozwiązał to zagadnienie. Przeszłość i teraźniejszość wchodzi w zakres moich badań, ale powiedzieć, co człowiek może uczynić w przyszłości, to ciężkie zadanie. Pani Stapleton słyszała niejednokrotnie, jak mąż rozważał tę

kwestię. Trzy drogi mogły go doprowadzić do celu. Albo upomniałby się o spadek z Ameryki Południowej, stwierdziłby tam swoją tożsamość przed władzami brytyjskimi i otrzymałby majątek, nie przyjeżdżając wcale do Anglii; albo w umiejętnym przebraniu zamieszkałby na potrzebny czas w Londynie; albo wreszcie znalazłby współnika, zaopatrzyłby go w dowody i papiery przedstawiające go jako spadkobiercę i wynagrodziłby go następnie pewną częścią swoich dochodów. Sądząc z tego, co wiemy o Stapletonie, nie możemy wątpić, że dałby sobie radę. A teraz, mój drogi, mieliśmy kilka tygodni ciężkiej pracy i sądzę, że mamy prawo skierować myśli na weselsze tory. Mam lożę na *Hugonotów*. Słyszałeś Reszków? Czy mogę cię zatem prosić, żebyś był gotów za pół godziny? Wstąpimy po drodze na obiad do Marciniogo.

PIĘĆ PESTEK POMARAŃCZY

Przeglądając moje zapiski i notatki dotyczące się działalności Sherlocka Holmesa, znajduję w nich tyle niezwykłych i zajmujących wydarzeń, że doprawdy byłbym w kłopotcie, gdyby mi kazano wybrać z nich najciekawsze. Wiele z tych wydarzeń doszło już do wiadomości ogółu dzięki prasie, która rozniosła je po całym świecie; inne za to, być może te właśnie, w których najlepiej uwidoczniły się cechy wyróżniające mojego przyjaciela ze wszystkich detektywów świata, czekają nadal na odpowiedni rozgłos.

Niektóre z tych zagadek były zbyt proste, zbyt naiwne nawet, aby je warto było opowiadać, niektóre jednak były tak zawikłane, tak umiejętnie przeprowadzone, że wykrycie w nich zbrodni opierać się musiało raczej na intuicji, na teorii prawdopodobieństwa niż na jakichkolwiek logicznych lub rzeczowych danych. Tego rodzaju sprawy najbardziej cieszyły Sherlocka Holmesa i pobudzały całą jego energię. Jeden z tych wypadków kryminalnych był tak niezwykłym, takie straszne pociągnął za sobą skutki, że pragnę go opowiedzieć w całości, chociaż wiele pozostało w nim punktów niewyjaśnionych, które już zapewne nigdy wyjaśnionymi nie będą.

W ogóle parę ostatnich lat obfitowało w ogromną liczbę zbrodniczych wydarzeń; notatki moje wspominają o Stowarzyszeniu Żebraków, które w piwnicach pewnego domu handlowego miało swój tajemniczy klub urządzony z niezwykłym przepychem, dalej znajduję w nich wzmiankę o zbrodniczym zatopieniu parowca „Zofia Anderson,” o niezwykłych przygodach Patersona na wyspie Uffie, o sprytnym otruciu Cambervella. W tej ostatniej sprawie, pozbawionej wszelkich danych, które mogłyby naprowadzić na jakikolwiek ślad, Sherlock Holmes wykrył zbrodniarza przez nakręcenie zegarka ofiary, wykazując jednocześnie, że zegarek ów na dwie godziny przed śmiercią denata był nakręcony i że zaraz potem nieszczęśliwa ofiara położyła się do łóżka, co dla samej sprawy miało decydujące znaczenie.

Z tych wszystkich wypadków najbardziej niezwykłym i nawet tragicznym jest jednak ten, który zamierzam opowiedzieć poniżej.



Sherlock Holmes jest sławnym detektywem – o jego sukcesach informuje prasa na całym świecie.



Ambicja Holmesa: Najbardziej lubi trudne sprawy.



Informacje o ostatnich śledztwach Holmesa.



Czas akcji – koniec września, rok nieokreślony.

Było to w ostatnich dniach września. Burze jesienne od paru dni srożyły się z niezwykłą mocą, wiatr wył od rana i ulewny deszcz tłukł o szyby z taką siłą, że ludzie odrywali się mimowolnie od swoich zwykłych zajęć i w tym olbrzymim, zbudowanym ręką ludzką Londynie, wśród wynalazków cywilizacji drżeli przed potęgą sił natury, które tam za oknami ryczały i wyły niby uwolnione z pęt dzikie bestie.

Wieczorem burza wzmogła się jeszcze i wiatr, wpadając przez komin, jęczał i łkał, jak płaczące dziecko. Sherlock Holmes siedział przed ogniem i milczący, zadumany podpisywał okładki swoich akt kryminalnych, ja zaś pogрузyłem się całkowicie w czytaniu jednego z owych zajmujących romansów morskich Clarka Russela. Dzikie odgłosy burzy harmonizowały doskonale z treścią czytanej przeze mnie książki i chwilami, pod wpływem monotonnego plusku deszczu, zapominałem o otoczeniu i zdawało mi się, że słyszę zbliżający się szum bałwanów morskich, które za chwilę pochłonąć mnie miały całkowicie.



Miejsce akcji – ulica Baker, mieszkanie Holmesa.

Moja żona bawiła chwilowo u swojej ciotki, ja zaś na czas jej nieobecności wróciłem do mego dawnego kącika przy ulicy Baker.

– Co to? – zapytałem nagle, podnosząc głowę. – Ktoś dzwoni na dole. Kto to może być o tej porze? Chyba tylko ktoś z twoich przyjaciół!



Holmes jest samotnikiem; Watson jest jego jedynym przyjacielem.

– Oprócz ciebie, Watsonie, nie mam żadnego – odparł Holmes krótko – i jak wiesz, nikogo nie zapraszam.

– A więc to jakiś klient!

– Zapewne. Dla drobnostki nikt nie narażałby się na taką jak dzisiejsza niepogodę. Chociaż może to któraś z przyjaciółek mojej gospodyni.

Sherlock Holmes pomylił się tym razem. Na schodach dały się słyszeć kroki i po chwili lekko zapukano do drzwi. Detektyw odwrócił szybko lampę w ten sposób, aby światło jej padło na puste miejsce, które miał zająć nieznan przybysz, i zawołał:

– Proszę!



Przybycie Johna Openshawa.

Openshaw:
Wygląd zewnętrzny.

Na to zaproszenie drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł młody, mający około dwudziestu dwóch lat mężczyzna. Wysoki, dobrze zbudowany, o ruchach elastycznych i wytwornych, znamionujących staranne wychowanie, w odzieży czystej i eleganckiej robił wrażenie człowieka obeznanego ze zwyczajami towarzyskimi. W rękę trzymał ociekający wodą parasol i błyszczący gumowy płaszcz. Oślepiiony

blaskiem lampy niespokojnie obejrzał się dokoła, a na bladej twarzy i w szafirowych oczach malował mu się wyraz troski.

– Przepraszam za tak późną i niespodziewaną wizytę – rzekł, nakładając złote binokle – mam jednak nadzieję, że nie przeszkadzam panu. Nie chciałbym tylko wnieść śladów błota do tego miłego pokoju.

– Proszę podać mi płaszcz i parasol – rzekł uprzejmie Holmes.

– Tutaj, przy kominku, prędzej wyschną. Jak widzę, przybywa pan z południowego zachodu?

– Tak jest, z Horsham.

– Pańskie obuwie pokazuje to dostatecznie – roześmiał się detektyw – pokryte jest warstwą gliny i wapna.

– Przybyłem do pana z prośbą o radę.

– Jestem do pańskich usług.

– I o pomoc.

– To już jest o wiele trudniejszym.

– Słyszałem o panu, panie Holmes. Major Prendergast mówił mi, że wyratował go pan z bardzo trudnego położenia.

– Tak jest – odparł Holmes spokojnie. – Został podstępnie oskarżony o fałszerstwo w karty.

– Powiedział mi – ciągnął dalej młody człowiek – że pan umie wykryć wszystko.

– W takim razie powiedział zbyt wiele – odrzekł Holmes z uśmiechem.

– Proszę powiedzieć – zająknął się młodzieniec – czy nigdy pana nie oszukano?

– Owszem – uśmiechnął się znowu mój przyjaciel. – Dałem się zwieść cztery razy: trzy przez mężczyzn, a raz przez kobietę.

– Cóż to znaczy wobec tylu powodzeń?

– Rzeczywiście, nie jest to zbyt wiele, powodzenie stale mi dopisuje.

– Dałby Bóg, aby nie zawiodło pana i w mojej sprawie.

– Proszę przysunąć fotel do ognia i opowiedzieć, co pana właściwie do mnie sprowadza. W czym mogę być panu pomocnym?

– Jest to rzecz niezwyklej wagi.

– Domyślałem się – przerwał Holmes. – Ludzie nie zwracają się do mnie w drobnych sprawach. Jestem jakby ostatnią instancją – dodał z uśmiechem.

– Podziwiam umiejętności pana i jego imponujące wyniki – rzekł po chwili młody człowiek – a jednak wątpię, czy w swej



Holmes tylko cztery razy dał się oszukać.



Klienci Holmesa zwracają się do niego z najbardziej zawikłanymi sprawami, których nikt nie jest w stanie rozwiązać.

praktyce napotkał pan kiedykolwiek bardziej tajemniczy łańcuch wypadków niż ten, który dotknął naszą rodzinę i prześladuje nas z ojca na syna.

– Zaciekawia mnie pan – rzekł Holmes z nagłym błyskiem w oczach. – Proszę opowiedzieć swoją sprawę w głównych zarysach, o szczegóły pytać będę w miarę potrzeby.

Młody człowiek przysunął swój fotel do ognia i wyciągnął przemoczone nogi.



Opowieść
Openshawa.

– Nazywam się – zaczął – John Openshaw. Moje osobiste sprawy nie mają ze sprawą nic wspólnego, nie będę więc rozwodził się nad nimi. Ponieważ tutaj chodzi o sprawę pewnego rodzaju dziedziczenia zemsty, muszę się cofnąć aż do czasu mojego dzieciństwa, aby dać panu jak najjaśniejszy pogląd na przebieg faktów i wydarzeń.

Dziadek mój miał dwóch synów: mego stryja – Eliasza i mego ojca – Józefa. Ojciec mój miał niewielką fabryczkę w Coventry, która przynosiła mu dość przyzwoite dochody. Dochody owe zwiększyły się jeszcze, kiedy mój ojciec opatentował swój wynalazek „wzmocnionych kół”, pomimo to jednak, dorobiwszy się pewnego kapitału, ojciec sprzedał fabrykę i jako rentier przeniósł się do miasta.

Stryj mój, Eliasz, jako młody chłopiec wyemigrował do Ameryki, gdzie podobno zrobił majątek i kupił sobie jakąś plantację na Florydzie. Wiem, że przyjął tamtejsze obywatelstwo i brał udział w wojnie o niepodległość; wiem też, że bił się pod Hood i że Jackson na polu bitwy mianował go pułkownikiem.

Kiedy Lee ostatecznie złożył broń, mój stryj wrócił na swoją plantację, lecz po trzech czy czterech latach zupełnie niespodziewanie wrócił do Anglii. Tutaj kupił sobie niewielką posiadłość w hrabstwie Sussex niedaleko Horsham. Jako przyczynę swego nagłego powrotu podawał zawsze niechęć do republikańskiego rządu, który przyznawał wolność Murzynom, z czym mój stryj z dziwnym uporem nie chciał się



Charakterystyka
stryja Eliasza.

pogodzić. Był to dziwak skończony; ponury, gwałtowny, niezwykle podejrzliwy, unikał ludzi z uporem maniaka, nie chcąc się widzieć nawet ze swymi dostawcami. Jestem głęboko przekonany, że od czasu zamieszkania w swej posiadłości nie był ani razu w mieście,

wystarczał mu najzupełniej spacer po ogrodzie, którego kręte ścieżki przebiegał szybkim, niespokojnym krokiem. Najczęściej jednak całymi tygodniami siedział zamknięty w swoim pokoju, nie dopuszczając do siebie nikogo, nawet rodzonego brata. Pił dużo wódki, palił namiętnie, a życie prowadził regularne jak w zegarku. Do mnie chyba tylko jednego nie czuł wyraźnej niechęci, zdawało się nawet, że jakaś zapomniana struna w sercu poruszyła się w nim na mój widok, jako drobno, dwunastoletniego chłopca. Po długich pertraktacjach z ojcem zabrał mnie ze sobą i odtąd mieszkaliśmy z nim aż do samej jego śmierci. Stryj lubił mnie na

swój sposób i, jak umiał, okazywał mi swoje uczucia, grając ze mną w chwilach dobrego humoru w karty lub szachy.

W zamian za to musiałem mu załatwiać wszelkie interesy: wydawać służbie rozkazy i zarządzać domem. Miałem wtedy szesnaście lat.

Wszystkie klucze były w moim ręku z wyjątkiem jednego – od niewielkiego pokoju na górze, do którego wstęp był surowo wzbroniony. Z dzieciinną ciekawością zaglądałem nieraz przez dziurkę od klucza do owego tajemniczego przybytku, lecz nic nie mogłem dojrzeć, prócz starego kufra i kilku węzłków, które tam widocznie przechowywał.

Pewnego dnia w marcu położyłem przed nakryciem stryja list z zagranicznym stemplem. Był to wypadek nadzwyczajny, gdyż stryj nie korespondował z nikim, a rachunki swoje załatwiał od razu gotówką.



Nadejście listu z Indii z pestkami.

– Co to jest? – zapytał stryj, siadając do stołu i biorąc kopertę do ręki. – Z Indii, z Pondicherry? Ciekawe od kogo?

Rozerwał kopertę i pięć suchych pestek z pomarańczy wypadło z niej na jego talerz. Roześmiałem się na tak oryginalną zawartość niezwykłego listu, lecz kiedy spojrziałem na stryja, śmiech zamarł mi na ustach. Twarz miał powleczonej jakąś szarą bladością, wargi kurczowo zaciśnięte, a oczy w dzikim przerażeniu wpatrywały się w tajemniczą kopertę, która wypadła mu z drżącej ręki i leżała teraz na talerzu, przykrywając owe pięć pestek.



Przerażenie stryja.

– K. K. K.! – szepnął wreszcie stryj jakimś głuchym, zdławionym głosem. – Boże mój, stare grzechy mścić się poczynają!

– Co to znaczy, stryju? – wyjąkałem zdziwiony i przerażony.

– Co to znaczy? – powtórzył na wpół przytomnie. – To znaczy śmierć!

I zerwawszy się z miejsca, poszedł na górę, gdzie zamknął się na klucz w swoim pokoju. Zostałem sam, łamiąc sobie głowę nad rozwiązaniem tej dziwnej zagadki. Po odejściu stryja wziąłem nieszczęsną kopertę do ręki i zacząłem ją obracać na wszystkie strony. Na odwrotnej stronie czerwonym atramentem wypisane były trzy niezgrabne litery K, poza tym koperta była pusta i prócz owych pięciu pestek widocznie nic więcej nie zawierała.

Co to wszystko znaczy? – zapytywałem sam siebie. Dlaczego stryj był taki przerażony tą przesyłką? Czyżby naprawdę mu groziło jakieś niebezpieczeństwo?

Nie umiałem znaleźć odpowiedzi i nie skończywszy śniadania, wyszedłem z pokoju, chcąc się przejść po ogrodzie. W sieni spotkałem wychodzącego ze swego pokoju stryja. W jednym ręku trzymał wielki zardzewiały klucz od tajem-

niczego pokoju, w drugim żelazną kasetkę, podobną do tych, w jakich zwykle przechowuje się pieniądze.

– Mogą zynić, co im się podoba – szeptał do siebie z jakąś ponurą zawziętością – ja im nie ulegnę! – Ujrawszy mnie, zwrócił ku mnie głowę i rzekł rozkazująco:

– Powiedz Marii, żeby rozpałiła u mnie ogień i pošlij natychmiast po pana Fordama, adwokata z Horsham.

Natychmiast wykonałem to polecenie i wyszedłem zamyślony do ogrodu.



Spalenie papierów i napisanie testamentu.

W kilka godzin później stryj przysłał po mnie. Kiedy wszedłem do jego pokoju, na kominku dogasał ogień, przedzierając się przez całą masę popiołu jakby po spalonych papierach; obok stała otworzona kasetka, pusta już teraz, a na odwrotnej stronie wieka z daleka widać było wyryte trzy litery K.

– Johnie – rzekł stryj – muszę zrobić testament i pragnę, abys był drugim świadkiem. Cały mój majątek w ziemi i gotówce zapisuję mojemu bratu, a twe-mu ojcu, który bez wątpienia przekaze go tobie. Jeżeli ojciec twój będzie mógł to uczynić w spokoju, przyjmij dziedzictwo bez zastrzeżeń, gdyż wszystko jest w porządku. W przeciwnym razie pamiętaj, że razem z majątkiem zostawiam ci w spuściznie nieprzejednanego wroga. Przykro mi, mój chłopcze, że ci zostawiam takiej wątpliwej wartości spadek, ale nie jestem pewien, jak się rzeczy ułożą. Tymczasem podpisz ten papier, który ci pan Fordam pokazuje.

Złożyłem żądany podpis i adwokat schował starannie papier do swojej teki.

Wszystko to, jak się pan zapewne domyśla, zrobiło na mnie silne wrażenie. Nie mogłem i nie umiałem pozbyć się jakiegoś niewytłumacznego niepokoju, jakichś dziwnych obaw, które mnie nie opuszczały nawet w nocy; w miarę jednak upływającego czasu, kiedy nic nadzwyczajnego nie zachodziło w naszym cichym, spokojnym życiu, uczucia te powoli poczynały się zacierać.



Niepokój i dziwne zachowanie stryja.

Stryj jednakże od tego czasu zmienił się bardzo. Jego zwykła mizantropia doszła do szczytu: całymi dniami przesiadywał w swoim pokoju zamknięty na klucz i zatarasowany, mając za jedyne towarzyski fajkę i olbrzymią butelkę wódki, którą wypijał całą.

Niekiedy tylko wpadał w jakiś szał niepokoju; biegał wtedy po domu i ogrodzie z rewolwerem, grożąc komuś niewidzialnemu, krzycząc, że nie boi się nikogo, nawet samego diabła i że nie da się złapać jak głupia owca w owczarni. Kiedy atak przechodził, wracał znowu do domu przygnębiony jak człowiek, który pragnie ukryć się przed wyrzutami własnego sumienia. Czoło miał zwykle zroszone obfitym potem, choć dni były nadzwyczaj chłodne. Nie mogę nadużywać pańskiej cierpliwości, pomijam więc szczegóły i śpieszę do końca.

Pewnej nocy wybiegł podczas takiego ataku z domu i już więcej nie wrócił.

Kiedyśmy go rano zaczęli szukać, znaleźliśmy go nad małym błotnistym stawem. Leżał górną połową ciała w wodzie. Ponieważ woda w stawie miała zaledwie dwie stopy głębokości, a na ciele stryja ani w jego ubraniu nie było najmniejszych śladów jakiegokolwiek przemocy lub gwałtu, przeto nasz sąd przysięgłych orzekł, że było to samobójstwo w napadzie szału. Wszyscy zgodzili się na to orzeczenie, ja jednak odpierałem je wszelkimi siłami duszy. Znając stryja, wiedziałem, jak był przywiązany do życia, jak każda myśl o śmierci była mu przykrą i jak instynktownie odsuwał ją od siebie.



Zagadkowa śmierć stryja.

Nie mogłem jednak mówić o tym głośno i musiałem zgodzić się z faktem dokonany. Ojciec mój odziedziczył po stryju posiadłość w Horsham i około czternastu tysięcy funtów, złożonych do jego rozporządzenia w banku.



Przejęcie majątku przez ojca Openshawa.

– Chwileczkę – przerwał Holmes. – Pańska sprawa należy do najciekawszych, jakie zdarzyło mi się prowadzić. Ale mniejsza o to. Czy może mi pan określić dokładnie, kiedy stryj otrzymał ów list z pestkami i kiedy nastąpiło rzekome samobójstwo?

– List przyszedł dziesiątego marca, a śmierć nastąpiła w siedem tygodni później, drugiego maja.

– Dziękuję. Słucham dalej.

– Kiedy ojciec mój objął dziedzictwo, na moje prośby przede wszystkim przesukał najstaranniej ów tajemniczy pokój. Stała tam jeszcze owa próżna kasetka z wrytymi na wieku trzema K., pod którymi widniała naklejona tabliczka z napisem: „Listy, zawiadomienia, kwity i rejestry”. Prawdopodobnie służyła ona do przechowywania papierów, po których popiół widziałem wówczas w kominku. Poza tym w pokoju nie było nic godnego uwagi, prócz kilku świstków i starych notatek z pobytu stryja w Ameryce. Niektóre z nich pochodziły z czasów wojny i wskazywały, że stryj spełniał obowiązki swoje sumiennie i zasłużył na miano dzielnego żołnierza, inne znowu odnosiły się do czasów jego powrotu na Florydę i traktowały przeważnie o kwestiach politycznych.

W styczniu ojciec mój przeniósł się ostatecznie do Horsham i zaczęliśmy żyć cicho i spokojnie. Tak minął rok. Czwartego stycznia następnego roku siedzieliśmy, pamiętam, przy śniadaniu, kiedy przyniesiono pocztę. Sięgnąłem po dzienniki, ojciec zaś zaczął przeglądać listy, kiedy nagle okrzyk zdumienia wybiegł mu na usta. Spojrzałem na niego i ujrzałem go siedzącym nieruchomo nad otwartą kopertą, podczas kiedy na dłoni jego leżało pięć suchych pomarańczowych pestek. Dotychczas ojciec mój śmiał się zawsze z „bajeczki o pestkach pułkownika”, jak nazywał moje opo-



Nadejście listu do ojca.

wiadanie o przygodzie stryja, teraz jednak zapomniał o śmiechu i z bezmiernym zdumieniem wpatrywał się w nieoczekiwaną przesyłkę.

– Na Boga, co to ma znaczyć, Johnie? – wyjąkał wreszcie.

– To są owe trzy K. – rzekłem, czując, że serce przestaje mi bić.

– Prawda! – zawołał, odwracając kopertę. – Ale, patrz, tu jeszcze coś napisano...

– Połóż papiery na kompasie – przeczytałem, zaglądając mu przez ramię.

– Co za papiery, na jakim kompasie? – pytał mój ojciec, coraz mniej rozumiejąc.

– W ogrodzie – odrzekłem. – Nie mamy tutaj innego. Co zaś do papierów, to obawiam się, że chodzi o te, które stryj spalił.

– Ach tak – szepnął mój ojciec, starając się opanować mimowolny strach. – Dziwne, doprawdy, żyjemy w kraju niby cywilizowanym, a tego rodzaju przesyłki mogą być bezkarnie przesyłane. Skąd to przyszło?

– Dundee – odrzekłem, spojrzawszy na stempel.

– Niesmaczny żart – mruknął mój ojciec niechętnie. – Co mnie obchodzą jakieś papiery i kompas. Najlepiej przestać o tym myśleć.

– Zrób, ojcze, to, czego od ciebie wymagają – zacząłem prosząco.

– I pozwól zakpić z siebie, nieprawdaż? Nic z tego, mój kochany!

– Więc pozwól mnie się tym zająć – prosiłem dalej.

– Zabraniam ci stanowczo! – zawołał ojciec. – Na tego rodzaju głupstwa najlepszą odpowiedzią jest milczenie.

Nie nalegałem dłużej, gdyż wiedziałem, że nic nie jest w stanie wpłynąć na zmianę przekonań mojego ojca. Był on aż do przesady stanowczym i niewzruszonym, choć może nieraz żałował tego skrycie. Nie nalegałem, ale od tej chwili opanowały mnie najstraszniejsze przeczucia.

Na trzeci dzień po otrzymaniu koperty ojciec wybrał się w odwiedzinę do swego starego przyjaciela, majora Freebody, który mieszkał w jednym z fortów Portsdownhillu. Ucieszyłem się z tego zamiaru, gdyż w naiwności ducha przypuszczałem, że największe niebezpieczeństwo grozi mu właśnie w domu. Niestety, myliłem się całkowicie. Dwa dni upłynęły od wyjazdu ojca, kiedy nagle otrzymałem od majora depeszę, wzywającą mnie natychmiast.

Pełen najczarniejszych przeczuć wyjechałem posłusznie, lecz pomimo pośpiechu zdążyłem zaledwie na pogrzeb mego biednego ojca. Opowiedziano mi tylko,



Śmierć ojca.

że ojciec wracał właśnie z Farcham podczas niezwykle silnej mgły i nie znając dokładnie okolicy, wpadł do jednego z nieogrodzonych wapiennych dołów, który stał się jednocześnie jego grobem. „Przypadkowa śmierć” – jednogłośnie orzekli panowie przysięgli. I rzeczywiście, pomimo najstaranniejszych badań i dochodzenia, nie znaleziono ani na

ciele ojca, ani w towarzyszących jego śmierci okolicznościach nic podejrzanego. Na drodze nie było najmniejszych śladów czyjejkolwiek obecności, na ubraniu najmniejszego podejrzanego pyłku, najmniejszego nieporządku, jednym słowem nic, dosłownie nic, ot, śmierć przypadkowa! A jednak w duszy mojej żyje i nie mogę się pozbyć tego poczucia, że ojciec mój padł ofiarą wyrafinowanej zbrodni.

Po pogrzebie wróciłem do samotnego domu ze strasznym uczuciem przygnębienia. Dziwi się pan zapewne, dlaczego nie sprzedałem tego przekłętą miejsca i nie wyprowadziłem się gdzie indziej. W pierwszej chwili myślałem o tym, jednak po głębszym zastanowieniu zrozumiałem, że niebezpieczeństwo przywiązane jest do naszego nazwiska, a nie do miejscowości, a więc jednakowo grozić mi ono będzie w domu i poza nim.

Przez dwa lata i osiem miesięcy żyłem w Horsham jak najspokojniej, nie będąc niepokojonym przez nic i nikogo. Zacząłem już nawet przypuszczać, że nieznani mściciele ograniczyli się dwiema ofiarami i mnie już zostawią w spokoju.

Nie znałem ich jednak widocznie, bo oto wczoraj rano otrzymałem i ja tajemniczą przesyłkę, w tej samej formie jak mój biedny ojciec.

Młody człowiek wyciągnął z bocznej kieszeni surduta zmiętą kopertę i wysypał z niej na stół pięć suchych pestek z pomarańczy.

– Oto owa koperta – rzekł – stempel wskazuje, że pochodzi ona z wschodniolondyńskiego urzędu pocztowego. Oto wewnątrz trzy K. i napis: „Połóż papiery na kompasie”.

– I co pan zrobił? – zapytał badawczo Holmes.

– Nic.

– Nic?!

– Nic – odrzekł, kryjąc twarz w białych, delikatnych dłoniach. – Jeśli mam być bezwzględnie szczerym, to przyznam się panu, że opuściła mnie zupełnie chęć walki. Czuję się bezbronny. Zdaje mi się, że jestem owym królikiem, urzeczonym przez jadowitego węża i dobrowolnie wchodzącym mu w paszczę. Jestem w jakichś strasznych, niemiłosiernych rękach i nie wiedząc, skąd cios na mnie spadnie, nie umiem się nawet bronić.

– Głupstwo! – zawołał Holmes gwałtownie. – Nie czas nam dzisiaj na zwątpienie! Teraz należy działać, gdyż tylko to może pana uratować!

– Dałem znać policji – rzekł młody człowiek obojętnie.

– I cóż?

– Wyśmiano mnie. Uważają ten list za niesmaczny żart, a śmierć stryja i ojca za samobójstwo i przypadek, które z tajemniczą przesyłką nie mają nic wspólnego.

– Dziwna bezmyślność! – zawołał Holmes oburzony.



Otrzymanie przez Johna listu z pestkami.

– W każdym razie, na moje usilne nalegania dano mi policjanta, który ma mnie strzec w domu.

– Czy przyjechał z panem?

– Nie, rozkaz brzmi wyraźnie „strzec w domu”.

Holmes załamał ręce.

– Dlaczego pan przyszedł tak późno! – zawołał. – Dlaczego nie przyszedł pan zaraz po śmierci ojca?

– Żyliśmy w takim odosobnieniu, że nie znałem pana, pomimo jego głośnej sławy. Dopiero dziś major Prendergast, z którym rozmawiałem o tym, poradził mi udać się do pana.

– Już dwa dni minęły od chwili otrzymania przez pana koperty, a dwa dni w tych okolicznościach znaczy bardzo wiele. Trzeba się było wcześniej do mnie zgłosić. Czy ma pan jeszcze jakieś dane, które mogłyby nas naprowadzić na ślad?



Przekazanie
Holmesowi
kartki stryja
Eliasz.

– Tylko ten świstek – odpowiedział John Openshaw i wyjął z kieszeni kartkę papieru oryginalnego niebieskiego koloru. – Przypominam sobie, że kiedy mój stryj spalił swoje papiery, widziałem w popiele podobne do tego kawałeczki. Tę kartkę znalazłem na podłodze w jego pokoju i domyśliłem się, że musiała wypaść z całego pliku, a stryj tego nie zauważył. Wygląda to jak kartka z notatnika

i gdyby nie wspominała o pestkach, nie miałyby dla nas żadnej wartości. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że pisał to stryj.

Holmes przysunął lampę i obaj z ciekawością pochyliliśmy się nad papierem, którego nierówny z jednej strony i poszarpany brzeg dowodził, że pochodził z jakiegoś kajetu. U góry wypisana była nazwa miesiąca, a pod nią kilka zagadkowych notatek:

4. Hudson przybył. Ta sama stara platforma.

7. Pestki oddano McKauleyowi, Paramorowi i Johnowi Swain z St. Augustin.

9. McKauley nieobecny.

10. John Swain nieobecny.

12. Paramore jest. Wszystko dobrze.

– Dziękuję panu – rzekł Holmes.

Złożył papier i oddał go młodemu człowiekowi.

– A teraz, na miłość boską, niech pan nie traci ani chwili. Musi pan natychmiast wracać do domu i zacząć działać.

– Cóż ja mam robić? – zapytał podekscytowany mimowolnie John Openshaw.



Rada Holmesa.

– Jedno jest tylko do zrobienia tymczasem. Natychmiast po powrocie włoży pan ten papier do żelaznej skrzynki, obok niego umieści pan wyjaśnienie, że wszystkie papiery tego koloru zostały spalone przez pańskiego stryja, i skrzynkę postawi pan na kompasie

w ogrodzie. Tylko uprzedzam z góry, że wyjaśnienie musi być napisane tak, aby w nich wywołało poczucie prawdziwości pańskich słów. Zrozumiał pan, o co chodzi?

– Doskonale.

– Niech pan teraz nie myśli ani o zemście, ani o tym podobnych rzeczach. Przyjdzie czas na wszystko. My teraz dopiero przygotowujemy nasz węzeł, podczas kiedy nieprzyjaciel ma swój gotowy. Obecnie chodzi tylko o to, żeby na razie odsunąć niebezpieczeństwo, które panu grozi. Niedługo podniesiemy zasłonę tej tajemnicy i ukarzymy winnych. Jaką kolejną pan wraca?

– Wieczornym pociągami kolei Waterloo.

– Jeszcze nie ma dziewiątej i na ulicach jest sporo ludzi, mam więc nadzieję, że nic panu nie grozi. W każdym razie ostrożność nie zawadzi.

– Jestem uzbrojony.

– To dobrze. Jutro zajmę się pańską sprawą.

– Czy mam oczekiwać pana w Horsham?

– Nie, pańska sprawa kończy się tutaj, w Londynie, tutaj więc muszę rozpocząć kroki.

– A więc odwiedzę pana, aby go zawiadomić o losach kasetki. Idę ślepo za pańską radą.

Podał nam ręce i pożegnał się uprzejmie. Na dworze burza szalała w dalszym ciągu, wicher dał z poprzednią siłą i deszcz dzwonił o szyby jak przedtem. Zdawało się, że to rozpetane żywioły przygnały do nas tę marę zbrodni, wyłonioną z fali, którą fale na powrót miały pochłonąć. Sherlock Holmes siedział w milczeniu i patrzył zamyślony w czerwony płomień kominka. Po chwili zapalił nieodłączną fajeczkę, rozsiadł się wygodniej i patrząc na unoszące się w powietrzu kółka dymu, rzekł do mnie:

– Słuchaj, Watsonie, takiego ciekawego wypadku jeszcześmy chyba nie mieli?

– Z wyjątkiem „Znaków czterech”.

– Zapewne, chociaż zdaje mi się, że John Openshaw znajduje się w większym niebezpieczeństwie niż wówczas ów Scholtos.

– Czy masz już swoje zdanie w tej sprawie? – zapytałem zaciekawiony.

– Bez wątpienia.

– A więc mów, kto to jest ten trzy K. i dlaczego prześladowuje całą tę rodzinę?

Holmes zamknął oczy, wsparł się łokciami na poręczach fotela i założywszy palec na palec, rzekł wolno:

– Prawdziwym myślicielem jest tylko ten, który zbadawszy dokładnie i uświadomiwszy sobie jasno jeden pojedynczy fakt sprawy,



Obyczaje
Holmesa.



Holmes o swojej
metodzie
dedukcji.

umie logicznie wywnioskować z niego nie tylko o całym łańcuchu następstw, ale potrafi określić i poprzedzające go wypadki, których sam on był skutkiem, niby drugi Cuvier, który z jednej zbadanej kości odtwarzał całą budowę danego zwierzęcia. Jesteśmy jeszcze zbyt niedoskonalimi, abyśmy potrafili rozwiązywać wszystko jedynie pracą myśli, a jednak wierzę, że za pomocą myślowego badania można rozwiązać problemy, w których wyjaśnienie zwątpili ci wszyscy, którzy do badań używali tylko swoich pięciu zmysłów. Najwyższy stopień sztuki osiągamy wtedy, kiedy możemy spożytkować wszystkie wiadomości, które nam są w odpowiedniej chwili potrzebne, ale na to nasza ogólna wiedza zbyt jest jeszcze niedoskonałą. Pomimo to nie zdaje mi się niemożliwym, aby pojedynczy człowiek posiadał całą wiedzę, jaka mu kiedykolwiek będzie potrzebna, tylko że taka praca jest zbyt męcząca. Jeżeli dobrze pamiętam, to i ty kiedyś, w pierwszych latach naszej przyjaźni, doskonale zakreśliłeś granice mojej wiedzy i umiejętności.

– Tak jest – odrzekłem, śmiejąc się serdecznie – ale było to tylko zrzeczne



Watson o wiedzy Holmesa.

pochlebstwo. O ile pamiętam, z filozofii, astronomii i polityki otrzymałeś zero, w botanice byłeś niezrównany, w geologii dokładny, szczególnie w znajomości wszystkich okolic Londynu. Dalej chemia – świetna, wiadomości z anatomii niesystematyczne, za to

znakomita znajomość literatury kryminalnej. Oprócz tego byłeś dobrym bokserem, fechtmistrem i jurystą. Tak, zdaje się, brzmiały główne punkty mojej analizy.

– Tak, tak – odparł, śmiejąc się, Holmes. – Ale i dziś powtórzę ci to samo, co wtedy, że człowiek powinien napełniać swoje komórki mózgowie wszystkim, co mu się tylko może przydać i wszystkie te rzeczy powinien składać w jakimś kąciку biblioteki swojej, aby móc je w razie potrzeby wydobyć. Sprawa Openshaw może nam posłużyć jako przykład podobnego badania. Proszę cię, podaj mi amerykańską encyklopedię z literą K, stoi za tobą, na półce. Dziękuję. A teraz rozpatrzmy tę sprawę bliżej i zobaczmy, co z tego wyniknie. Przede wszystkim musimy założyć, że Elias Openshaw miał ważne powody do opuszczenia Ameryki. Ludzie w jego wieku nie zmieniają tak łatwo cudownego klimatu Florydy na samotność w jakimś prowincjonalnym miasteczku Anglii. Ten nagły powrót do kraju dowodzi jasno, że pan pułkownik lękał się kogoś czy czegoś i że ta obawa wypędziła go ostatecznie z Ameryki. Czego się zaś lękał, postaramy się dociec z tych trzech tajemniczych przesyłek. Czy zapamiętałeś stemple pocztowe?

– Tak, pierwszy był z Pondicherry, drugi z Dundee, a trzeci z Londynu.

– Z wschodniej części. Cóż z tego za wniosek?

– To są trzy porty – odrzekłem uderzony pewną myślą. – Ten więc, kto pisał owe koperty, musiał znajdować się na pokładzie jakiegoś statku.

– Doskonale. Pochwyciliśmy już jedną nitkę. Nie ulega wątpliwości, że autor przesyłek znajdował się na jakimś statku. Teraz punkt drugi: Od otrzymania listu z Pondicherry do wykonania groźby upłynęło siedem tygodni, od listu z Dundee do śmierci Józefa Openshawa trzy czy cztery dni. Czy nie daje ci to jakichś wskazówek?

– Że w pierwszym wypadku była większa odległość niż w drugim.

– Tak, ale to się odnosi przede wszystkim do listów.

– W takim razie nic nie rozumiem.

– A więc przypuść, że ów morderca, czy też mordercy, znajdują się na pokładzie jakiegoś statku i że przesyłają swoje dziwaczne ostrzeżenia z chwilą, kiedy wyruszają w drogę, ażeby spełnić swoją groźbę. Widziałeś, jak szybko po ostrzeżeniu z Dundee nastąpiło wykonanie groźby. Gdyby ci ludzie podróżowali parowcem, to musieliby przybyć prawie równocześnie z listem, a tymczasem wiemy dokładnie, że pomiędzy jednym a drugim upłynęło siedem tygodni. Z tego wnioskuję, że ów czas jest różnicą biegu parowca, który wiozł list ostrzegający, i biegu zwyczajnego statku żaglowego, na którym płynął autor listu.

– Tak, to możliwe – odrzekłem zamyślony.

– To więcej niż możliwe, to jest prawdopodobne – podchwycił gorąco Holmes. Teraz rozumiesz, dlaczego taki nacisk położyłem na ostrożność, mówiąc do młodego Openshawa. Pomyśl, że ostatni list pochodzi z Londynu, różnica więc pomiędzy listem a przybyciem morderców może wynosić zaledwie kilka godzin i nie ma co liczyć na zwłokę.

– Wielki Boże – krzyknąłem przerażony – co może oznaczać to niemiłosierne prześladowanie!?

– Widocznie owe papiery mają dla ludzi na żagłowcu bardzo ważne znaczenie. Mówię „ludzi”, gdyż musi być ich więcej; pojedynczy człowiek nie byłby w stanie spełnić dwóch takich zbrodni, musi mieć pomocników, i to zdecydowanych, silnych pomocników. Oni pragną papierów i tylko papierów, a nie otrzymując odpowiedzi, zabijają nieposłusznych. Zdaje mi się – mówił, namyślając się, Holmes – że te trzy K. są tylko inicjałami jakiegoś stowarzyszenia. Czyś nigdy nie słyszał – dodał ciszej – o związku Ku-Klux-Klan?

– Nigdy – odparłem równie cicho.

Holmes zaczął przrzucać tom encyklopedii leżący na jego kolanach:

– Posłuchaj – rzekł – Ku-Klux-Klan. Pochodzenie tego wyrazu opiera się na podobieństwie dźwięków z nabijaniem pewnego rodzaju broni palnej. Ten straszliwy, tajemniczy związek został zawiązany przez kilku wojskowych wkrótce po wojnie i z nadzwyczajną szybkością rozszerzył się we wszystkich południowych stanach,



Wyjaśnienie
znaczenia
inicjałów.

a przede wszystkim w Tennessee, Luizjanie, Karolinie, Georgianie i Florydzie. Związek miał początkowo na celu walkę z Murzynami, lecz jednocześnie ścigał i terroryzował wszystkich, którzy nie chcieli sympatyzować z celami związku. Związek upatrywał z góry ofiarę, ostrzegał ją za pomocą umówionych fantastycznych znaków, jak na przykład gałązki dębu lub pestek melona lub pomarańczy, a potem stosownie do stopnia oporu mordował lub wypędzał z kraju. Jeśli ktoś udawał się pod jakąkolwiek opiekę, był już bez ratunku zgubiony i śmierć następowiała zwykle w jakiś najzupełniej nieoczekiwany sposób. Organizacja związku była tak doskonałą, sposoby działania tak systematyczne, że nie było wypadku, aby ktoś ze związkowych zdradził się lub pozwolił schwytać na gorącym uczynku. Przez parę lat związek rozszerzał się coraz bardziej, pomimo prześladowań rządu i poważniejszych obywateli Stanów Zjednoczonych. Potem rozwiązał się nagle i tylko pojedyncze charakterystyczne wypadki zbrodni przypominały o jego istnieniu.

– Zwróć uwagę – rzekł Holmes, składając książkę – że nagle zniknięcie związku zbiega się z wyjazdem Eliasza Openshawa z Ameryki. Kto wie, czy te dwa wypadki nie łączą się z sobą w jakiś sposób. Kto wie, czy to nie pozostałe resztki związku prześladują całą tę rodzinę. Rozumiesz chyba, że w tych spalonych notatkach mogły być szczegóły kompromitujące niejedną wysoko postawioną osobistość południowych Stanów Zjednoczonych i że wobec tego mogą stawiać na jedną kartę wszystko, aby tylko te papiery zdobyć, a tych, którzy o nich mogą cokolwiek wiedzieć, unieszkodliwić.

– Więc kartka, którą widzieliśmy, zawierała...

– Naturalnie – przerwał mi Holmes. – Jestem pewien, że się nie mylę. Czytałeś przecież, że pestki posłano trzem osobom. Pierwsi dwaj uciekli, czy też może zmienili przekonania, trzeci jednakże, jak przypuszczam, źle skończył. Zdaje mi się, doktorze, że zdołamy podnieść zasłonę tej ciemnej historii, jeżeli tylko młody Openshaw zrobi to, co mu radziłem. A teraz dajmy już temu pokój. Wezmę skrzypce i postarajmy się na chwilę zapomnieć o burzy i jeszcze gorszych czynach naszych kochanych bliźnich.

Następnego dnia niebo rozjaśniło się nieco i blade słońce wyjrzało przez szarą oponę chmur spowijających miasto.



Zwyczajne
Holmesa – gra
na skrzypcach.

Sherlock Holmes siedział już przy śniadaniu, kiedy spóźniony zjawiłem się w pokoju.



Czas akcji
– poranek na-
stępnego dnia.

– Daruj mi, że nie czekałem – rzekł, witając mnie podaniem ręki – ale spieszę na miasto w sprawie Openshawa.

– Co zamierzasz zrobić? – zapytałem.

– Nie wiem jeszcze, wszystko zależy od wiadomości, jakie zdobędę. Być może pojedą do Horsham.

– Jak to, myślałem, że od tego zaczniesz?

– Nie, przede wszystkim muszę być w mieście. Zadzwoń, proszę cię, niech ci podadzą kawę.

Czekając na śniadanie, wziąłem do ręki nieczytane jeszcze gazety i nagle ujrzałem wiadomość, która zmroziła mi krew w żyłach.

– Holmesie! – zawołałem. – Już za późno!

– Co? – zawołał, stawiając filiżankę. – Obawiałem się tego! Biedny chłopak! Jak to się stało?

Mówił spokojnie, ale widziałem, że był głęboko poruszony. Pochyliłem się nad gazetą i zacząłem głośno czytać:

– Dramat na moście Waterloo. Wczoraj wieczorem, pomiędzy godziną dziewięcią a dziesiątą policjant Cook, z dywizji H., będący na warcie na moście, usłyszał nagle wołanie o pomoc i głośny upadek jakiegoś ciała w wodę. Noc była tak ciemna i burzliwa, iż pomimo pomocy kilku przechodniów natychmiastowy ratunek był niemożliwym. Zawiadomiono policję i jej dopiero udało się wydobyć ciało. Denat jest człowiekiem młodym, nazywa się John Openshaw i zamieszkał w Horsham, jak to widać z adresu koperty, którą miał w kieszeni surduta. Prawdopodobnie spieszył on na ostatni pociąg odchodzący ze stacji Waterloo, lecz w pośpiechu zablądził w ciemnościach i wszedł na wąską ścieżkę, prowadzącą wprost do rzeki, gdzie zwykle przystają statki. Ciało denata nie przedstawia żadnych śladów przemocy, jest to więc tylko nieszczęśliwy wypadek, który powinien zwrócić uwagę władz na niebezpieczeństwo wynikające z powodu niedbałego utrzymania dróg prowadzących do rzeki. – W milczeniu złożyłem gazetę. Holmes był tak przygnębiony, jak nigdy.



Wiadomość
o śmierci Johna
Openshawa.

– To obraża moją dumę, Watsonie – rzekł wreszcie. – Powinieniem był to przewidzieć. Teraz uważam tę sprawę za moją osobistą i jeśli tylko żyć będę, żaden z tych łotrów nie ujdzie mojej ręki. Biedny chłopak! Szukał u mnie pomocy, a ja go posłałem na śmierć!



Holmes:
Czuje odpowiedzialność za
swoich klientów.

Zerwał się z krzesła i zaczął nerwowo chodzić po pokoju. Jego pociągła twarz zarumieniła się ze wzruszenia, a długie, wąskie palce zaciskały kurczowo.

– Muszą to być sprytnie diabły! – zawołał po chwili. – W jaki sposób mogli go tam zaciągnąć, przecież to nie po drodze! Naturalnie, o tej porze zbyt wielu świadków mogło być na moście. Ale jeszcze zobaczymy, Watsonie, kto z nas wygra. Ja wychodzę.

– Na policję?

– Nie. Ja sam dla siebie stanowią policję. Oni mogą tylko złapać muchy, ale siatkę przygotowuję ja.

Cały dzień oddawałem się obowiązkom mego zawodu i dopiero późnym wieczorem wróciłem na ulicę Baker. Holmesa jeszcze nie było. Około dziesiątej przyszedł wreszcie błądy i zmęczony i skierował się prosto do kredensu, gdzie ukroił sobie kawałek chleba, zjadł i popił szklanką wody.



Czas akcji
– późny
wieczór, około
dziesiątej.

– Głodny jesteś – zauważyłem.

– Jestem przegłodzony. Od śniadania nic nie miałem w ustach.

– Nie może być!

– Nie miałem czasu pomyśleć o sobie – uśmiechnął się Holmes.

– Znalazłeś coś?

– Bardzo wiele – odparł z dumą.

– Wpadłeś więc na ślad zbrodniarzy?

– Trzymam ich w garści. John Openshaw nie będzie długo czekać na zemstę.

Musimy użyć ich własnego diabelskiego znaku. Nieprawdaż, że to dobrze pomyślane?

– Nie rozumiem ciebie.

Zamiast odpowiedzi Holmes wyjął z szafy pomarańczę, wycisnął z niej pestki i wysuszywszy je nieco, pięć z nich włożył do koperty, wewnątrz której napisał: „S. H. dla J. O”. Potem zapieczętował ją starannie i zaadresował: „Kapitan James Calhoun, barka Lone Star, Savannah – Georgiana”.

– To niespodzianka – rzekł ironicznie – która go spotka przy wjeździe do portu. Prawdopodobnie przysporzy mu ona kilku bezsennych nocy i będzie dla niego takim samym ostrzeżeniem, jakim był jego list dla biednego Johna Openshawa.

– Kim jest ten kapitan Calhoun? – zapytałem.

– Naczelnik bandy. Po nim wyłowię wszystkich, ale on musi być pierwszym.

– Jak się o nim dowiedziałeś? – zapytałem zdumiony.



Rozwiązanie
zagadki przez
Holmesa.

Holmes wyciągnął plik zapisanych datami i nazwiskami papierów i rzekł:

– Cały dzień przeglądałem akta i rejestra Lloyd'a i porównywałem kursy wszystkich statków, które w styczniu i lutym stały w Pondicherry. W tym czasie było tam 36 statków, z których jeden zwrócił moją uwagę tym, że podał się za przybywający z Londynu, podczas kiedy notatka o nim mówi, że przybył z jakiegoś amerykańskiego miasta.

– Prawdopodobnie z Teksasu – przerwałem.

– Być może, nie jestem tego pewien. Wiem tylko, że był to statek amerykański. Właśnie ów „Lone Star”. Następnie poszukałem tego samego w Dundee i kiedy

znalazłem, że w czasie śmierci Józefa Openshawa „Lone Star” stał w porcie, podejścia moje zmieniły się w pewność. Udałem się potem do portu i dowiedziałem się, że w zeszłym tygodniu przybyła tutaj „Lone Star”. Pospieszyłem do doków Alberta, ale tutaj czekał mnie zawód. Dziś rano „Lone Star” odplynęła z powrotem do Savannah. Telegrafowałem do Gravesend i otrzymałem odpowiedź, że niedawno przepływał tamtędy. Ponieważ wiatr wieje od wschodu, rozbójnicy muszą ominąć piaszczyste ławy koło Godwin i skierować się ku wyspie Wight.

– Więc co?

– Trzymam ich wszystkich w rękę. Dowiedziałem się, że tylko kapitan i dwóch majtków są urodzonymi Amerykanami, reszta zaś to Niemcy i Finlandczycy; prócz tego dowiedziałem się jeszcze od sternika, że zeszłej nocy wszyscy trzej byli nieobecni na statku. Po powrocie do Savannah zastaną już mój list, który zawiezie im parowiec pocztowy, a jednocześnie zjawi się policja, którą już za pomocą telegrafu zawiadomiłem, i zaaresztuje nędznych morderców.



Plan schwywania morderców.

Taki był plan Holmesa. Niestety jednak nie wszystkie ludzkie plany spełniają się tak, jak je sobie człowiek ułoży. Mordercy Johna Openshawa nie mieli nigdy otrzymać owych pięciu pestek, które miały im powiedzieć, że znalazł się na świecie równie sprytny i odważny człowiek, który nie lękał się pójść ich śladem.

W tym roku burze morskie były niezwykle gwałtowne i próżno oczekiwaliśmy z Savannah wiadomości o „Lone Star”.

Nareszcie usłyszeliśmy, że gdzieś na Oceanie Atlantyckim znaleziono rozbity przód statku z literami „L. S.”, którym bałwany morskie rzucały na wszystkie strony. To było wszystko, czego mogliśmy się dowiedzieć o losach „Lone Star”.



Katastrofa statku „Lone Star”.

OPRACOWANIE



I. BIOGRAFIA I TWÓRCZOŚĆ ARTHURA CONAN DOYLE'A

Sir Arthur Conan Doyle – znakomity angielski pisarz – urodził się 22 maja 1859 r. w Szkocji, w Edynburgu. Wywodził się z arystokratycznej, lecz zubożałej rodziny, która miała sporo problemów – ojciec Arthura był alkoholikiem, podobno znęcał się nad bliskimi, a w domu często brakowało pieniędzy. Doszło do tego, że matka pisarza musiała zacząć zarabiać jako pracznica, aby rodzina nie popadła w długi.

Mały Doyle uczęszczał do szkoły katolickiej i został wychowany w tej wierze, lecz później, już w dojrzałym życiu, porzucił chrześcijaństwo na rzecz **spirytyzmu** (spirytyzm – wiara w rzekome pojawianie się dusz zmarłych i w możliwość porozumiewania się z nimi na seansach spirytystycznych¹) i **agnostycyzmu** (agnostycyzm to pogląd filozoficzny, który neguje możliwość poznania świata i rządzących nim praw, związków przyczynowych, natury).

Uczył się w Stonyhurst School, a następnie przez rok przebywał w Anglii. W latach 1876-1881 studiował na uniwersytecie w Edynburgu, w tym czasie zadebiutował drukiem w tamtejszym dzienniku. Po uzyskaniu dyplomu zaokrętował się na statek i pracując jako lekarz, odbył wspaniałą podróż do zachodniej Afryki.

Wkrótce rozpoczął praktykę lekarską, najpierw w Plymouth, następnie w Portsmouth, przez jakiś czas przebywał w Wiedniu, studiując okulistykę, co zaowocowało obroną pracy doktorskiej na Edinburgh University i praktyką okulistyczną w Londynie.

Swoją działalność literacką zaczął od opowiadań kryminalnych (pierwszym z nich było *Studium w szkartacie*, wydane w 1887 r.), dramatów

¹ W. Kopalinski, *Słownik wyrazów obcych i zwrotów obcojęzycznych*, Wiedza Powszechna, Warszawa 1994, s. 476.

i powieści historycznych, pisał też utwory fantastyczne, przeznaczone dla młodzieży.

Skąd zaczerpnął pomysł powołania do życia genialnego detektywa Sherlocka Holmesa? Prawdopodobnie pierwowzorem postaci był doktor Joseph Bell, jeden z wykładowców medycyny na uniwersytecie w Edynburgu, gdzie studiował pisarz. Ten czterdziestoletni lekarz potrafił postawić trafną diagnozę na podstawie samej obserwacji chorego, jak również opisać fakty z życia pacjenta, co wzbudziło niesamowity podziw Doyle'a. Jego umiejętności znalazły swe odbicie w cechach postaci Holmesa. Bell stał się dla młodego studenta przewodnikiem po świecie nauki, dedukcji i eksperymentowania, o czym świadczą słowa pięknej dedykacji dla nauczyciela, któremu pisarz ofiarował swą książkę pt. *Przygody Sherlocka Holmesa*: „To Ty jesteś Sherlockiem Holmesem i dobrze o tym wiesz”.

Początkowo tworzył w wolnych chwilach – z nudy i dla zarobku. Szybko jednak jego utwory zyskały ogromną sławę, przynosząc miliony wiernych czytelników. Porzucił posadę lekarza i poświęcił się pisarstwu oraz pasjom politycznym. Miał wielkie ambicje – chciał zostać posłem w parlamencie (trzy razy startował w wyborach, ale nie zyskał większego poparcia), myślał o pisaniu książek historycznych. Aby mieć więcej czasu na inne zainteresowania, postanowił uśmiercić swego bohatera. W noweli pt. *Ostatnia zagadka* Sherlock Holmes rzuca się do wodospadu w pogoni za przeciwnikiem, profesorem Moriartym. Ponieważ wydarzenie to wzbudziło wielkie oburzenie czytelników, którzy slali listy do autora, domagając się przywrócenia ich ulubionej postaci do życia, Doyle uczynił zadość tym prośbom. W 1901 r. ożywił bohatera, tłumacząc, że jego śmierć była celową mistyfikacją.

W 1885 r. ożenił się z Luizą Hawkins, w kolejnych latach przyszło na świat dwoje dzieci z tego związku. Okazało się jednak, że młoda kobieta jest nieuleczalnie chora, wykryto u niej gruźlicę, co przy ówczesnym stanie wiedzy medycznej równało się rychłej śmierci. Doyle na kilkanaście lat poświęcił się wyłącznie opiece nad żoną. Prawdopodobnie pod koniec jej życia poznał Jean Elisabeth Leckie, z którą związał się po śmierci Luizy, w 1907 r. Z drugą żoną miał troje dzieci.

Wziął udział w arktycznej wyprawie na wieloryby, angażował się bardzo w sprawy polityczne, m.in. w kampanię na rzecz wyzwolenia Konga i w wojny burskie – był korespondentem wojennym w trakcie wyprawy do Afryki i świadkiem powstania Mahdiego.

Warto wspomnieć, że pisarz – po śmierci swego syna Kingsleya podczas I wojny światowej (chłopak zaraził się śmiertelną grypą – hiszpanką), a także po utracie siostrzeńca i kilku bliskich sobie osób – zaczął zajmować się spirytyzmem, którego stał się gorącym zwolennikiem i badaczem.

W 1902 r. za wspieranie działań polityki brytyjskiej w wojnie w południowej Afryce król Edward VII nadał mu tytuł szlachecki.

Arthur Conan Doyle zmarł 7 lipca 1930 r. na atak serca, zaś na jego płycie nagrobnej wyryto następujące słowa:

Prawdziwa stal

Proste ostrze

Arthur Conan Doyle –

Rycerz

Patriota, Medyk i Człowiek Litery.

Trudno dziś zliczyć, ile dzieł literackich i filmowych czerpało natchnienie z opowieści o słynnym detektywie! Jedno z ostatnich to kultowy serial *Doktor House*, którego fani prześcigają się w odnajdywaniu licznych analogii pomiędzy Holmesem a House'em¹. O autorze i jego bohaterze Sherlocku Holmesie pisze się, że są prawdziwymi ikonami popkultury.

Sam Conan Doyle też został bohaterem literackim. Opisano go w następujących utworach: *Spisek sześciu*, *Lista siedmiorga* Marka Frosta, *Arthur i George* Juliana Barnes'a.



II. KALENDARIUM ŻYCIA I TWÓRCZOŚCI ARTHURA CONAN DOYLE'A

Data	Wydarzenie	Twórczość
22 maja 1859		narodziny Arthura Ignatiusa Doyle'a w Edynburgu
1876-1881		studia medyczne na uniwersytecie w Edynburgu
1885		obrona doktoratu z dziedziny okulistyki; ślub z Luizą Hawkins
1885-1890		prowadzenie praktyki lekarskiej w Southsea

¹ O. Woźniak, *Conan niewolnik*, „Przekrój. Cywilizacja”, wyd. internetowe (27.05.2009).

KALENDARIUM ŻYCIA I TWÓRCZOŚCI

1887	<i>Studium w szkarłacie</i> (kryminał) <i>Micah Clarke</i> (powieść historyczna)	
1890	<i>Znak czterech</i> (kryminał) <i>Biały orszak</i> (powieść historyczna)	
1892	<i>Przygody Sherlocka Holmesa</i> (wyd. polskie pt. <i>Z przygód Sherlocka Holmesa</i> 1908)	
1894	<i>Pamiętniki Sherlocka Holmesa</i> (kryminał)	
1896	<i>Przygody brygadiera Gerarda</i> (powieść historyczna, wyd. polskie 1902)	
1902	<i>Pies Baskerville'ów</i> (wyd. polskie 1903)	nadanie pisarzowi tytułu szlacheckiego
1903/1904	<i>Powrót Sherlocka Holmesa</i> (zbiór 13 opowiadań kryminalnych)	
1907		małżeństwo z Jean Elisabeth Leckie
1912	<i>Zaginiony świat</i> (powieść fantastycznonaukowa, wyd. polskie 1913)	
1913	<i>Zatrute kręgi</i> (wyd. polskie 1917)	
1914	<i>The British Campaign in France and Flanders</i>	
1915	<i>Dolina trwogi</i> (powieść sensacyjna)	
1924	<i>Wspomnienia i przygody</i>	
1926	<i>The Land of Mist</i>	

1927	<i>Notatnik Sherlocka Holmesa</i> <i>The Disintegration Machine</i>	
1928	<i>When the World Screamed</i>	
7 lipca 1930		śmierć pisarza w Crowborough



III. RODZAJ I GATUNEK LITERACKI

Rodzaj literacki: epika (jeden z rodzajów literackich, obok liryki i dramatu, którego charakterystycznymi elementami są: narracja i narrator, świat przedstawiony, w którego skład wchodzi postacie rzeczywiste, fikcyjne lub fantastyczne, a także fabuła, akcja, wątki i zdarzenia).

Gatunek literacki: opowiadania kryminalne (odmiana detektywistyczna)

Arthur Conan Doyle jest jednym z głównych twórców i klasyków literatury detektywistycznej.

Literatura kryminalna – fabuła powieści i opowiadań kryminalnych jest związana ze zbrodnią oraz z wyjaśnianiem jej przyczyn i ujawnianiem sprawcy. Główni bohaterowie utworów tego gatunku to:

- * detektyw, czyli osoba prowadząca śledztwo;
- * przestępca;
- * osoby podejrzane o dokonanie przestępstwa, które w pewien sposób są z nim powiązane.

Twórcy tej odmiany literatury popularnej pragną znaleźć jak najliczniejszą rzeszę czytelników, dlatego też akcja powieści i opowiadań jest żywa, a sceny pełne napięcia i dynamizmu. Rozwiązanie kryminalnej zagadki powinno być zaskakujące i trudne do przewidzenia.

Powieść detektywistyczna – odmiana literatury kryminalnej, którą cechuje **dominacja postaci detektywa**. Staje się on mniej lub bardziej oficjalnym reprezentantem prawa, niezależnie od tego, czy jest komisarzem policji, agentem czy detektywem-amatorem. Bohater kryminału **Edgara Alana Poe**, którego uważa się za prekursora gatunku, mówi: *Śledztwo będzie dla nas rozrywką* i właśnie ono jest podstawową metodą działania bystrego stróża sprawiedliwości. Wiąże się z tym reguła powracania do przeszłości,

stopniowego odkrywania wydarzeń nie według ich chronologii, lecz tak, aby napięcie utworu cały czas rosło.

W śledztwie niesłychanie istotna jest **metoda logicznej dedukcji**, którą posługuje się genialny Sherlock Holmes. Zauważmy, że nie biega on za przestępcą, nie stara się łowić wszystkich śladów (choć bywa i tak, że jeździ na miejsce zbrodni i dokładnie je analizuje), ale przeważnie siada w wygodnym fotelu i myśli.

Utwory detektywistyczne przybierają postać swoistej **gry przestępcy z detektywem**, z której ten drugi wychodzi zwycięsko. Charakterystyczne jest tu też prawdopodobieństwo zdarzeń, wymagane ze względu na konieczność logicznego wnioskowania i dążenia „po nitce do kłębka”.



1. NARRACJA

Narratorem wszystkich 56 opowiadań jest przyjaciel i najbliższy współpracownik Sherlocka Holmesa, doktor John H. Watson. Jak sam wyjaśnia – to on prowadził zapiski dotyczące poszczególnych zagadek kryminalnych, on też opowiada o nich czytelnikom w pierwszej osobie (**narracja pierwszoosobowa**). **Dwa opowiadania zostały napisane w trzeciej osobie** (mają narratora wszechwiedzącego, takiego, który stoi poza światem przedstawionym), **opowiadaczem w dwóch innych jest z kolei sam detektyw Sherlock Holmes**.

Prawie wszystkie opowiadania zaczynają się w ten sam sposób: u Holmesa pojawia się nowy klient. Detektyw obserwuje go i na podstawie wyglądu przybysza, jego ubioru, gestów, sposobu mówienia czy śladów na ubraniu wyciąga pierwsze wnioski dotyczące nieznanego. Następnie klient wyjaśnia problem. Resztę opowiadania stanowi rozwiązywanie zagadki.



IV. OMÓWIENIE LEKTURY

1. *PIES BASKERVILLE'ÓW* – TREŚĆ OPOWIADANIA

1.1. Sherlock Holmes

Podczas śniadania z Watsonem Sherlock Holmes ogląda laskę pozostawioną przez gościa, który poprzedniego dnia nie zastał nikogo w domu. Doktor Watson próbuje odgadnąć, do kogo należy przedmiot, ale nie okazuje się w tym lepszy od detektywa. Chwilę później sam właściciel zjawia się w mieszkaniu. Jest nim Jakub Mortimer – były asystent-chirurg w szpitalu

Charing Cross, laureat nagrody Jacksona za pracę z dziedziny patologii porównawczej.

Doktor Mortimer był bardzo wysoki i chudy; nos miał długi, zakrzywiony jak haczyk, wystający między parą oczu szarych, przenikliwych, bardzo do siebie zbliżonych i iskrzących się za okularami w złotej oprawie. Ubrany był w tradycyjny, choć nieco zaniedbany strój, typowy dla lekarzy; surdut miał wytarty, spodnie w dole obszarpane. Jakkolwiek młody jeszcze, plecy miał zgarbione, głowę, gdy chodził, pochyloną naprzód, a na twarzy jego malowała się wielka dobroduszość.

Laskę otrzymał w podarunku od przyjaciół ze szpitala, z okazji ślubu, porzucenia dotychczasowej pracy i wyjazdu na wieś. Prosi on detektywa o pomoc i zamierza dokładnie wyjaśnić, na czym polega problem.

1.2. Przekłęty ród

Mortimer czyta Holmesowi treść rękopisu – dokumentu rodzinnego z 1742 r. – który powierzył mu zmarły trzy miesiące wcześniej przyjaciel, Karol Baskerville – człowiek bardzo inteligentny, przenikliwy i praktyczny. Rękopis opowiada legendę o psie Baskerville’ów, spisana przez Hugona Baskerville’a dla synów – Rogera i Jana – zalecając, aby unikali nocnego wychodzenia na moczary. Wynika z niej, że kiedyś zamek był własnością Hugona Baskerville’a, człowieka szalonego i bezbożnego, dopuszczającego się okrucieństwa i rozpusty. Hugon zapałał miłością do córki ziemianina, którego grunt sąsiadował z jego terenem. Młoda dziewczyna, skromna i dobrze wychowana, unikała jednak straszego mężczyzny. W wigilię św. Michała Hugon wraz z towarzyszami wdarł się do majątku sąsiada i porwał pannę. Przywiózł ją do zamku, uwięził w wieży, a sam zaczął ucztować wraz z kompanami. Przerażona kobieta zdobyła się na odważny czyn – po bluszczu wijącym się wokół domu spuściła się po ścianie na dół i przez moczary biegła do domu. Pijany młodzieniec puścił psy i wraz z resztą ludzi ruszył w pogoń. Jednak na moczarach działy się rzeczy straszliwe – oto gdy stanęli nad wąwozem, zobaczyli dziewczynę martwą, leżącą na dnie kotliny, a obok niej wielkiego dziwnego potwora podobnego do psa, stojącego nad trupem Hugona. Tej samej nocy jeden z towarzyszy Hugona zmarł, a pozostali popadli w chorobę psychiczną. Od tej pory ogromny psi potwór stał się plagą rodu, bowiem ukazał się wielu jego członkom, którzy ginęli potem nagłą śmiercią.

Po przeczytaniu całej historii Mortimer pokazał Holmesowi numer pisma „Devon County Chronicle” z 15 maja tego roku, zawierający szczegóły tragicznej śmierci sir Karola Baskerville’a, która miała miejsce kilka dni wcześniej. Karol zbił majątek w południowej Afryce, potem przyjechał do Baskerville Hall, gdzie przebywał przez dwa lata. Był wdowcem, uchodził za dziwaka, mieszkał z małżeństwem Barrymore’ów – lokajem i gospodynią. Czwartego maja oznajmił im, że wyjeżdża nazajutrz do Londynu, po czym polecił lokajowi spakowanie swoich walizek. Udał się na codzienny wieczorny spacer, z którego już nie wrócił. Jego zwłoki znaleziono na samym końcu alei, przy moczarach. Ich oględziny niewiele dały, na ciele nie zauważono obrażeń, jedynie twarz sir Karola była strasznie wykrzywiona. Stwierdzono, że zmarł na atak serca spowodowany chorobą. W spadku po nim majątek otrzymał najbliższy krewny – Henryk Baskerville, syn najmłodszego brata Karola.

Mortimer ujawnił Holmesowi nieznaną fakty dotyczące wypadku. Zaprzyjaźnił się bowiem z Karolem, zbliżyła go doń choroba serca i wspólne zainteresowania naukowe. Lekarz mówi, że sir Karol ostatnio miał napady lęku, wydawało mu się, że okrutne fatum ciąży nad całym jego rodem, czytał kroniki rodzinne, wierzył w legendę o upiornym psie. Tuż po jego śmierci lekarz zjawił się przy zwłokach i dostrzegł dziwne ślady łap olbrzymiego psa. Zmarły miał wykrzywioną w konwulsjach twarz, leżał przodem do ziemi, jego ręce były rozkrzyżowane, a palce zagłębione w ziemi.

1.3. Zagadka

Mortimer jest przekonany, że sir Karola zabił potworny pies z piekła rodem. Tak sądzą również okoliczni wieśniacy, tymczasem lekarz nie wie, jak ma się zachować wobec przyjeżdżającego za godzinę na dworzec Waterloa Henryka Baskerville’a, jedyne żyjącego spadkobiercy rodu. Młodszy brat sir Karola, Roger, uważany za czarną owcę, zmarł na żółtą febrę w 1876 r., Mortimer – wykonawca testamentu Karola – ma się spotkać z ostatnim żyjącym potomkiem rodziny, ale zastanawia się nad tym, czy nie odradzić mu pomysłu zamieszkania w Dartmoor, gdzie wszyscy jego przodkowie zmarli w tak tragiczny sposób.

Holmes prosi lekarza o 24 godziny zwłoki, zanim nie zorientuje się w sytuacji. Chce, aby odwiedził go jutro o godzinie 10 rano wraz z sir Henrykiem. Następnie pogrzeże się w rozmyślniach, rozważając szczegóły sprawy i studiując dokładną mapę Baskerville Hall. Tymczasem Watson spędza cały

dzień w klubie. Na ulicę Baker wraca dopiero wieczorem, znajdując pokój Holmesa pełen tytoniowego dymu. Detektyw wyjaśnia mu, że sir Karol prawdopodobnie uciekał w stronę moczarów przed czymś, co bardzo go przeraziło. Dziwna zmiana śladów w pewnym momencie świadczy o tym, że musiał biec. Holmes podejrzewa, że mężczyzna umówił się z kimś przy furtce prowadzącej na moczary.

1.4. Sir Henryk Baskerville

Następnego ranka po śniadaniu w domu Sherlocka Holmesa zjawili się goście – Jakub Mortimer i Henryk Baskerville.

Był niskiego wzrostu, żywego widocznie usposobienia, jego czarne oczy spoglądały bystro spod krzaczastych brwi, co nadawało jego twarzy wyraz energii i silnej woli. Postawę miał kształtną i proporcjonalną. Jego ogorzała cera dowodziła, że spędzał większą część życia na świeżym powietrzu. Spokój w spojrzeniu i powaga w ruchach wykazywały człowieka dobrze wychowanego.

Ostatni spadkobierca rodu sam zjawiłby się u Holmesa, gdyż rankiem, będąc w hotelu Northumberland otrzymał kopertę z dziwną wiadomością: „Jeśli przywiązujecie wartość do swego rozumu lub swojego życia, unikajcie wąwozu”. Detektyw wziął kartkę do rąk i zaczął ją analizować. Doszedł do wniosku, że napis wycięto z wczorajszego numeru „Timesa” i przyklejono do papieru gumą arabską, jedynie słowo „wąwozu”, którego nie było w tekście artykułu, zostało napisane ręcznie. Uczynił to człowiek wykształcony, udający prostaka. List został napisany w hotelu.

Okazało się też, że Henrykowi zginął jeden z nowych złotych butów, kiedy wystawił je do czyszczenia przed drzwi pokoju. Zdziwiło go to wszystko, a poczuł jeszcze większy niepokój, gdy Mortimer opowiedział mu o minionych wypadkach. Henryk słyszał już wcześniej opowieść o psie, ale nigdy nie sądził, że jest ona czymś więcej niż legendą.

Panowie postanawiają spotkać się na obiedzie o godzinie 14 i wychodzą z mieszkania Holmesa, który razem z doktorem Watsonem podąża za nimi. Wkrótce Sherlock odkrywa, że jego goście „mają za sobą ogon”. Ich śladem jedzie jakiś nieznajomy, który śledzi Henryka dorożką. Kiedy chce go schwytać, ten orientuje się, że jest śledzony i ucieka. Holmes kieruje się do biura posłańców na ulicy Regenta, gdzie spotyka pana Wilsona, któremu pomógł kiedyś rozwikłać zagadkę kryminalną. Tam prosi pewnego chłopca, Cartwrighta, który przy sprawie Wilsona wykazał się niemałym sprytem, aby przeszukał wszystkie kosze na śmieci w hotelach, gdyż ma nadzieję

na znalezienie pociętego egzemplarza „Timesa”, który wskazałby miejsce, z którego wysłano wiadomość dla Henryka. Daje chłopcu pieniądze. Chce też porozmawiać z dorożkarzem o numerze 2704, który jechał z nieznanym mężczyzną. Potem obaj z Watsonem udają się do galerii obrazów na ulicę Bond, aby wypełnić czas do spotkania z Mortimerem i Henrykiem Baskerville'em.

1.5. Trzy zerwane nici

Po wizycie w galerii Holmes i Watson udają się do hotelu Northumberland. W trakcie spotkania z Mortimerem i Henrykiem Baskerville'em Holmes dowiaduje się, że w razie śmierci Henryka cały jego majątek, liczący sobie blisko milion funtów, odziedziczą dalecy krewni Desmondowie. Jakub Desmond to starszy człowiek, duchowny w Westmoreland.

Holmes uważa, że Henryk nie powinien zostawać w zamku sam i radzi mu, aby ktoś mu tam towarzyszył, najlepiej doktor Watson.

Henrykowi ginie jeszcze jeden z butów, tym razem z drugiej pary, odnajduje się natomiast złoty nowy but, który zaginął wczoraj.

Holmes i Watson wracają do siebie na ulicę Baker. Detektyw zamyka się w pokoju z nieodłączną fajką w ręce i do wieczora siedzi w obłokach dymu, rozmyślając o sprawie Baskerville'a. Tuż przed kolacją otrzymuje dwie depesze – jedna zawiadamia go o tym, że służący Barrymore przebywa obecnie w zamku (nie mógł więc śledzić Henryka), druga zawiera informację od chłopca z biura posłańców. Niestety nigdzie nie znalazł on pociętej stroniczki z „Timesa”. Przychodzi też dorożkarz, który wiózł tajemniczego nieznanomego śledzącego Henryka. Okazuje się, że mężczyzna ten podał mu imię i nazwisko... detektywa Holmesa. Sherlock ma złe przeczucia, twierdzi, że jest to paskudna i bardzo niebezpieczna historia, a przeciwnik godny jego samego.

1.6. Baskerville Hall

Sir Henryk Baskerville, doktor Watson i Mortimer wyjeżdżają do Baskerville Hall. Na dworcu żegna ich Holmes, dając ostatnie wskazówki. Prosi Watsona o przekazywanie mu wszelkich informacji i wzięcie ze sobą broni.

W pociągu wszyscy podziwiają zmieniający się jesienny krajobraz. Henryk mówi, że nigdy wcześniej nie widział rodowej posiadłości. Gdy miał kilkanaście lat, zmarł jego ojciec, a rodzina mieszkała w małym domku na południowym wybrzeżu Anglii. Stamtąd Henryk pojechał do przyjaciół ojca

w Ameryce i dopiero teraz ma okazję ujrzeć swoją siedzibę. Obraz ziemi przodków i wspaniałego, nieco posępnego zamczyska, robi na nim wielkie wrażenie.

Na dworcu w Baskerville czeka na nich kabriolet zaprzężony w parę koni. Stangret zabiera gości i ich bagaż. Podróżni zauważają na drodze groźnych strażników z karabinami. Dowiadują się, że przed trzema dniami z więzienia w Princetown zbiegł morderca Selden, który ukrywa się gdzieś w tych okolicach. Wiadomość ta niepokoi Watsona.

W zamkowych progach gości witają służący – małżeństwo Barrymore'ów. Sługa odnosi walizki do pokojów. Przy okazji stwierdza, że pragną z żoną opuścić to miejsce i zacząć działalność handlową. Śmierć sir Karola była dla nich tak wielkim wstrząsem, że nie mogą dłużej przebywać w tym otoczeniu.

Po kolacji w ponurej sali jadalnej sir Henryk i Watson idą do swoich sypialni. W nocy Watson słyszy dobiegający z wnętrza domu głośny szloch kobiety.

1.7. Stapletonowie z Merrit House

Nazajutrz Watson wspomina Barrymore'owi o nocnym płaczu kobiety. Służący twierdzi, że jego żona nie płakała, ale doktor zauważa jej zaczerwienione oczy.

Watson idzie na pocztę, aby wyjaśnić sprawę telegramu wysłanego przez Holmesa z Londynu do służącego. Okazuje się, że telegram odebrała żona Barrymore'a, mówiąc posłańcowi, iż mąż jest na strychu. W istocie Holmes nie mógł więc jednoznacznie określić, czy sługa ten był w Baskerville Hall, w czasie gdy ktoś śledził Henryka w Londynie.

Wracając do zamku, Watson spotyka na drodze Stapletona, mieszkańca Merrit House. Wścibski przyrodnik pokazuje doktorowi Wielkie Trzęsawisko Grimpeńskie; mówi, że zna ścieżki, którymi można bezpiecznie chodzić po moczarach. Doskonale wie, po co przyjechał Watson, wspomina o Holmesie, wydaje się bardzo zainteresowany sprawą śmierci sir Karola. Nagle panowie zauważają, że w bagnie tonie jeden z kucyków, które pasą się w pobliżu. Jednocześnie dochodzi do nich dziwny jęk przechodzący w groźne wycie, a potem smutny skowyt. Zaniepokojony Watson nie wierzy, że chodzi tu o nadprzyrodzone zjawiska.

W pewnej chwili przyrodnik puszcza się w pogoń za pięknym okazem ćmy, zostawiając doktora samego. Wtedy to pojawia się jego siostra, Beryl Stapleton – smukła, wysoka i wytworna brunetka, o twarzy delikatnej i dumnej. Myśli, że rozmawia z sir Henrykiem i każe Watsonowi natychmiast

wracać do Londynu. Wypowiada słowa przestrogi, po czym prosi, aby nie mówić jej bratu, który zresztą wraca za moment. Stapleton przedstawia siostrze doktora Watsona, po czym zaprasza go do siebie.

Dom sprawia dobre wrażenie, pokoje są urządzone ze smakiem, jednak Watson dziwi się, że młodzi ludzie mieszkają na takim pustkowiu. Stapleton wyjaśnia, że był właścicielem szkoły na północy Anglii, jednak wybuchła w niej epidemia i trzech chłopców zmarło. Zakład podupadł, a mężczyzna stracił znaczną część kapitału. Dlatego przenieśli się z siostrą w to miejsce. Ale – jego zdaniem – czują się tu szczęśliwi, gdyż Stapleton może realizować swoje pasje, zamiłowanie do botaniki i zoologii. Dziewczyna też twierdzi, że się nie nudzi – mają swoje książki, zainteresowania, wreszcie miłych sąsiadów. Stapleton oznajmia Watsonowi, że ma chęć odwiedzić Henryka Baskerville'a. Doktor mówi, że przekaże mu tę wieść, po czym żegna się z rodzeństwem i rusza w drogę powrotną.

Po jakimś czasie dogania go panna Stapleton i wyjaśnia, że mówiąc o grożącym niebezpieczeństwie, miała na myśli Henryka. Zna legendę o psie Baskerville'ów i chciała uchronić kolejnego właściciela zamku przed zemstą. W jej słowach kryją się niedomówienia i zagadki, a Watson nie potrafi dociec prawdy.

1.8. Pierwszy raport doktora Watsona

Narrator (czyli Watson) stwierdza, że odtąd będzie przepisywał własne listy, adresowane do Holmesa. Odtwarzają one jego ówczesne odczucia i podejrzenia.

W liście z 13 października Watson pisze, że prawdopodobnie zbiegły więzień opuścił już okolice Baskerville Hall. Następnego dnia po wizycie rodzeństwa Stapletonów u Henryka całe towarzystwo wyprawia się do wąwozu, gdzie zgodnie z legendą doszło do tragedii. Stapleton wierzy, że rodzinę mogą przesładować jakieś złe siły, jednak nie wypowiada swych przekonań otwarcie, aby nie zdenerwować Henryka.

W drodze powrotnej panowie wstępują na śniadanie do Merripit House i tam Henryk poznaje pannę Stapleton. Wywiera na nim głębokie wrażenie, zaczyna się nią interesować, co powoduje niezadowolenie Stapletona. Ona zaś we wszystkim słucha się brata, który ma dość surowy charakter. Między młodymi może zrodzić się uczucie, a wtedy Watsonowi będzie jeszcze trudniej towarzyszyć Baskerville'owi i chronić go.

Doktor wspomina o poznaniu pana Franklanda z Lafter Hall, ziemianina, który bezustannie wytacza komuś sprawy sądowe. Obecnie zamierza wytoczyć proces doktorowi Mortimerowi za to, że bez zezwolenia rodziny zmarłego wykopał z grobu w Long Down prehistoryczną czaszkę z okresu kamienia ciosanego.

Watsona wciąż intrygują Barrymore i jego żona. Często widzi ślady łez na jej twarzy, uważa, że gnębi ją jakieś wielkie zmartwienie albo wyrzuty sumienia. Pewnej nocy budzi się, słysząc skradające się kroki. Wygląda na korytarz i dostrzega Barrymore'a. Idzie za nim i zauważa, że mężczyzna wchodzi do jednego z pokoiów po drugiej stronie korytarza i staje, skulony, przy oknie, trzymając świecę przed szybą. Po kilku chwilach wzdycha głęboko i gasi świecę.

Watson rozmawia o tym zdarzeniu z Henrykiem, układają razem plan działania w celu zdemaskowania Barrymore'a.

1.9. Drugi raport doktora Watsona

W liście z 15 października Watson zauważa, że Barrymore mógł wypatrywać czegoś na moczarach i obaj z Henrykiem postanawiają przyłapać go na gorącym uczynku. Baronet chce odnowić zamek, nawiązał kontakty z przedsiębiorcą budowlanym w Londynie oraz z architektem. Jest zakochany w pannie Stapleton. Pewnego dnia wybiera się na umówione spotkanie z dziewczyną i prosi Watsona, by mu nie towarzyszył. Ten jednak obawia się o niego, dlatego idzie w ślad za Baskerville'em.

Na ścieżce dochodzi do oświadczeń Henryka, które znieacka przerywa pojawienie się brata dziewczyny. Stanąwszy przed zakochanymi, urządza on siostrze awanturę, po czym oboje odchodzą, pozostawiając przygnębionego Henryka.

Tego samego dnia po południu Stapleton zjawia się w zamku i przeprosza za swoje awanturnicze zachowanie. Twierdzi, że siostra jest dla niego wszystkim i oburzyła go myśl, że Henryk miałby ją zabrać. Teraz jednak żałuje całego zajścia. Prosi, aby Baskerville obiecał mu, że przez trzy miesiące nie będzie podejmował żadnych starań o pannę, a wtedy on przestanie stawiać opór. Henryk zgadza się na taki warunek i obaj dochodzą do porozumienia.

Wyjaśnia się sprawa dziwnego zachowania małżeństwa Barrymore'ów. Henryk wraz z Watsonem śledzi sługę, który znów wystaje w oknie ze świecą. Przyłapano na tym, nie chce niczego wyznać, ale do pokoju wchodzi jego

żona i wyjawia prawdę. Okazuje się, że zanoszą jedzenie na moczary bratu żony, którym okazuje się być zbiegły z więzienia przestępca Selden.

Watson i Henryk wybierają się z rewolwerem na moczary, aby ująć przestępcę. W drodze słyszą okropne wycie psa. Udaje się im znaleźć Seldena, ale ten ucieka tak szybko, że nie potrafią go dogonić. Watson dostrzega na szczycie skały wysokiego szczupłego mężczyznę, stojącego z pochyłą głową i skrzyżowanymi rękami. Przeraża go myśl, że to duch moczarów. Przyjaciele szybko wracają do domu.

1.10. Wyjątek z dziennika doktora Watsona

Narrator postanawia tym razem odwołać się do wspomnień ze swojego dziennika.

Jego zapiski z 16 października opisują, jak w mglisty i posepny dzień Watson snuje domysły na temat zawilej sprawy Baskerville'ów. Tymczasem do baroneta przychodzi Barrymore z pretensjami. Uważa, że obaj z Henrykiem postąpili nielojalnie, ścigając Seldena po tym, jak żona służącego wyjawiała im całą prawdę. Mówi, że niedługo zbieg znajdzie się już w Ameryce Południowej i prosi ich, aby nie zawiadamiali policji. Po dłuższym zastanowieniu Henryk zgadza się na zwłokę w ujawnieniu przestępcy. W ramach odwzajemnienia się za tę przysługę, służący zdradza im pewną tajemnicę. Sir Karol w dniu swojej śmierci dostał z Coombe Tracey tajemniczy list od kobiety o inicjałach L. L. Nadawca listu zaklinał Baskerville'a, by spalił pismo i pojawił się przy furtce o godzinie 22.

W notatkach z 17 października Watson opisuje, jak wyszedł wieczorem na moczary i odnalazł Czarny Szczyt, na którym poprzedniego dnia widział nieznanego mężczyznę. W drodze powrotnej spotyka doktora Mortimera, dowiaduje się od niego, że kobietą o inicjałach L. L. może być Laura Lyons, córka Franklanda mieszkająca w Coombe Tracey.

Mortimer zostaje na obiedzie w zamku, a Barrymore zwierza się Watsonowi, że w ruinach na moczarach ukrywa się jeszcze jeden człowiek. Pełen niepokoju, twierdzi, że sir Henryk powinien jak najszybciej wrócić do Londynu, bo ktoś knuje tu przeciwko niemu spisek.

1.11. Człowiek z Czarnego Szczytu

Od dnia 18 października wypadki toczą się szybko. Watson jedzie do Coombe Tracey, do pani Laury Lyons.

Na pierwszy rzut oka [...] robiła wrażenie niezwykle pięknej kobiety. Oczy i włosy jej miały jednakową barwę kasztanu o gorących blaskach, twarz, lekko

piegowata, o żywej cerze brunetki, jaśniała rumieńcem takiego delikatnego odcienia, jak zaróżowione płatki wewnętrzne róży herbacianej [...] Była w jej obliczu jakaś subtelna wada – pospolity wyraz, a może znowu spojrzanie, skrzywienie ust, które psuło doskonałą piękność rysów.

Pani Lyons początkowo głośno wyraża swoje oburzenie z racji wkroczenia w jej prywatne sprawy. W końcu, gdy Watson stwierdza, że w razie braku współpracy zgłosi sprawę na policję i wybuchnie skandal, postanawia udzielić mu kilku informacji. Są one jednak niepełne i równie zagadkowe. Przyznaje, że napisała list, ponieważ chciała się spotkać z sir Karolem. Kilku znajomych wiedziało o jej trudnościach materialnych, a jeden z nich, pan Stapleton, zwrócił się do sir Karola w jej imieniu z prośbą o pomoc. Jednak nie przyszła na umówione wieczorne spotkanie, gdyż otrzymała pomoc z innego źródła. Nazajutrz rano przeczytała w gazecie wiadomość o śmierci właściciela zamku.

Watson wychodzi od niej zawiedziony i zniechęcony. W drodze do domu spotyka Franklanda, który zaprasza go na wino z okazji zwycięstwa w dwóch procesach. Okazuje się, że wygrał sprawę sądową o przeprowadzenie drogi publicznej przez sam środek ogrodu starego Middletona, ponadto ogrodził i zamknął lasek, w którym mieszkańcy Fernworthy urządzali sobie majówki.

W trakcie rozmowy stary ziemianin opowiada Watsonowi, że odkrył kryjówkę więźnia Seldena na moczarach. Z jego informacji łatwo wysnuć wniosek, że ma na myśli nieznanego mężczyznę, którego doktor widział stojącego na Czarnym Szczycie. Obaj obserwują przez lunetę, jak jakiś chłopiec niesie jedzenie na moczary.

Watson żegna się z Franklandem i postanawia sam rozwiązać tę zagadkę. Idzie tropem obserwowanego chłopca do jednego z kamiennych osiedli na moczarach, gdzie rzeczywiście napotyka domostwo służące komuś za schronienie. W środku znajduje koce okryte nieprzemakalnym płaszczem, sprzęty kuchenne, wiadro i szereg pustych puszek po konserwach. Spostrzega kartkę leżącą na zawiniątku z jedzeniem. Czyta następujące zdanie: „Dr Watson pojechał do Coombe Tracey”. Domyśla się, że każdy jego krok był śledzony, ale nie wie, kim jest nieznanomy – przyjacielem czy wrogiem. Czeka na niego w kryjówce aż do wieczora. Nagle słyszy głos Sherlocka Holmesa...

1.12. Śmierć na moczarach

Okazuje się, że Sherlock Holmes to nieznanomy z Czarnego Szczytu! Przyjechał do Baskerville Hall i ukrył się w opuszczonym domostwie na moczarach, aby móc spokojnie rozwiązywać zagadkę. Holmes chwali Wat-

sona za przenikliwość, gorliwość i inteligencję, a ten opowiada mu o swojej wizycie u Laury Lyons. Detektyw natomiast odkrył, że panna Stapleton jest żoną Stapletona, a nie jego siostrą, o czym nie ma pojęcia zakochana w nim Laura. Ta ostatnia chciałaby wyjść za mąż za rzekomego kawalera, który – zdaniem Holmesa – jest przebiegłym przestępcą planującym zabójstwo sir Henryka Baskerville’a.

Nagle do ich uszu dociera straszny krzyk i jęk, a potem groźny pomruk psa. Holmes z Watsonem pędzą przed siebie w poszukiwaniu źródła odgłosów. Nad urwiskiem znajdują zwłoki zbrodniarza Seldena ubranego w kamizelkę sir Henryka. Początkowo sądzą, że to właściciel Baskerville. Zauważają nadchodzącego Stapletona. Udając przerażenie, pochyła się on nad ciałem mężczyzny. Na jego twarzy widać rozczarowanie, że to nie sir Henryk. Stapleton wita się z Holmesem, od razu go rozpoznaje. Detektyw oznajmia, że jutro wraca do Londynu. Zostawiają zwłoki w tym samym miejscu, zamierzając poinformować o swym odkryciu policję. Rozchodzą się.

1.13. Zarzucanie sieci

Sir Henryk cieszy się na widok Holmesa, który oznajmia, że rozwiązanie zagadki jest bliskie i żąda od Baskerville’a ślepego posłuszeństwa w najbliższych godzinach. Tymczasem Watson powiadamia Barrymore’ów o śmierci Seldena.

Gdy Baskerville udaje się na spoczynek, Holmes pokazuje Watsonowi rodowe portrety przodków wiszące na ścianie. Jeden z nich do złudzenia przypomina Stapletona, który – jak się okazuje – pochodzi z rodziny Baskerville’ów.

Następnego dnia Holmes układa plan działania. Oznajmia Henrykowi, że jedzie wraz z Watsonem do Londynu, a on ma iść sam do Stapletonów na kolację; ma również powiedzieć im, że wróci do zamku piechotą przez moczary oraz poinformować ich mimochodem o wyjeździe detektywa Sherlocka. Tymczasem do Dartmoor ma przyjechać zaproszony przez Holmesa inspektor Lestrade z nakazem aresztowania, podpisanym *in blanco*.

Holmes i Watson jadą do pani Lyons. Dowiadują się, że to Stapleton kazał jej napisać i podyktował list do sir Karola, a potem poradził, aby nie poszła na to spotkanie. Kiedy zmarł sir Karol, Stapleton powiedział, że jego śmierć jest bardzo tajemnicza i jeśli prawda wyjdzie na jaw, kobieta znajdzie się na liście podejrzanych. Laura nie wyjawiała policji prawdy, ponieważ

mężczyzna zwodził ją słowami miłości, obiecując, że ożeni się z nią, gdy tylko ona uzyska rozwód.

Detektywi żegnają się z panią Lyons i wracają na stację. Witają inspektora, który właśnie przybył pociągiem z Londynu.

1.14. Pies Baskerville'ów

Zapada noc, gdy Holmes wraz z Watsonem i inspektorem Lestrade'em jadą w stronę zamku. Docierają do Merripit House, idą ostrożnie ścieżką prowadzącą do siedziby Stapletonów. Zatrzymują dorożkę tuż za skałami, a resztę drogi przebywają piechotą, docierając pod dom przestępcy. Watson skrada się pod oknami i przez podniesione rolety widzi Stapletona oraz sir Henryka pogrążonych w rozmowie. Stapleton wychodzi na chwilę do szopy na podwórzu, po czym wraca do domu. Nad Trzęsawiskiem Grimpeńskim pojawia się mgła, co niepokoi Holmesa.

W końcu sir Henryk wychodzi od Stapletonów i idzie ścieżką obok kryjówki Holmesa. Gdzieś w oddali słyszą psa. Ogromne, czarne jak węgiel zwierzę z fosforyzującymi ślepiami, jakby miotające płomienie, pędzi długimi susami w ślad za Henrykiem. Holmes i Watson strzelają, słychać wycie, jednak ranny potwór nie zatrzymuje się, tylko pędzi dalej przed siebie. Holmes rzuca się w pościg, za nim biegną Watson i Lestrade. Dopadają zwierzę w chwili, gdy ma chwycić sir Henryka za gardło. Detektyw zabija psa pięcioma kulami z pistoletu. Ratuje Baskerville'a, który zemdlął z przerażenia; wlewają mu do ust koniak. Podprowadzają go potem do skały, prosząc, aby usiadł. Sami muszą – jak twierdzi Holmes – doprowadzić do końca dzieło, czyli schwytać zbrodniarza.

Detektywi wracają do domu Stapletonów i znajdują tu żonę przestępcy, skępowaną i przywiązaną do słupa. Uwolniona kobieta zdradza im kryjówkę męża na wyspie, pośrodku Wielkiego Trzęsawiska, gdzie mieściła się dawniej kopalnia cyny.

Holmes postanawia poczekać, aż opadnie mgła. Zostawiają inspektora na straży w Merripit House, a sami wracają z baronetem do Baskerville Hall. Opowiadają sir Henrykowi całą tę historię, lecz dla baroneta wstrząs jest zbyt duży. Młody człowiek dostaje nocą gorączki i trzeba zawołać doktora Mortimera.

Lekarz orzeka, że jedynie podróż dookoła świata pomoże Baskerville'owi dojść do siebie po ciężkich przeżyciach. Ofiarowuje się towarzyszyć mu w tej wyprawie.

Następnego dnia mgła ustępuje i pani Stapleton prowadzi ich do miejsca, z którego razem z mężem wytyczyli ścieżkę na trzęsawisko. Holmes wpada po pas w błoto i nagle znajduje zaginiony but, stary czarny trzewik sir Henryka. Prawdopodobnie złoczyńca po ucieczce nie zdołał dojść do swojej kryjówki i utopił się gdzieś w bagnach. Natomiast na wyspie detektywi odnajdują liczne ślady jego pobytu, m.in. przytwierdzony do haka łańcuch, na którym trzymano psa i fosforyzującą mieszaninę w puszcze, którą zbrodniarz smarował zwierzę, aby przypominało potwora zięjącego ogniem.

1.15. Rzut oka wstecz

Minęło kilka miesięcy. W pewien zimny listopadowy wieczór sir Henryk, Mortimer i Watson siedzą w gabinecie Holmesa na ulicy Baker i zaczynają rozmowę na temat wydarzeń związanych ze sprawą Baskerville’ów. Holmes stwierdza, że portret w zamku przedstawiał rzeczywiście Stapletona, który należał do rodu Baskerville’ów. Był on synem młodszego brata sir Karola, owego Rogera Baskerville’a, który z powodu swych skandalicznych postępów zbiegł do Ameryki Południowej i tam zmarł. Jednak był on wcześniej żonaty i miał syna, który poślubił pannę Beryl Garcia, znaną piękność z Kostaryki. Potem sprzeniewierzył znaczną sumę pieniędzy z funduszy publicznych, zmienił nazwisko na Vandeleur i uciekł do Anglii, gdzie założył szkołę w miejscowości we wschodniej części Yorkshire. Jednak szkoła wkrótce upadła, jej właściciel zaś przybrał nazwisko Stapleton i przeniósł się na południe Anglii. Pragnął za wszelką cenę zdobyć majątek Baskerville’ów, ale prawo dziedziczenia uniemożliwiało mu istnienie dwóch osób – sir Henryka i sir Karola. Baronet sam opowiedział mu legendę o psie i tak zgotował sobie zgubę. Stapletonowi nasunął się plan zbrodni – wiedział, że Karol wierzy w legendę, a przy tym choruje na serce. Kupił więc w Londynie psa, a był to największy i najbardziej zły pies, jakiego znalazł. Przywiózł go do kryjówki na moczarach, uwiązał na łańcuchu i czekał na odpowiednią chwilę. Ponieważ żona nie chciała uwikłać Karola w miłosną intrygę, Stapleton wykorzystał w tym celu panią Laurę. Wieczorem, gdy Baskerville przybył na umówione z nią spotkanie, poszczuł zwierzę na baroneta, który przerażony uciekał tak długo, aż zmarł na atak serca.

Mimo że pani Stapleton bała się swojego męża, który bił ją i znęcał się nad nią psychicznie, postanowiła ostrzec sir Henryka. Wpadła na pomysł wycięcia słów z „Timesa” i wysłania anonimu. Tymczasem przestępca zabrał ofierze but, aby pies mógł skojarzyć zapach i w odpowiednim momencie ru-

szyć do ataku. Pierwszy skradziony but był nowy, więc bezużyteczny. Przydał się dopiero drugi. Prawdopodobnie podczas śledzenia gości w Londynie i nie tylko tam Stapleton dokonywał kradzieży, zasilając swoje konto. Pewnie miał zamiar zabić baroneta już w mieście, ale w sprawę wdał się Holmes, więc złoczyńca zrozumiał, że nie zdoła tu nic więcej zdziałać. Powrócił do Dartmoor i czekał na przyjazd sir Henryka. Holmes odtąd podejrzewał Stapletonów i śledził mężczyznę potajemnie w Dartmoor. Przebywał często w Coombe Tracey, korzystał też z kryjówki na moczarach. Wziął ze sobą chłopca z biura posyłek, Cartwrighta, który służył mu wielką pomocą w wieśniaczym przebraniu. Poznał szczegóły z życia przestępcy, zdobył wreszcie potrzebne dowody i przyłapał go na gorącym uczynku.

2. *PIES BASKERVILLE'ÓW* – CZAS I MIEJSCE AKCJI

Akcja opowiadania rozgrywa się w XIX wieku, miejsc wydarzeń zaś jest kilka. Główną przestrzenią staje się słynne Baskerville Hall, gdzie znajduje się zamek Baskerville'ów, a także otoczone złą sławą Wielkie Trzęsawisko Grimpeńskie, gdzie mieli swą kryjówkę zarówno zbrodniarz Stapleton, jak i zbiegły z więzienia Selden. Doktor Watson i Sherlock Holmes przyjmują swych klientów na ulicy Baker, przebywają też krótko w Coombe Tracey, gdzie mieszka Laura Lyons.

3. *PIĘĆ PESTEK POMARAŃCZY* – TREŚĆ OPOWIADANIA

Doktor Watson, przeglądając notatki z lat 1882–1890, postanawia opowiedzieć o jednym z niezmiernie zagadkowych i dziwnych przypadków, w które zagłębiał się genialny detektyw Sherlock Holmes. Rok 1887 przynosi obfity zbiór zagadek, wśród nich zaś sprawę Johna Openshawa.

Pewnego wieczoru, kiedy Watson wraz z Sherlockiem Holmesem siedzą przy kominku, ktoś puka do drzwi. Wkrótce do mieszkania wchodzi młody, na oko dwudziestodwuletni, elegancki mężczyzna, który przedstawia się im jako John Openshaw i opowiada straszną historię. Twierdzi, że zostanie niedługo zamordowany, podobnie jak wcześniej jego stryj i ojciec.

Stryj młodzieńca – Elias – w młodości wyemigrował do Ameryki, tam dorobił się majątku i założył na Florydzie dobrze prosperującą plantację. Walczył w armii Jacksona, gdzie otrzymał stopień pułkownika. Około 1870 roku wrócił do Europy i nabył ziemię w Sussex. Od tej pory zamknął się w sobie, zaczął unikać ludzi, dużo pił i palił. 10 marca 1883 roku przyszedł

do niego list z Pondicherry w Indiach. Kiedy otworzył kopertę, wypadło z niej pięć pestek pomarańczy, które rozsypały się po kuchni.

Na ten widok stryj zbladł jak chusta, wykrzyknął, że ścigają go dawne grzechy i czeka go śmierć. Na kopercie znajdował się napis składający się z trzech liter: K. K. K. Stryj zawołał adwokata Fordhama, aby sporządzić testament, wezwał też Johna na świadka swojej ostatniej woli. Cały majątek pozostawił swojemu bratu, ojcu młodzieńca.

W następnych dniach nie działo się nic szczególnego, co mogłoby zakłócić normalne życie Eliasza, a jednak stał się on jeszcze większym odludkiem – większość czasu siedział zamknięty w swoim pokoju. Pewnej nocy w ataku szału wybiegł z domu i nie wrócił. Znalezione go leżącego w płytkim stawie na końcu ogrodu. Na ciele zmarłego nie stwierdzono żadnych obrażeń i władze sądowe orzekły, że mają do czynienia z samobójstwem. Jednak John uważał, że śmierć Eliasza nie jest przypadkowa.

Cały majątek zmarłego przypadł Józefowi, ojcu Johna, który przybył do Horsham na początku 1884 roku i aż do 4 stycznia 1885 roku żył w miarę spokojnie. Niestety także i do niego przyszedł list z pięcioma pestkami pomarańczy i zagadkowym tekstem: „Połóż papiery na kompasie”.

Wszystkie dokumenty rodzinne zostały wcześniej zniszczone przez stryjaka, więc nie można było nic zrobić, tym bardziej że uparty Józef zabronił wzywania policji.

Na trzeci dzień po otrzymaniu zagadkowego pisma Openshaw wybrał się w odwiedziny do swego starego przyjaciela, majora Freebody'ego. John cieszył się, myśląc, że ojciec z dala od domu będzie bezpieczny. Jednak mylił się. Józef wpadł do jednej z kredowych sztolni i zmarł w szpitalu, nie odzyskawszy przytomności. Również i w tym wypadku władze stwierdziły, że wydarzył się nieszczęśliwy wypadek. Syn był pewien, że jego ojciec został zamordowany, a źródeł tego strasznego czynu dopatrywał się w przekleństwie ciążyącym nad całym rodem.

Dlaczego młody Openshaw zjawił się u Holmesa? Ojciec pozostawił mu w spadku rodzinny majątek i przez dwa lata John żył spokojnie, aż do chwili, gdy otrzymał podobną kopertę z pięcioma pestkami pomarańczy. Przesyłka nadeszła z Londynu dwa dni wcześniej i zawierała to samo polecenie oraz trzy litery: K. K. K.

John poczuł się przerażony i bezradny. Był na policji, ale inspektor przypuszczał raczej, że chodzi o głupie żarty. Przydzielono mu tylko do ochrony

jednego policjanta, który miał pilnować domu. Na szczęście przypadek ten był tak intrygujący, że Holmes nie odmówił nieszczęśliwemu pomocy.

Mężczyzna pokazał mu naderwany skrawek papieru, który znalazł na podłodze w pokoju stryja, zapisany jego ręką. Na górze widniała data, marzec 1869 r., a pod nią znajdowały się zagadkowe notatki.

Zaniepokojony Holmes poradził swemu klientowi, aby jak najszybciej wrócił do domu i włożył papier do szkatułki oraz dołączył do niego karteczkę z informacją, że wszystkie dokumenty spalił stryj i nic więcej nie zostało.

John powiedział, że zastosuje się do poleceń detektywa. Miał zjawić się u niego za dwa dni i przynieść wiadomość o szkatułce i papierze, Sherlock z kolei uważał, że klucz do rozwiązania zagadki tkwi w Londynie.

Po wyjściu Openshawa Holmes zaczyna zastanawiać się nad tą interesującą i dziwną sprawą. Szybko dochodzi do wniosku, że stryj Johna miał poważne powody do wyjazdu z Ameryki i dziwnego unikania ludzi – najprawdopodobniej czegoś się obawiał. Mordercom – a z pewnością jest ich kilku, ogromnie zdeterminowanych i przebiegłych – zależało na dokumentach przez niego przechowywanych. Sugeruje Watsonowi, że człowiek piszący listy pływał na statkach, ponieważ stemple pocztowe z kopert pochodzą z portów: Pondicherry, Dundee i Londynu. Uważa ostatni z listów za najgroźniejszy, gdyż zawsze dochodziło do zabójstw, kiedy przestępcy byli w okolicy swej ofiary, w tym wypadku zaś muszą przebywać bardzo blisko. Zdaniem Holmesa, pod literami K. K. K. ukrywa się Ku-Klux-Klan, tajna organizacja zawiązana przez wojskowych w USA po wojnie domowej. Terroryzowała ona Murzynów, a swych przeciwników mordowała lub wypędzała z kraju. Działała bardzo sprawnie aż do roku 1869, a data ta zbiega się z zniknięciem z Ameryki stryja Eliasza i jego dokumentów.

Następnego dnia rano Holmes szykuje się do dalszych badań nad nową sprawą, gdy tymczasem doktor Watson znajduje w gazecie wzmiankę o tym, że wczoraj John Openshaw uległ nieszczęśliwemu wypadkowi między dziedziątą a dziesiątą wieczorem, czyli niemal zaraz po wyjściu z domu detektywa. Według władz sądowych, prawdopodobnie pomylił drogę, spiesząc się na ostatni pociąg odchodzący ze stacji Waterloo i spadł z mostu prosto do rzeki.

Ta tragiczna informacja bardzo boleśnie zraniła Holmesa. Przecież John przyszedł do niego po pomoc, gdy tymczasem detektyw wysłał go na pewną śmierć! Dlatego też postanawia od razu wyruszyć na poszukiwanie śladów i zastawić sidła na przestępców. Przez cały dzień nie ma go w domu, przy-

chodzi około godziny 22, błądy i zmęczony. Mówi Watsonowi, że od rana nie miał nic w ustach, ponieważ był „piekielnie zajęty”. Dodaje, że ma zbrodniarzy w garści, młody Openshaw zaś wkrótce zostanie pomszczony.

Holmes wyjmuje z kredensu pomarańczę i podzieliwszy ją na części, wyciska pestki na stół. Wybiera pięć, wkłada je do koperty i adresuje: „Kapitan James Calhoun na pokładzie «Lone Star» Savannah, Georgia”. Chichocze, po czym oznajmia Watsonowi, że jest to wyrok śmierci dla herszta szajki, który doręczą mu po wejściu do portu.

Okazuje się, że w ciągu dnia Holmes siedział nad rejestrami Lloyd’a i starymi gazetami, śledząc drogę każdego statku, który zawinął do Pondicherry w styczniu i w lutym 1883 r. Drogą eliminacji i dedukcji ustalił, że chodzi mu o statek „Lone Star”, który wyruszył z Londynu i był w Ameryce w styczniu 1885 r. Okazało się, że przyplłynął on do Londynu w ubiegłym tygodniu, potem wyruszył do Savannah. Kapitan i dwaj jego zastępcy są Amerykanami, a całej tej trójki nie było na pokładzie w nocy, kiedy dokonano zabójstwa Johna. Holmes wysłał więc do kapitana kopertę, w której umieścił pestki, a także nadał depezę do tamtejszej policji, z prośbą o wydanie zabójców.

Mordercom Johna Openshawa nie było dane odebrać koperty z pięćmioma pestkami pomarańczy. Statek „Lone Star” rozbił się gdzieś na dalekim Atlantyku.

4. PIĘĆ PESTEK POMARAŃCZY – CZAS I MIEJSCE AKCJI

Akcja opowiadania toczy się w 1887 r. Rozpoczyna się wieczorem, w jeden z ostatnich wrześniowych dni. Pogoda jest wówczas okropna – wieje silny wiatr i pada deszcz.

Głównym **miejscem akcji** jest mieszkanie detektywa Sherlocka Holmesa znajdujące się w Londynie, przy ulicy Baker 221b. Z ust bohaterów – młodego Johna Openshawa i Sherlocka Holmesa – dowiadujemy się o innych miejscach, w których doszło do tragicznych zdarzeń:

- * posiadłości w pobliżu Horsham w Sussex, gdzie mieszkał i zmarł stryj Johna Openshawa, a także jego ojciec Józef,
- * moście Waterloo, z którego zrzuciono Johna,
- * Atlantyku, w którym zginęli przestępcy.





5. BOHATEROWIE

5.1. Sherlock Holmes

Ten **elegancko ubrany** mężczyzna w średnim wieku, w płaszczu w kratkę i z nieodłączną fajką w zębach (pałił najlepszy tytoń) stał się postacią znaną czytelnikom całej Europy, a przede wszystkim wzorem genialnego detektywa. Jest to najsłynniejszy fikcyjny bohater literatury kryminalnej na świecie! Z notatek Watsona wynika, że przyszedł na świat 6 stycznia 1854 r. w Yorkshire. Jak wyglądał jako dorosły mężczyzna?

Wysoki, chudy, spojrzenie ostre i przenikliwe, cienki, orli nos nadawał jego twarzy wyraz czujny i stanowczy. Podbródek wystający i kwadratowy, typowy dla ludzi o mocnym charakterze¹.

Tyle literatura. Pierwsze ilustracje do opowiadań, przedstawiające Holmesa, zostały zrobione przez ojca Arthura Conan Doyle’a, Charlesa. Holmes ma na nich kręcone włosy, twarz marzyciela i za dużą marynarkę. Jednak Sidney Paget, późniejszy rysownik postaci, przekazuje czytelnikom inny obraz – odtąd detektyw zawsze ukazuje się w czapce i z zakrzywioną fajką w zębach, a jego twarz nabiera chłodnych rysów naukowca.

Przyjaciel geniusza, doktor Watson, akcentuje jego **schludny i nienaganny wygląd** w każdej sytuacji. W *Psie Baskerville’ów* Holmes musi przez dłuższy czas ukrywać się na moczarach w Baskerville Hall, a jednak jego ubiór pozostaje świeży i elegancki: *Dbali o czystość swojej osoby, jak kot o swoje futerko – co jest jednym z jego rysów charakterystycznych – postarał się, żeby mieć podbródek taki gładki, a bieliznę takiej niepokalanej czystości, jak gdyby wyszedł ze swej gotowni przy ulicy Baker.*

Wbrew potocznym opiniom na temat inteligencji, która ponoć nie idzie w parze z tężyzną fizyczną, Holmes jest nadzwyczaj **sprawny, wysportowany i silny**. Doskonale strzela z pistoletu, zna wschodnie sztuki walki. Często pracuje w nocy, dlatego wstaje zazwyczaj bardzo późno, chyba że nie kładzie się spać wcale, co zdarza mu się dość często.

Tytoń do fajki trzymał w perskim pantoflu, grał na skrzypcach o dowolnych porach, przychodzącą pocztę przybijał sztyletem do kominka, a eksperymenty chemiczne przeprowadzał w salonie. Tam także ćwiczył strzelanie, pozostawiając

¹ Cyt. za: E. Lech, S. Tarkowski, *Słownik lektur dla sześcioletnich szkół podstawowych*, Wydawnictwo Skrypt, Warszawa 2001, s. 62.

w ścianie dziury po kulach ukształtowane w patriotyczne VR. Takie zachowanie musiało oburzać gospodynię, panią Hudson i innych sąsiadów¹.

Doktor Watson już na początku znajomości z genialnym detektywem określił trafnie zasób jego wiadomości. Świadczy o tym następujący fragment: *O ile pamiętam, z filozofii, astronomii i polityki otrzymałeś zero, w botanice byłeś niezrównany, w geologii dokładny, szczególnie w znajomości wszystkich okolic Londynu. Dalej chemia – świetna, wiadomości z anatomii niesystematyczne, za to znakomita znajomość literatury kryminalnej. Oprócz tego byłeś dobrym bokserem, fechtmistrem i jurystą.*

Rzeczywiście, wnioskując z opinii Watsona, Holmes znał się doskonale na wszelkich rodzajach trucizn, na chemii i anatomii, a jego wiedza dotycząca literatury kryminalnej była zadziwiająca – znał niemal każdy szczegół zbrodni, które popełniono w jego epoce.

Holmes studiował w Oksfordzie i w Cambridge, lecz ten żywy jak iskra umysł nie poprzestawał tylko na zdobywaniu dyplomów. Samodzielnie również zgłębiał wiedzę.

Wielkim atutem Sherlocka Holmesa jest **umiejętność czystej dedukcji**, opartej na poznanych faktach, dotyczącej konkretnej sprawy. On sam uważa, że wszystko można rozstrzygnąć przez dokładną analizę wydarzeń i ich okoliczności. Jak pracuje Holmes? Przede wszystkim... myśli! Siada w swoim ulubionym fotelu przy kominku, zapala fajkę i formuje kółka z tytoniowego dymu. Przygląda się im, dedukując i starając się ułożyć sobie w głowie fakty dotyczące danej zagadki kryminalnej.

W rozszyfrowaniu problemów pomaga mu znajomość psychologii, chemii, prawa, policyjne kroniki wypadków, z pewnością także umiejętność wyłączenia się z otoczenia i relaksacja, np. gra na skrzypcach. Zauważmy, że do złapania przestępcy i udowodnienia mu zbrodni potrzebna jest nie tylko wiedza, ale przede wszystkim **spostrzegawczość i sumienność, umiejętność szybkiego kojarzenia faktów**, jak też **uważnego słuchania** ludzi, którzy zgłaszają się do niego z trudnymi sprawami.

Holmes jest **mily** i **sympatyczny** w stosunkach z innymi, zawsze stara się pomóc osobie, która do niego przychodzi. **Wrażliwy** na cudze cierpienie, bardzo głęboko przeżywa np. śmierć Johna Openshawa, której nie zdołał zapobiec.

¹ Cyt. za: http://www.czytanie.pl/index.php?strona=006/historia_holmesa.

Watson mówi: *Jedną z wad Holmesa – jeśli to wadą nazwać można – była niesłychana powściągliwość w zwierzaniu się komukolwiek z powziętych planów. Wynikało to w części z jego despotycznej natury, skutkiem której lubił mieć przewagę i sprawiać otoczeniu niespodzianki; w części zaś z podejrzliwości zawodowej, która nakazywała mu nie zaniedbywać żadnej ostrożności.*

Wynik tej właściwości Holmesa był wszakże bardzo niemiły dla tych, którzy mu pomagali w jego przedsięwzięciach. Ten **fenomenalny detektyw** umiejętnie wcielał się w różne postacie, a nawet zmieniał wygląd i głos, kiedy nie chciał być rozpoznany – Watson nie rozpoznał go, gdy zobaczył postać stojącą na Czarnym Szczycie. Świadczy to o jego wielkich zdolnościach aktorskich.

Opowieści o Sherlocku Holmesie cieszyły się tak dużą sympatią brytyjskich odbiorców, że gdy Conan Doyle uśmiercił swojego bohatera w pojedynku z jego zaciekłym wrogiem, przestępcą doskonałym, profesorem Moriarty (opowiadanie pt. *Ostatnia zagadka*), fani serii nosili czarne przepaski na znak żałoby, a ich protesty sprawiły, że cudownie ocalały detektyw powrócił po kilku latach w opowiadaniu *Pusty dom* należącym do cyklu *Powrót Sherlocka Holmesa*.

Według informacji zawartych w opowiadaniach mieszkanie detektywa mieści się w Londynie przy ulicy Baker 221 b. Dziś znajduje się tam muzeum Sherlocka Holmesa, a jego wnętrze zostało urządzone według opisów i informacji pochodzących z książek.

5.2. Doktor John H. Watson

Przyjaciół Sherlocka Holmesa i jego najbliższy pomocnik jest lekarzem wojskowym służącym w brytyjskiej armii kolonialnej. Urodził się w szkockiej rodzinie, w której starszy syn przepił rodzinny majątek. Ranny w nogę (od kuli), powraca do Londynu i szuka współlokatora. Wkrótce pewien kolega ze studiów przedstawia go Holmesowi – młodzieńcowi o orlim nosie, ekscentrycznym zachowaniu i błyskotliwym intelekcie, który uczęszcza na różnego rodzaju kursy uniwersyteckie. I tak rodzi się ich przyjaźń...

Doktor Watson jest **przystojnym** mężczyzną, dość **sprawnym fizycznie** i **nieobojętnym na uroki kobiet**. W *Psie Baskerville'ów* Watson docenia piękną powierzchowność pani Stapleton, jak też Laury Lyons. Miłośnicy przygód Sherlocka doszukali się aż trzech pań Watson, natomiast w opowieści pt. *Znak czterech* czytamy, że szlachetny doktor poznaje ładną klientkę detektywa, Mary Morstan, która zostaje najcierpliwszą z żon. Kobieta ta

podziela w pełni pasję męża i rozumie, że musi on pomagać swojemu przyjacielowi w rozwiązywaniu kryminalnych zagadek.

Ten **pocziwy** i **prostoduszny** człowiek wielbi Sherlocka Holmesa i nieustannie zachwyca się jego detektywistycznymi zdolnościami oraz wspaniałymi osiągnięciami. Jest gotów **poświęcać się całkowicie dla przyjaciela**, wspólnie z nim stara się kroczyć tropami przestępców, niekiedy wydaje mu się, że potrafi to czynić tak dobrze jak Holmes. Ale geniusz chwali go rzadko. Z kolei często wyjaśnia mu tok swego dedukcyjnego rozumowania. Doktor, jako narrator, opowiada o tym czytelnikom. Prowadzi zresztą dokładne zapiski, dokumentujące trudne sprawy i poszczególne etapy ich rozwiązania. Tak dzieje się właśnie w *Psie Baskerville'ów*. Watson przesyła Holmesowi w listach dokładne sprawozdania z przebiegu swego śledztwa, dodajmy, że nauczył się od mistrza wiele – **potrafi dedukować**, jest **cierpliwy, bystry** i **nieustraszony**. Występuje w 56 utworach.

5.3. Stapleton i Beryl

Watson tak oto wspomina pierwsze spotkanie z przestępcą: *Ujrzałem mężczyznę wzrostu średniego, chudego, jasnego blondyna, o twarzy wymuskaney, bez zarostu, z wystającymi szczękami, ubranego w szary garnitur i kapelusz słomkowy; mógł mieć lat trzydzieści do czterdziestu. Przez ramię miał przewieszoną blaszankę do roślin, a w rękę niósł zieloną siatkę na motyle*. Stapleton pochodził z rodu Baskerville'ów i był synem młodszego brata sir Karola, który uciekł do Ameryki Południowej i tam zmarł. Ten ohydny przestępca rzeczywiście musiał przejąć coś z genów starego Hugona Baskerville'a, gdyż wykazywał się niezwykłym **okrucieństwem** i **sprytem**. Poślubił pannę Beryl Garcia, znaną piękność z Kostaryki i bardzo szybko sprzeniewierzył znaczną sumę publicznych pieniędzy, co pociągnęło za sobą dalsze oszustwa. Zmienił nazwisko na Vandeleur i uciekł do Anglii, gdzie założył szkołę w małej miejscowości we wschodniej części Yorkshire. Niestety szkoła podupadła i okryła się hańbą, a jej właściciel przeniósł resztki majątku na południe Anglii i znów zmienił nazwisko, tym razem na Stapleton. Zamieszkał wraz z żoną Beryl w Merripit House. Warto zauważyć, że jedyną pozytywną cechą tego nikczemnika była jego **pasja przyrodnika**, której oddawał się z wielkim poświęceniem.

Bardzo szybko zorientował się, że na drodze do dziedzictwa rodu Baskerville'ów stoją mu dwaj przodkowie – sir Karol, a potem sir Henryk. Dlatego też w jego zbrodniczym umyśle powstał diabelski plan wykorzy-

stania legendy o psie Baskerville'ów i pozbycia się konkurentów do majątku. Posunięciem świadczącym o jego pomysłowości i geniuszu stało się zastosowanie sztucznej maści w celu nadania zwierzęciu pozorów jakiegoś piekielnego potwora, co doprowadziło do ataku serca chorego sir Karola.

Stapleton był **bezwzględny** nie tylko wobec rywali do majątku, ale także wobec kobiet. Nie potrafił kochać. Znęcał się psychicznie i fizycznie nad swoją żoną, powziął nawet plan, aby to ona zwabiła miłosnym podstępem Karola nocą na moczary. Nie udało mu się to z powodu oporu Beryl. Gdy zauważył, że kobieta chce ostrzec sir Henryka, groźbami i biciem usiłował wymusić na niej posłuszeństwo. W końcu związał ją i uwięził we własnym domu. **Cyniczny** zbrodniarz nie zawahał się też wykorzystać biednej Laury Lyons, której obiecał małżeństwo i polecił napisanie listu do sir Karola. Zakochana kobieta nie wiedziała, że spotyka się z żonatym mężczyzną, bowiem Stapleton przedstawił się jej jako kawaler mieszkający z siostrą.

Trzeba przyznać, że ten **pozbawiony sumienia**, lecz wyjątkowo **przebiegły i podstępny** człowiek był godnym przeciwnikiem dla Holmesa!

Niewątpliwie możemy natomiast darzyć współczuciem żonę Stapletona, Beryl, ową piękność z Kostaryki, tyranizowaną przez męża. Zgodziła się udawać jego siostrę, ale sprzeciwiła się, gdy chciał, aby pomogła mu w zbrodni. Próbowwała ostrzec sir Henryka, ale dbała o to, żeby nie rzucać podejrzeń na męża. Kiedy zaczęła obwiniać Stapletona o zamiar popełnienia zbrodni, ten dał jej do zrozumienia, że ma rywalkę (Laurę Lyons). Wtedy doszło do gwałtownej sceny między małżonkami, w trakcie której przestępca zrozumiał, że żona nienawidzi go i może go zdradzić. W tych ostatnich chwilach odezwało się w Beryl sumienie.

5.4. Sir Henryk Baskerville

Miał on około trzydziestu lat. Był niskiego wzrostu, żywego widocznie usposobienia, czarne jego oczy spoglądały bystro spod krzaczastych brwi, co nadawało jego twarzy wyraz energii i silnej woli. Postawę miał kształtną i proporcjonalną. Ogorzała jego cera dowodziła, że spędzał większą część życia na świeżym powietrzu. Spokój w spojrzeniu i powaga w ruchach wskazywały na człowieka dobrze wychowanego. Sir Henryk od pierwszej chwili wzbudza sympatię, ale i wielki szacunek w doktorze Watsonie. Wspomina on o energicznej i wyrazistej twarzy Baskerville'a oraz jego krzaczastych brwiach, ruchliwych nozdrzach i surowym spojrzeniu czarnych oczu, znamionującym dumę,

odwagę i siłę. Ten mówiący z amerykańskim akcentem jedyny spadkobierca rodu Baskerville'ów przyznaje, że fantastyczny krajobraz i ponury zamek robią na nim niezwykle mocne wrażenie. Z pewnością trochę się obawia przyszłości, ale mężnie stawia czoła wyzwaniom, o czym świadczy już sam przyjazd do miejsca, w którym tragicznie zginęli wszyscy jego przodkowie.

Sir Henryk stara się od początku przywrócić swej siedzibie dawną świetność, pamiętając jednak o nowoczesności wnętrza. Nie szczędi na to pieniędzy. Nawiązuje kontakty z architektem, który kiedyś wykonał plany zamku dla sir Karola, a także z przedsiębiorcą budowlanym w Londynie. Pragnie wprowadzenia dużych zmian i czyni to z rozmachem. Działania te dowodzą jego wytrwałości, wyobraźni i pracowitości. Watson wspomina, że baronet wciąż grzebie w papierach, które zalegają potężnym stosem na jego biurku. Widzimy, że analizuje księgi podatkowe i wszelkie dokumenty, które mogą dać szerszy obraz stanu zamku Baskerville.

Po spotkaniu z Beryl Stapleton przeżywa bardzo silne zauroczenie młodą i piękną dziewczyną. Postanawia nawet oświadczyć się jej, co wzbudza zazdrość Stapletona, udającego brata kobiety. Sir Henryk czuje się odrzucony i zniechęcony po gwałtownym wybuchu Stapletona, ale gdy ten przychodzi z przeprosinami, przyjmuje je z radością. Jest bezpośredni, uczciwy i szczery, ale nie nalega, gdy złoczyńca proponuje mu trzymiesięczne „zawieszenie sprawy oświadczeń”, sądzi bowiem, że mimo wszystko uda mu się zdobyć rękę Beryl.

W kontaktach z Holmesem stara się dzielnie wypełniać wszelkie zalecenia detektywa, chociaż nieco oburza go chociażby przymusowe towarzystwo Watsona, szczególnie przed spotkaniem z ukochaną. Jednak rozumie sytuację, zgadza się na wszelkie niedogodności. Ponadto gości swoich przyjaciół na zamku najlepiej, jak tylko może. Życie w Baskerville Hall wydaje się sir Henrykowi z pewnością nużące, jednostajne i zbyt spokojne, jednak postanawia nie zrażać się tym. Urzeka go piękny krajobraz tego miejsca, trwoży legenda, ale wzorem wojowniczych i odważnych przodków nie okazuje strachu.



V. WYPRACOWANIA

Temat: Moje spotkanie z Sherlockiem Holmesem (opowiadanie).



Pamiętaj, że opowiadanie jest bardzo pojemną i dość długą formą naracyjną, stanowiącą zlepek wielu form wypowiedzi: charakterystyki postaci, opisu przeżyć i sytuacji, opisu krajobrazu, dialogów... Praca ma charakter trójdzielny, zatem obowiązują nas: wstęp, rozwinięcie i zakończenie. Opowiadamy pewną historię, więc warto skupić się na jednym, najważniejszym wydarzeniu, które będzie stanowiło punkt kulminacyjny opowieści.

Nie zapomnij, iż narrator opowiadania pt. *Moje spotkanie z Sherlockiem Holmesem* musi wypowiadać się w pierwszej osobie.

1. Wstęp – wprowadzenie, np.:

Tego dnia nigdy nie zapomnę... Był słoneczny lipcowy poranek, kiedy szedłem ulicą Baker, mijając po drodze uśmiechniętych przechodniów. Nagle w tym tłumie dostrzegłem znajomą twarz...

2. Rozwinięcie – wydarzenie, np.:

– Chcesz poznać sposób mojej pracy? – uśmiechnął się Holmes. – W takim razie ruszamy! – chwycił mnie za rękę, po czym z niebywałą szybkością zaczął biec chodnikiem, roztrzując przechodniów.

– Patrz! Odjeżdża dorożka! Musimy ją zatrzymać!

Jeszcze nie widziałem detektywa w akcji, więc nieco zdezorientowany rozejrzałem się w poszukiwaniu pojazdu. Rzeczywiście, jakiś dorożkarz zerwał się i popędził batem konia...

3. Zakończenie – podsumowanie, złota myśl, np.:

To był wspaniały dzień – pomyślałem. – Odtąd zacząłem bardziej się przykładać do nauki, bo przecież bez wiedzy i dedukcji nie da się łapać przestępców.



VI. ŻŁOTE MYŚLI SHERLOCKA HOLMESA

Człowiek umiejący doskonale rozumować [...] powinien, mając do dyspozycji jeden, zasadniczy dla wszystkich aspektów sprawy fakt, umieć wysnuć z niego nie tylko cały łańcuch przyczyn, które do niego doprowadziły, ale także skutków, które z niego wypłyną.

Są ludzie, którzy sami nie mając geniuszu, posiadają talent pobudzania go u innych.

Na świecie jest dużo rzeczy jasnych, na które jednak nie zwraca się uwagi.



VII. SPIS KOMENTARZY DO TEKSTU

Mortimer:

- * opis Mortimera – s. 7;
- * oględziny laski Mortimera – s. 7;
- * dedukcja Holmesa na temat Mortimera i laski – s. 9;
- * wizyta Mortimera w domu Holmesa – s. 10;
- * wygląd zewnętrzny – s. 10;
- * przyjaźń sir Karola i doktora Mortimera – s. 19;
- * Mortimer prosi o radę Holmesa – s. 23;
- * odjazd Mortimera do domu – s. 53;
- * spotkanie Watsona z Mortimerem – s. 94.

Sherlock Holmes:

- * dedukcja na temat Mortimera i laski – s. 9;
- * opis czaszki Holmesa – s. 11;
- * zwyczaj: lubi samotnie dedukować, pali fajkę – s. 25;
- * pierwsze wnioski Sherlocka Holmesa – s. 27;
- * zwyczaj: gra na skrzypcach – s. 28;
- * pokazanie Holmesowi tajemniczego listu – s. 29;
- * metoda dedukcji – s. 30;
- * odgaduje, że wyrazy do listu wycięto z „Timesa” – s. 31;
- * wnioski dotyczące sprawcy. Hipoteza, że list napisano w hotelu – s. 32;
- * zaproszenie Holmesa na śniadanie do hotelu – s. 35;
- * śledzi Mortimera i Baskerville’a – s. 36;
- * zauważenie dorożki z woźnicą – s. 36;
- * rozmowa Holmesa z Watsonem dotycząca tajemniczej dorożki – s. 36;
- * zainteresowanie sztuką – s. 39;
- * rozmawia z portierem na temat gości hotelowych – s. 39;
- * rozmowa Holmesa z sir Henrykiem o ostatnich dziwnych wydarzeniach – s. 40;
- * powrót na Baker Street – s. 45;
- * nadejście dwóch depech – s. 45;

- * rozmowa Clayтона z Holmesem – s. 45;
- * złość (dał się oszukać) – s. 47;
- * zleca Watsonowi przekazywanie informacji – s. 48;
- * wyłącza Jakuba Desmonda z kręgu podejrzeń – s. 48;
- * spotkanie Watsona z Holmesem w pieczarze – s. 109;
- * wygląd – s. 109;
- * chwali Watsona za jego gorliwość i bystrość – s. 111;
- * podejrzenia – s. 113;
- * czuje się odpowiedzialny za swojego klienta – s. 115;
- * spotkanie Watsona i Holmesa ze Stapletonem na moczarach – s. 117;
- * powrót Holmesa z Watsonem do Baskerville Hall – s. 118;
- * Holmes o Stapletonie: wytrawny przestępca – s. 119;
- * Holmes o Watsonie: porywczy, człowiek czynu – s. 119;
- * kolacja Holmesa z sir Henrykiem w zamku – s. 120;
- * analizuje portret Hugona – s. 123;
- * zauważa podobieństwo Hugona Baskerville i Stapletona – s. 123;
- * podstępny plan – s. 125;
- * spotkanie z Laurą Lyons – s. 126;
- * powściągliwy, despotyczna natura, podejrzliwy, ostrożny – s. 130;
- * powrót z Lestradem do Merripit House – s. 130;
- * zasadzka Holmesa przy moczarach – s. 131;
- * zastrzelenie psa przez Holmesa – s. 134;
- * jedna z najważniejszych zasad dedukcji – s. 144;
- * pobyt na moczarach – s. 146;
- * jest sławnym detektywem – o jego sukcesach informuje prasa na całym świecie – s. 149;
- * ambicja: najbardziej lubi trudne sprawy – s. 149;
- * informacje o ostatnich śledztwach – s. 149;
- * jest samotnikiem; Watson jest jego jedynym przyjacielem – s. 150;
- * tylko cztery razy dał się oszukać – s. 151;
- * klienci zwracają się do niego z najbardziej zawikłanymi sprawami, których nikt nie jest w stanie rozwiązać – s. 151;
- * rada – s. 158;
- * obyczaje – s. 159;
- * o swojej metodzie dedukcji – s. 159;
- * wyjaśnienie znaczenia inicjałów – s. 161;

- * zwyczajnie – gra na skrzypcach – s. 162;
- * czuje odpowiedzialność za swoich klientów – s. 163;
- * rozwiązanie zagadki – s. 164.

Jan Clayton:

- * wizyta dorożkarza Jana Claytona – s. 45;
- * rozmowa Claytona z Holmesem – s. 45;
- * opowieść dorożkarza o człowieku śledzącym sir Henryka – s. 46.

Watson:

- * opinia Holmesa o Watsonie – uznanie – s. 8;
- * postanowienie, że Watson pojedzie z sir Karolem do Dartmoor – s. 43;
- * słyszy płacz kobiety – s. 56;
- * podejrzewa, że słyszał żonę kamerdynera – s. 57;
- * wyprawa do pocztmistrza – s. 58;
- * rozmowa z pocztmistrzem o depeszym – s. 58;
- * spotkanie ze Stapletonem – s. 59;
- * Stapleton rozpoznaje Watsona – s. 60;
- * spotkanie z Beryl Stapleton, która ostrzeża Watsona – s. 64;
- * wizyta w Merripit House – s. 66;
- * przytacza swoje listy do Holmesa – s. 69;
- * wspomina o praktycznym umyśle Holmesa – s. 69;
- * poranna rozmowa z sir Henrykiem o Barrymore – s. 75;
- * śledzi sir Henryka – s. 77;
- * zasadzka Watsona na Barrymore'a – s. 81;
- * wyprawa Watsona i sir Henryka po Seldena – s. 84;
- * poczucie zagrożenia, niepokój – s. 89;
- * twierdzi, że kieruje się zawsze zdrowym rozsądkiem – s. 89;
- * wyprawa na Czarny Szczyt – s. 94;
- * spotkanie z Mortimerem – s. 94;
- * przyjazd do Coombe Tracey – s. 98;
- * przenikliwy, spostrzegawczy – s. 102;
- * odważny, ambitny (chce być bardziej skuteczny niż Holmes) – s. 103;
- * spotkanie z Franklandem – s. 103;
- * sprytny, wie, jak rozmawiać z ludźmi – s. 104;
- * wycieczka na moczary, w ślad za chłopcem – s. 106;
- * spotkanie z Holmesem w pieczarze – s. 109;
- * spotkanie Watsona i Holmesa ze Stapletonem na moczarach – s. 117;

- * powrót Holmesa z Watsonem do Baskerville Hall – s. 118;
- * obserwuje z ukrycia Stapletona – s. 131;
- * o wiedzy Holmesa – s. 160.

Stapleton:

- * opis – s. 59;
- * spotkanie Watsona ze Stapletonem – s. 59;
- * o sir Karolu – nerwowy i przestraszony – s. 60;
- * rozpoznaje Watsona – s. 60;
- * wścibski, ciekawski – s. 61;
- * o moczarach – s. 61;
- * przeszłość – s. 66;
- * zajęcia Stapletonów – prace badawcze, czytanie książek – s. 67;
- * relacja ze spotkania sir Henryka ze Stapletonami – s. 70;
- * relacje między rodzeństwem Stapletonów – s. 70;
- * zazdrość o siostrę – s. 71;
- * awantura ze Stapletonem – s. 78;
- * nienawiść do sir Henryka – s. 79;
- * wizyta w zamku i przeprosiny sir Henryka – s. 80;
- * prawda o Stapletonie – s. 112;
- * spryt Stapletona – s. 116;
- * spotkanie Watsona i Holmesa ze Stapletonem na moczarach – s. 117;
- * ucieczka na moczary – s. 136;
- * historia – s. 141;
- * wpływ na panią Lyons, realizacja planu zabójstwa sir Karola – s. 143;
- * wcześniejsze zbrodnie – s. 144;
- * sprytny, brutalny, bezczelny – s. 145;
- * pomocnik Stapletona – służący Antoni – s. 145.

Beryl Stapleton:

- * opis panny Stapleton – s. 64;
- * spotkanie z Beryl Stapleton, która ostrzega Watsona – s. 64;
- * zajęcia Stapletonów – prace badawcze, czytanie książek – s. 67;
- * prosi Watsona, by zapomniał o ich pierwszej rozmowie – s. 67;
- * uczucie sir Henryka do Beryl Stapleton – s. 70;
- * relacje między rodzeństwem Stapletonów – s. 70;
- * pierwsze spotkanie sir Henryka z Beryl Stapleton i dalszy rozwój ich znajomości – s. 71;

- * spotkanie sir Henryka z panną Stapleton – s. 77;
- * miłość sir Henryka do Beryl – s. 79;
- * o okrucieństwie męża – s. 136;
- * uczciwa, chce pomóc Holmesowi – s. 137;
- * nieufność wobec pani Stapleton – 144;
- * próby sprzeciwu pani Stapleton – s. 146;
- * bunt żony Stapletona – s. 147.

Hugon:

- * odczytanie rękopisu Hugona Baskerville’a. Opowieść o psie Baskerville’ów – s. 14;
- * śmierć – s. 15.

Karol Baskerville:

- * wiadomość o śmierci Karola Baskerville’a – s. 16;
- * historia – s. 17;
- * charakterystyka – s. 17;
- * strach sir Karola – s. 19;
- * przyjaźń sir Karola i doktora Mortimera – s. 19;
- * informacje o spadkobiercach. Henryk Baskerville jedynym spadkobiercą – s. 24;
- * okoliczności śmierci – s. 17;
- * zwyczaje i zachowanie – s. 17;
- * zapis w testamencie dla Barrymore’a – s. 42;
- * bogactwo – s. 42;
- * opis miejsca śmierci – s. 72;
- * wiadomość o schadzce z kobietą – s. 92.

Sir Henryk Baskerville:

- * wygląd zewnętrzny – s. 29;
- * zgubienie buta – s. 33;
- * plan zajęć Henryka w dniu kradzieży buta – s. 33;
- * poznaje okoliczności śmierci sir Karola – s. 34;
- * niebezpieczeństwo grożące sir Henrykowi – s. 35;
- * gwałtowność Henryka – s. 35;
- * kradzież starego buta sir Henryka – s. 40;
- * rozmowa Holmesa z sir Henrykiem o ostatnich dziwnych wydarzeniach – s. 40;
- * śniadanie u sir Henryka – s. 41;

- * znalezienie buta – s. 44;
- * lata młodości – s. 50;
- * charakterystyka postaci – s. 50;
- * pierwsza rozmowa z kamerdynerem – s. 54;
- * uczucie do Beryl Stapleton – s. 70;
- * pierwsze spotkanie z Beryl Stapleton i dalszy rozwój ich znajomości – s. 71;
- * poranna rozmowa Watsona z sir Henrykiem o Barrymore – s. 75;
- * wyprawa na moczary – s. 76;
- * Watson śledzi sir Henryka – s. 77;
- * spotkanie z panną Stapleton – s. 77;
- * miłość do Beryl – s. 79;
- * nienawiść Stapletona do sir Henryka – s. 79;
- * odwaga i porywczosć (postanawia sam złapać przestępcę) – s. 84;
- * wyprawa Watsona i sir Henryka po Seldena – s. 84;
- * kolacja Holmesa z sir Henrykiem w zamku – s. 121;
- * powrót przez bagna – s. 133;
- * choroba – s. 137.

Frankland:

- * opis pana Franklanda z Lafter Hall i jego zajęć – procesy sąsiedzkie, obserwacje astronomiczne – s. 72;
- * spotkanie Watsona z Franklandem – s. 103;
- * kłótniwy, wszczyna spory, zarozumiały – s. 103;
- * ujawnia, że obserwuje tajemniczego mężczyznę na moczarach – s. 104.

Inne:

- * czas akcji: rok niesprecyzowany – s. 7;
- * porwanie córki ziemianina – s. 14;
- * ucieczka dziewczyny – s. 14;
- * pogoń za dziewczyną – s. 14;
- * opis psa-potwora – s. 16;
- * badanie śladów i zwłok – s. 20;
- * znalezienie śladów olbrzymiego psa – s. 20;
- * opis miejsca zdarzenia – aleja cisowa – s. 21;
- * opis równiny – Dartmoor i miejsc wydarzeń – s. 26;
- * czas akcji – godzina dziesiąta rano – s. 29;
- * czas akcji: wpół do jedenastej – s. 35;

- * miejsce akcji – hotel Northumberland – s. 39;
- * plan wyjazdu z dworca Paddington – s. 44;
- * opis człowieka, który śledził sir Henryka – s. 47;
- * miejsce akcji – stacja kolejowa – s. 48;
- * wyjazd do Devonshire’u – s. 48;
- * opis krajobrazu hrabstwa Devonshire – ss. 49, 50;
- * opis krajobrazu Devonshire – s. 51;
- * wieść o ucieczce Seldena, zabójcy z Notting Hill – s. 51;
- * opis krajobrazu bagien w Devonshire – s. 52;
- * przyjazd do Baskerville Hall – s. 52;
- * opis zamku Baskerville’ów (zniszczony, stary, ponury, przerażający) – s. 52;
- * opis wnętrza zamku – ss. 54, 55;
- * czas akcji – poranek kolejnego dnia – s. 57;
- * rozmowa przy stole na temat nocnych wydarzeń – s. 57;
- * opis moczarów – s. 61;
- * opowieść o niebezpiecznym Wielkim Trzęsawisku Grimpeńskim – s. 62;
- * śmierć koni na trzęsawisku – s. 62;
- * skowyt psa na moczarach – s. 63;
- * opis ruin miasteczka – s. 63;
- * spotkanie z Beryl Stapleton, która ostrzega Watsona – s. 64;
- * opis domu Stapletonów – s. 66;
- * czas i miejsce akcji – s. 69;
- * wyprawa mężczyzn na moczary – s. 70;
- * czas i miejsce akcji – s. 75;
- * plany przebudowy zamku – s. 76;
- * skowyt psa na trzęsawiskach – s. 85;
- * tajemniczy mężczyzna na skalnym szczycie – s. 87;
- * czas akcji – s. 89;
- * informacja o odnalezieniu listu od L. L. – s. 92;
- * czas akcji – s. 93;
- * wiadomość o nieznanym ukrywającym się na moczarach – s. 96;
- * czas akcji – 18 października – s. 98;
- * obserwacja chłopca na moczarach – s. 105;
- * opis zachodu słońca na moczarach – s. 106;
- * opis pieczary – schroniska nieznanego – s. 106;

- * czas akcji – zmierzch – s. 108;
- * krzyk na moczarach – s. 113;
- * znalezienie martwego mężczyzny – s. 114;
- * czas akcji – następnego dnia rano – s. 124;
- * depesza o przyjeździe Lestrade’a – s. 126;
- * przybycie Lestrade’a – s. 129;
- * mgła – s. 132;
- * nadejście mgły nad moczary – s. 132;
- * napaść straszego psa – s. 133;
- * opis wyglądu psa – s. 134;
- * przeszukanie domu Stapletonów – s. 135;
- * uwolnienie pani Stapleton – s. 136;
- * powrót detektywa z towarzyszami do Baskerville Hall – s. 137;
- * opis moczarów – s. 137;
- * odnalezienie buta skradzionego sir Henrykowi – s. 138;
- * ostatni ślad Stapletona na bagnach – s. 138;
- * kryjówka Stapletona na grzędawisku – s. 138;
- * odnalezienie szczątków psa Mortimera – s. 139;
- * czas akcji – ostatnie dni listopada – s. 140;
- * odwiedziny sir Henryka i Mortimera u Holmesa na Baker Street – s. 140;
- * wyjaśnienie zagadki przez Holmesa – s. 140;
- * zmiana nazwiska na Vandeleur, założenie szkoły i jej upadek – s. 141;
- * plan zagarnięcia majątku – s. 141;
- * kupno psa – s. 142;
- * czas akcji – koniec września, rok nieokreślony – s. 150;
- * miejsce akcji – ulica Baker, mieszkanie Holmesa – s. 150;
- * przybycie Johna Openshawa – s. 150;
- * Openshaw: wygląd zewnętrzny – s. 150;
- * opowieść Openshawa – s. 152;
- * charakterystyka stryja Eliasza – s. 152;
- * nadejście listu z Indii z pestkami – s. 153;
- * przerażenie stryja – s. 153;
- * spalenie papierów i napisanie testamentu – s. 154;
- * niepokój i dziwne zachowanie stryja – s. 154;
- * zagadkowa śmierć stryja – s. 155;
- * przejęcie majątku przez ojca Openshawa – s. 155;

- * nadejście listu do ojca – s. 155;
- * śmierć ojca – s. 156;
- * otrzymanie przez Johna listu z pestkami – s. 157;
- * przekazanie Holmesowi kartki stryja Eliasza – s. 158;
- * czas akcji – poranek następnego dnia – s. 162;
- * wiadomość o śmierci Johna Openshawa – s. 163;
- * czas akcji – późny wieczór, około dziesiątej – s. 164;
- * plan schwytania morderców – s. 165;
- * katastrofa statku „Lone Star” – s. 165.

Selden:

- * historia zbrodniarza Seldena – s. 83;
- * opis – s. 86;
- * ucieczka – s. 87;
- * oburzenie kamerdynera na wieść o ściganiu Seldena – s. 89;
- * okazuje się, że ofiarą mordercy padł Selden – s. 116;
- * zawiadomienie Barrymore’ów o śmierci Seldena – s. 121.

Barrymore:

- * przedstawienie postaci, uczciwość – s. 42;
- * wygląd zewnętrzny – s. 54;
- * przyznaje, że nie odebrał depeszy osobiście – s. 73;
- * opis pani Barrymore – s. 73;
- * podejrzany nocny spacer Barrymore’a – s. 74;
- * poranna rozmowa Watsona z sir Henrykiem o Barrymore’ach – s. 75;
- * wyjawienie tajemnicy Barrymore’ów – s. 83;
- * zawiadomienie Barrymore’ów o śmierci Seldena – s. 121.

Desmondowie:

- * przedstawienie postaci – s. 42.

Laura Lyons:

- * przedstawienie Laury Lyons, córki Franklanda – s. 95;
- * wygląd zewnętrzny – s. 98;
- * rozmowa z Laurą Lyons – s. 99;
- * przyznaje się do napisania listu do sir Karola znalezionej przez Barrymore’a – s. 100;
- * spotkanie Holmesa z Laurą Lyons – s. 126;
- * o Stapletonie: podły, cyniczny, oszust – s. 127;
- * wyjaśnienia Laury Lyons – s. 128;

- * oszukanie pani Lyons przez Stapletona – s. 142;
- * wpływ Stapletona na panią Lyons, realizacja planu zabójstwa sir Karola – s. 143.

OBJAŚNIENIA KOMENTARZY DO TEKSTU



Najważniejsze
momenty akcji



Miejsce akcji



Charakterystyka postaci



Ważne fragmenty



Historia



Opisy przyrody

OBJAŚNIENIA KOMENTARZY DO OPRACOWANIA



Biografia autora



Wypracowania



Kalendarium życia
i twórczości autora



Złote myśli



Rodzaj i gatunek literacki



Spis komentarzy do tekstu



Omówienie lektury



Ważne fragmenty

Spis treści:

PRZYGODY SHERLOCKA HOLMESA	5
PIES BASKERVILLE'ÓW	7
I. SHERLOCK HOLMES	7
II. PRZEKŁĘTY RÓD	13
III. ZAGADKA	21
IV. SIR HENRYK BASKERVILLE	29
V. TRZY ZERWANE NICI	39
VI. BASKERVILLE HALL	48
VII. STAPLETONOWIE Z MERRIPIT HOUSE	57
VIII. PIERWSZY RAPORT DOKTORA WATSONA	69
IX. DRUGI RAPORT DOKTORA WATSONA	75
X. WYJĄTEK Z DZIENNIKA DOKTORA WATSONA	89
XI. CZŁOWIEK Z CZARNEGO SZCZYTU	98
XII. ŚMIERĆ NA MOCZARACH	109
XIII. ZARZUCANIE SIECI	121
XIV. PIES BASKERVILLE'ÓW	130
XV. RZUT OKA WSTECZ	140
PIĘĆ PESTEK POMARAŃCZY	149
OPRACOWANIE	167
I. BIOGRAFIA I TWÓRCZOŚĆ	
ARTHURA CONAN DOYLE'A	169
II. KALENDARIUM ŻYCIA I TWÓRCZOŚCI	
ARTHURA CONAN DOYLE'A	171
III. RODZAJ I GATUNEK LITERACKI	173
1. NARRACJA	174
IV. OMÓWIENIE LEKTURY	174
1. PIES BASKERVILLE'ÓW	
– TREŚĆ OPOWIADANIA	174
1.1. Sherlock Holmes	174
1.2. Przeklęty ród	175
1.3. Zagadka	176
1.4. Sir Henryk Baskerville	177
1.5. Trzy zerwane nici	178

1.6. Baskerville Hall	178
1.7. Stapletonowie z Merripit House	179
1.8. Pierwszy raport doktora Watsona	180
1.9. Drugi raport doktora Watsona.	181
1.10. Wyjątek z dziennika doktora Watsona	182
1.11. Człowiek z Czarnego Szczytu.	182
1.12. Śmierć na moczarach	183
1.13. Zarzucanie sieci.	184
1.14. Pies Baskerville'ów	185
1.15. Rzut oka wstecz.	186
2. PIES BASKERVILLE'ÓW – CZAS I MIEJSCE AKCJI.	187
3. PIĘĆ PESTEK POMARAŃCZY – TREŚĆ OPOWIADANIA	187
4. PIĘĆ PESTEK POMARAŃCZY – CZAS I MIEJSCE AKCJI.	190
5. BOHATEROWIE.	191
5.1. Sherlock Holmes.	191
5.2. Doktor John H. Watson	193
5.3. Stapleton i Beryl	194
5.4. Sir Henryk Baskerville	195
V. WYPRACOWANIA	196
VI. ZŁOTE MYŚLI SHERLOCKA HOLMESA	197
VII. SPIS KOMENTARZY DO TEKSTU.	198
OBJAŚNIENIA KOMENTARZY.	207

